PRZEGLĄD KLASYCZNY

1937 III 9-10



NAKŁADEM FILOMATY, LWÓW, UNIWERSYTET

SPIS RZECZY:

ACHILLEUS i PENTHESILEIA.

Malowidła ścienne słynnego malarza greckiego Polygnota, wywarły silny wpływ na wieku atheńskich malarzy wazowych z lat około 470—450 przed Chr. Ślady tego wpływu widoczne są na licznych malowidłach wazowych a wśród nich na jednej z czerwonofigurowych czar (κύλιξ) w Monachium, na tzw. czarze Penthesilei. Królowa Amazonek, od której imienia nazwano czarę, przedstawiona jest w momencie, gdy Achilleus wbija jej miecz w piersi. Penthesileia słania się już, jej ozdobiona głowa opada w tył, ręce zaś odruchowo usiłują odeprzeć napastnika. W tym groźnym momencie wzrok Achilleusa spotyka się z głębokim, ostatnim spojrzeniem bezbronnej ofiary. *Vincit victorem candida forma virum* (Prop. IV 10, 16). Dwie boczne postacie, Grek i Amazonka, zwięźle wyrażają tło tragicznej akcji, odbywającejj się na polu walki wśród zgrzytu broni i jęku konających. Zwłoki królowej Penthesilei, jak opiewał epos Arktinosa, oddał Achilleus Amazonkom, które ją uroczyście pochowały. Przedstawienie na wazie monachijskiej odznacza się nie tylko dynamiką dramatycznych ruchów, ale także siłą wewnętrzną. Duże postacie, ich polychromia, dwuplanowość przedstawienia, tendencja do perspektywicznego ujęcia, charakterystyka fizjognomij — wszystko to cechy, świadczące o pokrewieństwie z wielkim malarstwem Polygnota. Nieznane jest nazwisko malarza tej czary. Nazwano go umownie 'malarzem Penthesilei' i na podstawie badań stylowych przypisano mu wykonanie około 60 malowideł wazowych. J. ST.

DYDAKTYKA

STANISŁAW LENKOWSKI

UWAGI O OBECNYM PROGRAMIE ŁACINY

Po czterech latach realizacji nowego programu łaciny w gimnazjum nowego typu i ogłoszenia programu nauki w liceum, zarówno humanistycznym jak i 'klasycznym', godzi się stwierdzić na podstawie doświadczeń i wyników, do czego zmierza obecny zakres nauki tego przedmiotu. Co prawda, przed kilku miesiącami Przegląd Klasyczny (Nr. 5—7) ogłosił świetny artykuł M. Ostowskiego pt. *Łacina w liceum*, stanowiący pierwszą rzeczową krytykę nowego programu licealnego, ale w sprawie doświadczeń i wyników dotychczasowych nikt jeszcze niestety głosu nie zabierał. A czas już wielki, by otwarcie powiedzieć, że antyhumanistyczny w istocie kierunek nauczania grozi wychowaniem olbrzymich zastępów młodzieży z nieuzasadnionymi pretensjami do uprzywilejowanych stanowisk. Dotychczas tylko sporadycznie podkreślano rozdźwięk między górnymi postulatami nowego programu a możliwością jego realizacji; ogół nauczycieli-klasyków zajmował stanowisko wyczekujące, a nawet z usłużną lojalnością starał się w miarę sił ludzkich dopomóc inicjatorom reformy w osiągnięciu wytkniętych celów za pomocą licznych, co najmniej dobrych, jeżeli nie doskonałych, podręczników. Obecnie można już z czystym sumieniem, opierając się wyłącznie na doświadczeniach, skonstatować, iż cała reforma nauczania łaciny jest kunsztowną iluzją (εὐπρεπές; *quod enim levius nomen huic ineptissimae rationi studiorum imponam?)*. Asy naszej filologii i pedagogiki, jak Auerbach, K. Dąbrowski, Kowalski, Sinko etc., dostarczyli podręczników, znacznie przerastających pomoce naukowe z innych przedmiotów, a mimo to wytrawny nawet nauczyciel nie osiąga w całej pełni istotnych rezultatów. Odpowiedź stała się jasna: plan i cel nauczania łaciny są całkowicie chybione.

Inicjatorom tego planu szło głównie o to, by uczeń, ledwo uporawszy się z wstępnym kursem języka, tj. poznawszy najogólniejsze zasady morfologii i składni łacińskiej, na tym swoje studia zakończył. A przecież gramatyka łacińska w szkole średniej nie jest celem sama w sobie, mimo jej wielkich walorów dydaktycznych natury formalnej. Mówiąc trywialnie, nie nos dla tabakiery, lecz naodwrót — jakby wyrażono się dawniej, a dzisiaj: nie usta dla gumy do żucia (recte: dla deklinacyj i koniugacyj), lecz naodwrót. Ucznia prowadzi się, że tak powiem, przez długie propylaie, a gdy mu się uchyli podwoje olbrzymiej, lecz mrokiem jeszcze dla niego okrytej świątyni (lege: gruntowniejsze poznanie świata starożytnego i — współczesnego, za pośrednictwem arcydzieł literatury antycznej, znakomicie kształcących zmysł krytyczny i estetyczny ucznia), to nie w tym celu, aby go do tej świątyni wprowadzić i piękno jej w całym majestacie pokazać, lecz by zostawić go własnemu losowi. Stadium przygotowawcze na przestrzeni czteroletniego gimnazjum jest tego rodzaju, że tylko najzdolniejsi uczniowie wybiorą z zapałem liceum humanistyczne, ze względu na samą łacinę. Ogół na tej łacinie i, powiedzmy, na tym gimnazjum swe studia zakończy definitywnie, a wiemy przecież, że każdy niedouczony przedmiot daje w następstwie wtórną ignorancję, swego rodzaju wtórny analfabetyzm. Czyż nie szkoda na to kilku lat pracy w gimnazjum, jeśli ma się ona w rezultacie całkowicie zmarnować?

Klasycy łudzili się przez cztery lata, albowiem wciąż im szumnie mówiono o nauczaniu kultury antycznej, podobnie jak to się mówiło podczas reformy szkolnej w Niemczech w r. 1901 („wprowadzić w ducha i kulturę antyku" — bez języka i bez czytania utworów...).. Tymczasem utrącono właściwie sam język. Nowe gimnazjum stało się już nie tylko ahumanistyczne, lecz antyhumanistyczne; uczyniono z niego wyższą szkołę elementarną (American high school). Niech uczeń liźnie wszystkiego po trochu i idzie w świat; niech nawet rzemieślnik popisuje się przysłowiami łacińskimi i cytatami z autorów rzymskich. Oto jak płytki był cel nowego programu. Ale komu do szczęścia te cytaty są potrzebne? I dawniej szlachcic szpikował swoje oracje łaciną, lecz nie były one bynajmniej dowodem jego kultury wewnętrznej.

Nic dziwnego tedy, że nastąpiło spłycenie umysłów młodzieży gimnazjalnej.

— „Za pozwoleniem! — przerwie tu zwolennik nowej reformy — wiadomości swe uczeń pogłębi w liceum, tam nauczy się właściwego krytycyzmu". Otóż to! Żeby wykazać niesłuszność tej uwagi, przechodzimy nareszcie do sedna sprawy.

Weźmy program na pierwszą licealną. Przewiduje on w pierwszym półroczu utwory Cicerona (w liczbie mnogiej!). Nie powiedziano, czy chodzi o mowy, czy też pisma filozoficzne. Dajmy na to, że wybór pozostawiono wykładającemu. W takim razie nauczyciel z pewnością wybierze jedną mowę (sądową czy polityczną — to obojętne), bo więcej w jednym półroczu przy czterech godzinach tygodniowo nie przerobi; na pisma filozoficzne Cicerona stanowczo za wcześnie. Kiedy więc te pisma uczeń czytać będzie? Przecież nie w drugiej licealnej, gdzie przewidziani są Livius lub Tacitus oraz Horacy. A zatem mamy uszczuplenie łaciny nawet w porównaniu z niedawnym programem gimnazjum humanistycznego.

Na to uszczuplenie wpływa głównie zbyt mała ilość godzin — zaledwie po 4 na tydzień w liceum humanistycznym, gdzie uczeń obrał sobie przedmiot z zamiłowania. Ilość zaś godzin, przeznaczonych na matematykę w tym samym liceum, wynosi trzy (*risum teneatis, amici!*), a więc tylko o jedną mniej. Nie jestem przeciwnikiem matematyki, wręcz przeciwnie, uważam, że nie uwzględnia się dostatecznie wartości matematyki dla dyscypliny duchowej, i każdy prawdziwy humanista z naciskiem podkreśli, że matematyka potęguje zdolności myślenia w sposób ściśle porządkujący, podczas gdy filologia budzi ducha tej ścisłości i uczciwości. Ale czy ta jedna godzina nadwyżki zadecyduje o pogłębieniu wiadomości i wyrobieniu krytycyzmu? A kiedy jeszcze — choćby po jednej stronie — przerobić „teksty epigraficzne, prawników, historyków, poetów lirycznych, epików, komików, pisarzy chrześcijańskich i polsko-łacińskich"? Jest grzeszną wprost naiwnością sądzić, że istnieje tu jakaś możliwość realizacji.

Jeszcze gorzej przedstawia się plan nauczania greki w liceum klasycznym. W ciągu dwóch lat przy 4 godzinach

tygodniowo przerobi się akurat kurs wstępny języka — po to, by do autorów właściwie już nie sięgnąć. A wiadomo każdemu uczciwemu i doświadczonemu filologowi, że trzeba co najmniej jeszcze dwóch lat pracy w szkole, aby język grecki jako tako ugruntować, w przeciwnym bowiem razie zdobyte wiadomości z gramatyki wywietrzeją bez śladu. I znów mamy syzyfową pracę!

Mówiąc o renesansach w ogóle i filologii w szczególności T. Zieliński wieszczył, że po odrodzeniach romańskim i germańskim nieodzownie nastąpi słowiańskie. Można z całą dezynwolturą śmiać się z tego proroctwa, skoro w ślad za greką wypiera się obecnie z gimnazjum łacinę, — podstawę i źródło kultury polskiej, tworząc szkołę łatwą dla mas, która w zarodku unicestwia elitę umysłową narodu. Szkoła łatwa — dowodził wymownie Zieliński w głośnym w całym świecie dziele *Świat antyczny a my* — jest zbrodnią społeczną. Nie trzeba wcale czekać, wystarczy jeno patrzeć, aby stwierdzić, że z nowej szkoły wyjdą dyplomowane masy, dostatecznie wykształcone, by czytać i rozumieć, co służy ordynarnej agitacji politycznej, ale pozbawione tego wykształcenia, które wyposaża w walory krytyczne i pierwiastki prawdziwie twórcze. Skrócona metoda kultury nikomu nie wpoi; młodzież zdobędzie wprawdzie nawyki cywilizowanego człowieka, ale „duszy swojej nie poprawi i nie polepszy".

Resumuję: Jeżeli kurs łaciny w czteroletnim gimnazjum nowego typu jest sam przez się bezcelowy, bo jest tylko kursem wstępnym, a nie skończonym, jeżeli program nauki w liceum humanistycznym jest w rezultacie mniejszy niż w gimnazjum dawnego typu, to wniosek stąd tylko jeden (podaję go bez obsłonek): łacina, jak dawniej greka, została w szkołach naszych zredukowana do poziomu, o którym lepiej nie mówić. Pogromcy studiów humanistycznych zobaczą niezadługo owoce swojej pracy destrukcyjnej, jak to się stało w Norwegii i w Rosji sowieckiej, i jak tam zmuszeni będą te studia przywrócić w całej pełni.

JULIUSZ KRZYŻANOWSKI

ŻYWA ŁACINA (SYSTEM DR. ROUSE'A)

Nie wiem, ile jest fantazji a ile prawdy w anegdocie, która głosi, że pewien dyrektor gimnazjum humanistycznego nie znający języka łacińskiego czuł się jakoś nieswojo i powziął szlachetny zamiar uzupełnienia swych kwalifikacyj, umawiając się z nauczycielem pierwszej klasy, że pod pozorem wizytacyj jego lekcyj zaznajomi się z elementami łaciny. I jak się to skończyło? Po kilku lekcjach ów dyrektor zrezygnował szybko z dalszego dokształcenia się, nie mogąc znieść, jak sam się wyraził, tak przerażającej tortury. Doszedł do przekonania, że uczenie łaciny przyjętą metodą jest czymś tak niesłychanie nudnym, iż może to wytrzymać tylko dziecko. Nieliczenie się jednak z nastawieniem emocjonalnym dziecka nie może ujść bezkarnie. Znajdą się wprawdzie teoretycy broniący metody analitycznej — bo o niej tu mowa — argumentem, „że jest to moralnie zbawiennym dla charakteru dziecka, zmuszać je do czynienia tego, czego ono nie lubi", ale pomijając już to, że możnaby zupełnie poprawnie wnioskować z tego a contrario, — jak zauważa dowcipnie Dr. Rouse — że jest moralnie złym pozwalać dziecku robić to, co ono lubi", możemy być pewni zemsty młodości za nudę i udręki tak drogo okupionej nauki. Już Quintilianus (I 1, 20) podkreślał ogromne znaczenie stanów uczuciowych uczniów: „Id in primis curare oportebit, ne studia, qui amare nondum potest, oderit et amaritudinem semel perceptam etiam ultra rudes annos reformidet. Lusus hic sit". I jeśli się zastanowimy, dlaczego nauka gimnazjalna j. łacińskiego daje w gruncie rzeczy tak słabe wyniki, dlaczego dla tak wielkiego procentu absolwentów gimnazjalnych każdy tekst łaciński jest pewnego rodzaju rebusem, który trzeba rozwiązywać przy pomocy jakichś tricków, to uwaga nasza musi też paść na samą metodę. Metoda analityczna nie jest znowu tak stara jakby się mogła zdawać: rozeszła się ona z Niemiec w XIX w. Pierwsze próby zerwania z nią pojawiły się w nauce j. nowożytnych w formie tzw. metody bezpośredniej czy aktywnej. Zasługą Dr. Rouse'a jest i pozostanie zastosowanie tej metody do języków klasycznych; opracował on ją w szczegółach na wszystkich stopniach nauki, stworzył jej technikę przy-

stosowaną do specjalnych właściwości języków klasycznych i wytestował jej praktyczną wartość przez szereg lat w swej szkole (*Perse School*). Zbytecznym wydaje mi się tu rozważanie wszystkich argumentów pro et contra, w sporze tych dwóch metod. Są one mniej lub więcej znane wszystkim uczącym jakiegokolwiek języka. Ograniczę się tu tylko do pewnych psychologicznych rozważań oświetlających słuszność pozycji Dr. Rouse'a z punktu widzenia nauki języka ojczystego. Co jest powodem, że każde dziecko (wyjąwszy oczywiście upośledzone) szybko uczy się bez żadnej metody swego ojczystego języka a napotyka tak wielkie nieraz trudności przy nauce drugiego? Przecież warunki intelektualne pozostają bez zmiany, przeciwnie pod niektórymi względami nawet polepszają się (np. zdolność do koncentracji). Tym potężnym bodźcem zmuszającym dziecko do samorzutnego wysiłku w nauce własnego języka jest dążność do *selfexpression* — dziecko pragnie nawiązać kontakt z otoczeniem, chce zakomunikować mu swe potrzeby uczucia i myśli. Otóż ten tak podstawowy motyw odpada przy nauce każdego j. obcego (chyba że się tworzy sztuczne warunki). Specjalnie daje się to odczuć przy analitycznej metodzie nauki języków klasycznych. „Tradycyjna metoda wyznaczania pewnej partii materiału do nauczenia się — piszą P. P. Robson i Curtis w *Some psychological principles of language teaching (Latin Teaching*, Luty 1937) — ma tak formalny i akademicki charakter, że nauka wydaje się zupełnie oderwana od życia i osobistych zainteresowań dziecka. Uczy się ono na pamięć bez związku z grupami myślowymi, odmian i wzorów, słów i zwrotów rzadko używanych w warunkach życia rzeczywistego". Pociąga to za sobą osłabienie pamięci i uwagi dziecka. Czy nie należałoby wobec tego zbliżyć metodę uczenia języka obcego jak najbardziej (oczywiście *mutatis mutandis*) do sposobu, w jaki dziecko uczy się swej własnej mowy tj. stworzyć takie sytuacje, któreby zmuszały je do *selfexpression* — do wyrażania swych pragnień i myśli, nazywania swych czynności słowami języka obcego? W sukurs przychodzi metodzie bezpośredniej jeden z nowszych kierunków psychologicznych tzw. *Gestalt-psychologie*. Uczy on, że złudzeniem psychologii analitycznej było składanie stanów psychicznych i czynności instynktownych z wyodrębnionych drogą analizy elementów. Eksperymen-

menty nad zachowaniem się zwierząt wykazały, że faktami podstawowymi psychiki są pewne całości mające charakter zupełnie odrębny od sum elementów. Ma to doniosłe znaczenie przy nauce języka: dziecko chwyta całe frazy i nimi operuje. Analiza gramatyczna jest czymś wtórnym i nie zawsze da się przeprowadzić. Jest to zresztą odwieczna antynomia między γένεσις a ἰδέα, tak zdecydowanie postawiona w starożytności przez Platona a w nowszych czasach przez Bergsona, antynomia nie pozwalająca Achillesowi doścignąć żółwia. Dziecko uczone metodą analityczną ulega przy tłumaczeniu tzw. matematycznej iluzji, to znaczy układa równania ze słów, zamiast szukać odpowiedników dla myśli. Jeszcze jedną wskazówkę możemy wyciągnąć z nauki języka ojczystego. Proces uczenia się jest w pierwszych stadiach nawskróś perceptywny: asocjacje słowne są nawiązywane bezpośrednio do świata naszych wrażeń i spostrzeżeń zmysłowych. „Dlatego — pisze Dr. Rouse w rozprawie *The direct method in teaching Latin and Greek* — pierwsze lekcje prowadzone metodą bezpośrednią, oparte są na słownictwie zaczerpniętym z czynności życia codziennego. Lekcje te nie mają nic do czynienia z boginiami, które uczeń rzadko kiedy widzi, lecz z ubraniem, meblami, drzwiami, oknami, książkami etc. Dzięki łaskawemu zrządzeniu opatrzności — pisze dalej Dr. Rouse — tak się szczęśliwie zdarzyło, że cztery słowa oznaczające: 'siedzieć', 'wstawać', 'chodzić', 'powracać' — *sedeo, surgo, ambulo, revenio* — reprezentują wszystkie cztery konjugacje. Te cztery czasowniki, zrozumiałe odrazu dzięki swej perceptywnej wartości i oznaczające serię związanych z sobą aktów, stają się punktem wyjścia pierwszej lekcji i całej tzw. *Perse Series,* zawierającej główne zjawiska konjugacji i składni. Na czym polega owa *Perse Series?* Możnaby ją ogólnie scharakteryzować jako próbę dramatyzacji nauki gramatyki. Operując wciąż podanymi czterema słowami stara się nauczyciel odgrywając jakby rolę koryphaiosa stworzyć taką perceptywną sytuację, żeby uczniowie, którzy obejmują rolę chóru, mogli bez pomocy języka ojczystego zrozumieć funkcję pewnego suffixu, spójnika lub zwrotu składniowego i równocześnie wyćwiczyć się w stosowaniu ich. „Nikt nie może uwierzyć — piszą P. P. Robson i Curtis — żeby Rzymianie uczyli się używać swoich okresów warunkowych na podstawie

takiej abstrakcyjnej klasyfikacji, jaka znajduje się w tradycyjnych gramatykach“. Byłem w Exeterze na sześciu czy siedmiu lekcjach prowadzonych metodą bezpośrednią: nie słyszałem na nich ani jednego słowa angielskiego; uczniowie już na pierwszej lekcji opanowali praesens czterech konjugacyj; po kilku lekcjach operowali trzema przypadkami pierwszej, drugiej i trzeciej deklinacji; dramatyzowali po łacinie napad Gallów na podróżującego Rzymianina; lekcje były pełne życia i ruchu; pisano tylko na tablicy; w ciągu całej lekcji uwaga wszystkich uczniów była skoncentrowana, gdyż wszyscy brali wciąż udział w lekcji. Miałem pierwotnie zamiar zademonstrować tutaj pierwszą lekcję, zaniechałem jednak tego po namyśle. Gdyż musiałbym popełnić małe fałszerstwo pedagogiczne: mianowicie ze względu na czas demonstracja musiałaby się odbyć przy pomocy uczniów znających już początki łaciny, a to nie dałoby istotnego obrazu wartości metody. Poprzestanę dlatego na odegraniu płyt trzeciej i czwartej lekcji w inscenizacji Dr. Rouse'a i jego uczniów. Zaznaczam, że nie jest w nich niestety unaoczniona cała dramatyzacja lekcji a tylko jej materiał faktyczny. Przed demonstracją tych płyt mały komentarz co do wymowy dźwięków łacińskich utrwalonych na tych płytach. Przyznam się, że kiedy pierwszy raz w Exeterze usłyszałem łacińską rozmowę, zadałem sobie pytanie, co to za język tak podobny do łaciny: oskijski czy umbryjski? Mając skrupuły co do swej *english pronounciation* zamierzałem swój referat *(Chronologia gramatyczna w pierwszym roku nauczania łaciny w szkołach angielskich a polskich)* wygłosić po łacinie. Już pierwszego dnia pobytu w Exeterze doszedłem do przekonania, że moja łacina byłaby prawdopodobnie mniej zrozumiana niż moja angielszczyzna. Po kilku jednak dniach kontaktu mego z członkami ARLT zaczęły moje wątpliwości co do ich sposobu wymawiania łaciny topnieć i w końcu zadałem sobie pytanie: gdyby tak Caesar ponownie stanął na ziemi Brytyjskiej i znalazł się na naszym *circulus,* to czyją łacinę by lepiej zrozumiał, a może raczej by mniej nie zrozumiał: angielską czy polską? Na odrębność wymowy angielskiej w stosunku do naszej składają się dwa czynniki: po pierwsze nieuznawanie palatalizacji spółgłoski *k* przed samogłoskami *e, i, y* w myśl zaleceń *Classical Association,* po drugie uwzględnianie (i to

z pedagogiczną egzageracją) *quantitas* wszystkich syllab a nie tylko paenultimy. By wzdrożyć ucho w tę wymowę rozpoczyna Dr. Rouse wszystkie pierwsze lekcje od ćwiczeń w wymawianiu krótkich i długich samogłosek. Ma to niezwykle doniosłe znaczenie dla recytacji poezji. Lecz o tym później.

Żeby dać dokładniejsze pojęcie o owej *Perse Series*, przytoczę z niej kilka urywków. Obejmuje ona 16 pozycji (oprócz *abl. absol.)*, z których każda została oznaczona jednym charakterystycznym dla niej tytułem, a więc: *surgo, surgam, surrexi, surgo et, surgebam ut, quamquam, si permittes* etc. Oto przykład pierwszej (należy zwrócić uwagę na czynnik deiktyczny):

A. *Surgo.*
Chór (zwrócony do A i wskazując na niego): *Surgis.*
(zwrócony do nauczyciela, wskazując na A): *Surgit.*
B. i C: *Surgimus.*
Chór (do B. i C.): *Surgitis.*
(do nauczyciela): *Surgunt.*
I tak dalej przez całą serię czasowników (tj. *ambulo, sedeo, revenio).*

Perfectum jest przedmiotem serii trzeciej:

A. *surgo* (wstaje, poczym stojąc) *surrexi.*
Chór: *surrexisti, surrexit.*
Plural. i cała seria czasowników.

Składnia *abl. absol.* jest ujęta w następującym szeregu:

A. *sellam relinquo.* Chór: *sellam relinquis,* etc.
A. *sella relicta cretam prehendo.* Chór, etc.
A. *prehensa creta verbum in tabula scribo.* Chór, etc.
A. *verbo in tabula scripto sellam repeto.* Chór, etc.
A. *sella repetita consido.* Chór, etc.

A oto inny przykład wprowadzenia nowej wiadomości ze składni drogą perceptywno-sytuacyjną:

Nauczyciel do chłopca: *Surge. Impero tibi, ut surgas.*
Aperi librum. Impero tibi, ut librum aperias
Po kilku przykładach niema już wątpliwości co do znaczenia słowa *impero,* nauczyciel kontynuuje: *Surgas, aperias* etc. *sunt modi subiunctivi. Est novus modus qui declinatur -am -as -at* (o pierwszej koniug. chwilowo nie wspomina). *Universi dicite mihi hos fines.* Po chóralnej recytacji końcówek nauczyciel ciągnie dalej:
M. *Surge. Quid tibi impero?*
D. *Imperas mihi ut surgam.*

M. *Tu, Decime, claude librum. Quid tibi impero?*
D. *Imperas mihi ut librum claudam.*
M. *Decime, pulsa Marcum. Quid tibi impero?*
D. *Imperas mihi ut Marcum pulsam.*
M. *Minime vero. Pulso est verbum primae coniugationis et praesens tempus subiunctivi huius coniug. non fines habet -am -as -at (ut ceterae coniug.) sed -em -es -et. Iterum pulsa Marcum, Decime. Quid tibi impero?*

Takie induktywne wprowadzenie reguł gramatycznych nie wyklucza późniejszego ich systematyzowania a nawet ćwiczenia się w nich przy pomocy tłumaczenia zdań z języka ojczystego na j. łaciński. Niektóre podręczniki ułożone dla nauki metodą bezpośrednią przewidują ćwiczenia gramatyczne w rodzaju amerykańskich testów wiadomości (uzupełnienie luk końcówkowych).

Metodyka nowych słów, tak roztrząsana u nas w ostatnich czasach, rozwiązuje się tu zupełnie prosto: albo perceptywnie (przedmiot, rysunek, obrazek) albo parafrazą łacińską. A więc gdy uczeń przerwie lekturę *Non intellego lucem* nauczyciel odpowie: *Scribite in libellis: lux — cis (f) — id quod sol nobis dat,* lub: *Non intellego mancum — est id quod non completum. Mancam nominamus felem, quae caret cauda* itd. W ostateczności daje się równoważnik angielski zaznaczając to *ut Anglice dicimus.* W ostateczności — bo naczelną zasadą całej metody powinno być motto: *Never use English, when Latin will do* (Nigdy nie używać angielskiego, jeśli wystarczy łacina). Nie wykluczone są również przy tej metodzie tłumaczenia z łaciny na język ojczysty. Mogą one mieć dwojaki cel: sprawdzenie, czy uczeń zrozumiał tekst lub wyrobienie kunsztu literackiego w tłumaczeniu. Oba typy tłumaczenia znajdują uwzględnienie, pierwszy od początków nauki mniej więcej raz na dwa tygodnie, drugi w ostatnim trymestrze przed konkursowymi egzaminami. Praktyka wykazała, że jest to zupełnie wystarczające. Szerokie natomiast zastosowanie znajdują tutaj dwa środki metodyczne u nas prawie całkowicie pomijane: pierwszy to tak zwana kompozycja, drugi to dramatyzacja. Kompozycja w całej swej rozpiętości od krótkiego, prostego precis bajki przerobionej erotematycznie w klasie, aż do łacińskiego essay'u, realizuje naczelny postulat metody bezpośredniej — *selfexpression,* tj. umiejętność wypowiedzenia się i wypisania po łacinie. Dramatyzacja również nie jest tu niespodzianką metodyczną, gdyż cała *Perse Series* polega

właściwie na dramatyzowaniu lekcji. Na najniższym stopniu mamy tu inscenizowanie jakiejś bajeczki, na najwyższym rozprawę sądową na podstawie mowy Cicerona lub sztuczkę teatralną *(Ludi Persici)*. Jak wygląda lekcja na wyższym poziomie, w *Sixth Form*, odpowiadającym naszemu liceum, zobrazował Dr. Rouse w protokołach ze swych lekcyj (opracowanych trochę po literacku) opublikowanych w książce pt. *Scenes from Sixth Form Life*. Recenzję tej książki ogłosiłem w Przeglądzie Klasycznym II. 1936, s. 537—540.

Jeśli chodzi o lekturę, to zakres jej jest imponujący. Ograniczę się tu do liceum. Aeneidę czyta się w całości, jak również prawie wszystkie utwory Horacego[1]). Z innych autorów Plauta *(Aulularia, Mostellaria,* lub *Trinummus),* Cicerona, Lucretiusa (I ks.), Liviusa, Tacita, Caesara, Juvenalisa, Martialisa. W czteroletnim planie dochodzi do tego jeszcze Catullus, Tibullus, Propertius, Sallustius, Quintilianus, nadto niektóre opuszczone poprzednio utwory wyżej wymienionych autorów. Budzą się smutne refleksje w porównaniu z zakresem lektury w naszym liceum. Na obronę możemy tylko wskazać na znacznie większą liczbę godzin: w pierwszych czterech latach nauki wynosi ona, 6, 6, 8, 8; w liceum klasycznym łacina i greka zajmują walną część programu (od 22 g. do 25 g. tyg.[2]).

W końcu kwestia pisania wierszy łacińskich. Kiedy kilkanaście lat temu byłem po raz pierwszy w Anglii, nie omieszkałem oczywiście zwiedzić owej sławnej *public school* — *Eton College*. Wędrując wśród jego starożytnych murów zaszedłem do obszernej sali z 10.000 nazwisk wyrytych na ławkach, nazwisk chłopców, którzy kiedyś przesunęli się przez tę salę i przeszli do historii. Były *summer holidays*, więc cicho tu było i pusto. Podszedłem do katedry, na której leżały jakieś zapomniane kartki. Wziąłem jedną z nich do ręki i przeczytałem: „Przetłumaczyć hexametrem łacińskim następujące wiersze Wordsworth'a — temat egzaminacyjny"... Przyznam się, że poczułem szacunek dla tych starych murów.

---

[1]) Nawet w niektórych szkołach samorządowych, jak czytamy w ostatnim sprawozdaniu ministerialnych wizytatorów, można znaleźć uczniów znających Homera w całości.

[2]) Nie należy tego uogólniać na inne szkoły, gdyż te rzeczy są traktowane w Anglii bardzo indywidualnie.

Dr. Rouse jest może zbyt optymistycznego zdania, twierdząc, że tylko jeden uczeń na pięćdziesięciu nie ma zdolności do napisania wiersza łacińskiego. Nic dziwnego, bo uczniowie Dr. Rouse mają znakomite przygotowanie do tego przez samą recytację prozy. Jeśli przypomnimy sobie, że w wymawianiu słów łacińskich każe Dr. Rouse uwzględniać iloczas wszystkich syllab, to zrozumiemy, że przez takie praktyczne opanowanie prosodii zmniejsza się znacznie rozdział między poezją a prozą, zwłaszcza, że według recytacji Dr. Rouse'a *ictus* odgrywa w wierszu minimalną rolę. Ze swej formalnej strony poezja staje się na prawdę tylko unormowaną prozą. Wiemy natomiast, jaką trudność przedstawia dla naszych uczni skandowanie. Jesteśmy sami temu winni: z jednej strony nie zwracamy żadnej uwagi na iloczas syllab za wyjątkiem paenultimy, z drugiej zaś strony opieramy deklamację poezji tylko na wybijaniu ictu. W ten sposób stwarzamy sztuczną przepaść pomiędzy poezją a prozą. Zdarzyło się kilka razy w czasie mej praktyki nauczycielskiej, że jakiś uczeń po przeczytaniu kilkuset wierszy łacińskich podszedł do mnie i wręczył nieśmiało kartkę mówiąc: „Napisałem wiersz łaciński". Jak przykro było mi wytłumaczyć mu, że ten jego wiersz, w którym było wybite mechanicznie sześć akcentów, nie ma nic wspólnego z hexametrem. Kryterium poprawności skanzji musi być przede wszystkim zrozumiałość treści wiersza dla słuchacza — i to osiąga recytacja Dr. Rouse'a, podczas gdy nasza metoda czytania, siekająca niemiłosiernie słowa na części i stwarzająca sztuczne zlepki syllab, może być zrozumiała tylko dla pedagoga, któremu wiersze te już zalazły za skórę. Zdaje mi się, że Dr. Rouse ma również rację w interpretacji *elisio*, która jego zdaniem polega nie na skreśleniu zupełnym nieraz połowy słowa, lecz raczej na dyphtongowaniu samogłosek tworzących hiatus. Wzorem tu powinien być raczej język włoski niż francuski. W *appendix* do swej metodyki publikuje Dr. Rouse cały szereg wierszy oryginalnych i tłumaczeń poetyckich, dokonanych przez swych uczniów. Przytoczę tu jedną próbkę: jest to tłumaczenie wiersza Herricka. Podam najpierw oryginał, później tłumaczenie polskie, a wkońcu tłumaczenie łacińskie:

Sweet, be not proud of those two eyes,
which star-like sparkle in their skies;
nor be you proud, that you can see

all hearts your captives, yours yet free;
be you not proud of that rich haire,
which wantons with the love-sick aire;
when as that rubie, which you wear
sunk from the tip of your soft eare,
will last to be a precious stone,
when all your world of beautie's gone.

W polskim tłumaczeniu:

Ukochana, nie bądź dumna z twych oczu, które niby gwiazdy iskrzą się na swym niebie, ani nie bądź dumna, że widzisz wszystkie serca w niewoli, swoje nieujarzmione; nie bądź też dumna twych bogatych włosów, z którymi igra zakochany powiew wiatru, gdyż ten rubin, który zwisa z twego delikatnego uszka, pozostanie kosztownym kamieniem, podczas gdy cały świat twej piękności przeminie.

A teraz dystychy ucznia:

Desine nunc oculos nimium iactare decoros,
  Qui velut in caelo sidera clara nitent;
Nec, iubeo, praestes iam te, mea Phylli, superbam,
  Libera quod victrix omnia capta tenes;
Ne precor ostentes ornatos arte capillos,
  Quos mulcere solent flamina, Phylli mea;
Gemma quod haec — Asiae longe reperta sub oris —
  Quam, roseum lumen, candida colla gerunt,
Haec quia perpetuum per saecula longa manebit,
  Sed tibi marcebit dulce repente decus.

Ilu uczniów u nas byłoby w stanie zdobyć się na coś podobnego? Zwłaszcza, że wiersze te piszą uczniowie nie na podstawie jakiegoś *Primus gradus ad Parnassum,* lecz z samego osłuchania się.

Sam Dr. Rouse włada po mistrzowsku wszelkimi miarami wierszowymi. Podczas jednego wieczoru w Exeterze *lounge-room* rozbrzmiewał wybuchami wesołości, gdy Dr. Rouse na dowód tego, jak łatwo jest zostać poetą łacińskim, odczytywał swoje kunsztowne dystychy, będące tłumaczeniami ekscentrycznych reklam i ogłoszeń gazeciarskich. Dzięki uprzejmości autora, który nadesłał mi je na dzisiejszy wieczór, odczytam kilka z nich na zakończenie. Lecz przed tym garść szczegółów biograficznych. Dr. W. D. Rouse urodził się w Kalkucie w 1863 r., studiował w Cambridge, na którym później przez 30 lat wykłada sanskryt, będąc równocześnie dyrektorem owej *Perse School;* zarazem pełni obowiązki redaktora *Klasycznej Biblioteki Loeba* i prezesa *Towarzystwa Folklorystycznego.* Równie łatwo komentuje Plauta jak Puszkina, Pindara jak

Upaniszady. W tym miesiącu ukazało się jego tłumaczenie *Odyssei* prozą. Jest założycielem i długoletnim dyrektorem *Towarzystwa dla Reformy Nauki Łaciny* (ARLT), które liczy około 400 członków i wydaje własny organ *Latin Teaching*.

A oto kilka żartobliwych dystychów:

Nuper erat nobis carum canis incrementum,
  Abstulit errantes cui via falsa pedes,
Sanguine non puro sanest: pars altera gentis
  Collinae, gentis pars tamen alterius.
At color huic (ne erres) fulvus qui vergit ad aurum.
  Dic Tango! accipiet nomina nota canis.
Si tanges Tango, si reddas, praemia praesto
  Bis centum nummos — nec mora — certa cape.
Uxor honorati sum homines, cui nomino quondam,
  Audivi a sacris (credula) ducta fretis.
Denique ubi mediis arces Sastonia campis
  Erigit in caelum, condita nostra casa est.

Albo inne ogłoszenie:

Permanent waving: one guinea average head. Shingling ls. Marcel waving 1/4. Work guaranteed. Revelles 240B. Oxford Street. Mayfair 6631. (Wieczna ondulacja: jedna gwinea przeciętnie od głowy. Strzyżenie a la garconne ls. Zwykła ondulacja 1/4. Gwarancja. Revęles 240B. Oxford Street. Telefon Mayfair 6631).

Aeternos capiti sic possum texere cirros
  Ut nihil exsolvat nilque retexat opus.
Si minor est magno vertex, parvo amplior, en tu
  Ter septem nummos, praemia fixa, dabis.
Sive brevi cirros solvendos tempore mavis,
  Nummo uni accedet nil nisi — crede — triens.
Nummus erit pretium, tibi si tondere capillos
  Et crines circum si resecare placet,
Quaeque ut conficiam, bona sunt vadimonia praesto:
  Accipe me certum, me sine fraude vadem.
Sum Ribeles: habito qua ducunt strata viarum
  Longa viatores ad freta parva bovis.
Bis centesima bisque etiam vicesima nondum
  Porta, sed huic signum proxima beta tenet.
Estque solidacium Maium per fila loquentum
  Hoc si forte modo mittere verba libet.
Uni terque decem sescentos addere debes
  Milia sex etiam: sim quotus ecce liquet.

Szczytem pomysłowości jest tłumaczenie złośliwego epitaphium jakiegoś W. Jones'a:

Here lies the body of William Jones,
Who all his life collected bones,

Till Death, that grave and bony spectre
That universal bone - collector
Boned old Jones, so neat and tidy
And here he lies, all bona fide.

(Tu leży ciało W. Jones'a, który całe swoje życie zbierał kości, aż Śmierć, to straszne i kościste widmo, ten uniwersalny zbieracz kości, tak zgrabnie i dokładnie obrał z kości starego Jonesa, i tu on leży w kompletnej całości).

En iacet in fossa Titus hic Hostilius Oscus,
  Cui mos in vita colligere ossa fuit.
Sed tandem apparet species Mors ossea, torva,
  Ossilegas pandit quae sine fine manus.
Haec lepide ossiculatim Oscum exossavit et hic est
  Os verum ostendens Oscus et ossa simul.

Na zakończenie kilka wniosków płynących z doświadczeń Dr. Rouse'a. Zasadnicza teza jego metody wydaje się słuszna: o ile nauka łaciny w szkole ma doprowadzić do pewnych rezultatów, należy od pierwszej lekcji uczyć myśleć i mówić po łacinie. Mówienie po łacinie nie jest tu celem *per se,* lecz tylko środkiem. Nie ulega wątpliwości, że musi być differencjacja metody bezpośredniej stosownie do wieku, gdyż wraz z rozwojem dziecka trzeba brać pod uwagę także inne, silniej występujące funkcje psychiczne, które powinne być wykorzystane przy nauce języka.

W szczególności nasuwają się do rozważania następujące punkty:

1. Przywrócenie klasycznej wymowy spółgłosce *c* (por. R. Ganszyniec, *O reformę wymowy łacińskiej w gimnazjach polskich* [*Kwart. Klas.* VIII 1934, 245—247]). Jeśli czytamy w szkole literaturę złotego wieku, nie jest racjonalnym posługiwać się wymową z IV w. po Chr. Dwojakie wymawianie znaku *c* jest niepotrzebną *multiplicatio entium;*

2. Uwzględnianie iloczasu wszystkich syllab słów, a nie tylko przedostatniej. Pożądanym by było w podręczniku dla I klasy wprowadzić odpowiednie znaki. Trudność sprawiają tylko samogłoski wątpliwe co do swej jakości np. *i* w *disco.* Memoriał *Classical Association* (p. 15) uważa, że w tym wypadku „the only practical course is to follow the English method of making the vowel short".

3. W związku z tym oparcie skanzji na iloczasie a nie tylko na ikcie.

4. Wprowadzenie metody bezpośredniej tytułem ekspe-

rymentu do jednej ze szkół polskich od przyszłego roku szkolnego. Ponieważ nauka taka jest możliwa przy maksymalnej liczbie 30 uczniów, jak również na podstawie odpowiednich podręczników, należałoby prosić Ministerstwo WR i OP o stworzenie odpowiednich ku temu warunków.

Powyższe uwagi stanowiły przedmiot odczytu w warszawskim Towarzystwie Umiędzynarodowienia Łaciny.

Krótką dyskusję, która się wywiązała po odczycie, zamknął Prof. T. Zieliński zgadzając się wprawdzie na próbne wprowadzenie metody Dr. Rouse'a do jednej ze szkół, ale na ogół ustosunkowując się nieprzychylnie do metody bezpośredniej. W myśl zasady, że oskarżony ma ostatnie słowo, korzystam z obecnej sposobności, by w kilku słowach odpowiedzieć prof. Zielińskiemu.

1. Zdaniem prof. Z. uczenie metodą bezpośrednią polega na tym, że w ciągu godziny tłumaczy się uczniom, jak się nazywa sufit, ściana i podłoga *(floor, ceiling, wall)*, by po godzinie lekcji część uczniów pokazywała ścianę i mówiła 'sufit' a część pokazywała sufit i mówiła 'ściana'. Jeśli ta anegdota jest odbiciem prawdy, to jak wytłumaczyć, że obecnie w naszych szkołach uczy się w ten właśnie sposób języków nowożytnych?

2. Jeśli prof. Z. nie widzi *iunctim* pomiędzy uczeniem łaciny metodą bezpośrednią a wielkim zakresem lektury, to bardzo mi jest przykro, że tak niejasno przedstawiłem zasadniczą ideę Dr. Rouse'a: istota jej leży właśnie w tym, że nie można czytać autorów łacińskich tak jak polskich, o ile od pierwszej już lekcji nie zmusi się uczniów do myślenia po łacinie.

3. Wprowadzenie klasycznej wymowy *c* i uwzględnienie iloczasu wszystkich syllab nie jest dowolną fantazją Anglików, lecz restytucją prawdziwie klasycznej wymowy zaleconą przez tak poważny autorytet jak *Classical Association*. Pytanie, jak wobec tego będziemy wymawiać św. Augustyna, nie powinno nas niepokoić, gdyż po pierwsze nie jest to autor szkolny, a po drugie jeśli będziemy posuwać się tak w czasie, to dojdziemy w końcu do podwójnie spalatalizowanego włoskiego *cz*.

4. Cytowanie *Colloquiów* Erazma jako prototypu dla *Perse Series* będącej chóralną metodą uczenia gramatyki łacińskiej wydaje mi się jakimś nieporozumieniem.

SPRAWOZDANIA

STANISŁAW LENKOWSKI

O AKTUALNOŚCI DZIEŁA JÓZEFA FLAVIUSA *PRZECIW APIONOWI*

I.

Ilekroć czyta się apologetyczne dzieło Józefa Flaviusa *Przeciw Apionowi,* aktualnym staje się problem stosunku judaizmu do hellenizmu lub też vice versa. Mimowoli czytelnik usiłuje sprawdzić, co w tej polemice jest słusznego i co niesłusznego; bo co było, to interesować może dzisiaj tylko teologów i religiologów. Wyniki są tym łatwiejsze do sprawdzenia, że z perspektywy prawie dwutysiącletniej zna się żywotne rezultaty zarówno kultury grecko-rzymskiej jak i judaizmu. Wydając obecnie przekład *Contra Apionem* (wraz z *Żywotem* Józefa), pragnąłbym uzasadnić aktualność tego dzieła, tym dla nas cenniejszego, ile że z apologii, napisanej przez Philona alexandryjskiego, pozostał tylko pewien fragment w przytoczeniu Eusebiosa i że gatunek literacki, użyty przez Józefa, stał się odtąd tak modny, iż korzystali z niego szczególnie autorowie chrześcijańscy, ilekroć od pogan słyszeli podobne oskarżenia, co Żydzi. Aktualność dzieła chcę widzieć nie w samej apologii judaizmu ani też w odparciu wszystkich tych oszczerstw i inwektyw, których po raz pierwszy użył antysemityzm literacki, aby powtarzać je odtąd ustawicznie, z większą lub mniejszą intensywnością i nielogicznością, można rzec w nieskończoność, bo i do dziś dnia, bez jakiejkolwiek nadziei, że świat otrząśnie się kiedyś z tej psychozy. Nie, aktualność stałą dzieła widzę w paru zaledwie, zato najistotniejszych kwestiach, które poruszyć zamierzam w niniejszym artykule. Zaznaczam zgóry, że nie chodzi mi o jakiś teologiczny punkt widzenia, ani o cele apologetyczne specjalnego rodzaju; przystępuję do oświetlenia tych kilku zagadnień bez żadnej tezy, bez powziętej uprzednio tendencji, usiłując jeno skonstatować, co w ogniu, że tak powiem, dziejów oka-

zało się kłamliwe, a co ostało się i wyszło zwycięsko.

II.

Wciąż u Józefa powraca kwestia: polytheizm grecki a monotheizm żydowski. Oczywiście Józef miał tu zadanie niesłychanie łatwe, bo już wybitni filozofowie greccy niemniej wymownie potrafili zwalczać poglądy anthropomorficzne. Krytyczne nastawienie wobec religii greckiej mamy przecież u Herakleita, Xenophanesa i nawet u Platona. Ale poza tym, ilekroć u Greków natrafiamy na ustępy, zachwalające polytheizm, czujemy, że to przebrzmiałe myśli ludzi, nie wybiegających poza czas swój. Wychwalanie natomiast monotheizmu przez Józefa jest nie tylko obroną judaizmu przed zniewagami Greków starożytnych, lecz monotheizmu w ogóle, nie znającego kompromisów, opartego na wyrzeczeniach, trudnego w realizacji. Stosunek gminu greckiego do bóstwa był wybitnie praktyczny; było to 'życie ułatwione' w luźnym zupełnie stosunku do religii.

Zobaczymy naprzykład, jaki jest punkt widzenia Agatharchidesa z Knidos (C. Ap. I 209—211): „Ci, których nazywają Żydami, zamieszkując najbardziej ze wszystkich obwarowane miasto, zwane przez tubylców Jerozolimą, zwykli powstrzymywać się od pracy każdego siódmego dnia, nie nosić wtedy broni ani zajmować się uprawą roli ani wykonywać służby publicznej, jeno się modlić w świątyniach z wyciągniętymi rękami aż do wieczora. To też, gdy Ptolemaios, syn Lagosa, z wojskiem wkroczył do kraju i ludzie ci, miast bronić miasta, obstawali przy swoim szaleństwie, ojczyzna ich otrzymała gwałtownego władcę, a zwyczaj, podyktowany przez prawo, okazał się niedorzecznym. Doświadczenie to udowodniło wszystkim, z wyjątkiem tego narodu, że nie należy uciekać się do snów i tradycyjnych domysłów o bóstwie, dopokąd kłopotliwa sytuacja nie niweczy ludzkich rozumowań".

Na to odpowiada Józef tak (§ 212): „Agatharchides uważa to za rzecz śmieszną; ale jeśli rozważyć beznamiętnie, to wielkim i nader chwalebnym wyda się fakt, że są ludzie, którzy zawsze cenią więcej przestrzeganie praw (tj. Zakonu) i bogobojność, niż własne życie i bezpieczeństwo ojczyzny".

Pomijam, że Agatharchides, jak w ogóle świat starożytny, nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia dnia świątecznego w tygodniu — jednej z największych zdobyczy socjalnych świata — ale zastanawiający jest tu praktyczny stosunek Greka do swoich bóstw. Podług Agatharchidesa — a tak myślał każdy przeciętny Grek — człowiek winien polegać wyłącznie na własnym rozumie; tylko w sytuacji trudnej, kiedy rozum zawiedzie, wtedy dopiero ma prosić o interwencję siły nadprzyrodzonej. Każdy, nawet niereligijny człowiek, uzna taki stosunek do Boga za nieetyczny.

Jeszcze bardziej zastanawiająca jest odpowiedź Józefa: theokracja przeciwstawiona jest poprostu omnipotencji państwa. Spór ten pójdzie odtąd z pokolenia w pokolenie, zakłócając życie prywatne jednostki i życie publiczne wielu państw.

Józef stale podkreśla, że judaizm jest niezmienny, dogmatyczny i kanoniczny, podczas gdy hellenizm nacechowany jest płynnością i zmiennością form, co stanowi przecież niższość i słabość tej religii. Nie znaczy to, że Józef nie ocenia sprawiedliwie wartości hellenizmu jako prądu umysłowego i kulturalnego; najlepszym tego dowodem jest, że chwali bardzo Sokratesa, Platona i wielu innych Greków. Ale razi Józefa zmienność i elastyczność religii greckiej. „Jedynie u nas — czytamy w C. Ap. II 180 — nie usłyszy nikt sprzecznych twierdzeń o Bogu, jak to pospolicie u innych narodów wygłaszają nie tylko pierwsi lepsi pod wpływem chwilowego nastroju, lecz śmiało wywodzą także niektórzy filozofowie, z których jedni usiłują swymi rozprawami zaprzeczyć istnieniu Boga w ogóle, drudzy zaś pozbawiają Go Opatrzności nad ludźmi".

I cóż się okazało w rezultacie? Ta sama zmienność grecka, przeniesiona z dziedziny religijnej w dziedzinę nauki i sztuki, okazała się zbawienną dla Greków i dla świata; i ta sama niezmienność judaizmu, przeniesiona również w tę dziedzinę, okazała się jałową ponad wszelki wyraz.

Józef np. cieszy się, że Platon dla uratowania niezmienności praw i prawdziwej koncepcji Boga wypędza ze swego idealnego państwa wszystkich poetów i nawet Homera (II 256). Nie przewiduje Józef, że bieg czasów dowiedzie niesłuszności tezy platońskiej, że stokroć lepiej jest dla ludzkości, aby poeci, nawet nie szanujący religii, istnieli. Tak samo omylili się Józef i Platon, domagając się rugowania cudzo-

ziemców, aby móc utrzymać swoich obywateli w wierności dla praw. Na poparcie Józef powołuje się na Lakedaimonów i powiada (II 259): „Lakedaimonowie ustawicznie rugowali cudzoziemców i własnym obywatelom nie zezwalali na wyjazd za granicę, obawiając się w obu wypadkach szkodliwego wpływu na swoje prawa". Jak to się dobrze złożyło, że teza ta pozostała bez skutku dziejowego, że zwyciężyła teza humanitarna, nie uznająca xenophobii i xenelasji. Tylko państwo theokratyczne jak żydowskie, militarystyczne jak Sparta i 'idealne' jak platońskie — mogły taką głosić doktrynę. Nie osłabia faktu twierdzenie Józefa (II 261), że Żydzi przyjmowali z przyjemnością tych, którzy pragnęli z nimi żyć według obyczajów żydowskich, czyli przyjmowali elementy asymilujące się lub zasymilowane. Teoria ekskluzywności okazywała się zawsze zgubną dla jej twórców.

III.

I tu dochodzimy do sedna sprawy — pochwały ustawodawstwa t h e o k r a t y c z n e g o jako czegoś skończonego w swej doskonałości (II 184—187). Jest ona dla nas obecnie już b e z żadnego znaczenia, bo fakty historyczne wykazały zgubność wszelkiej theokracji, zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym. Stąd negacja klerykalizmu we wszystkich państwach postępowych, dochodząca nawet do rozdziału kościoła od państwa. Badając dzieje ludzkości, stwierdzamy, że ilekroć bierze górę prąd theokratyczny, rozwój jej zostaje zahamowany; przeciwnie, laicyzacja przyczynia się do postępu ludzkości.

Drobiazgowe ujęcie szczegółów życia codziennego, przeniknięcie tego życia nawskroś religią, musiało przybrać rozmiary bezdusznej theokracji. Ujemnych jej skutków nie mógł jeszcze przewidzieć Józef, ale my dobrze zdajemy sobie teraz sprawę, że taką theokracją pogrążylibyśmy ludzkość w mrokach czasów minionych. Józef nie rozumie istoty sekularyzacji, gdy pisze (II 176—177): „Przeważnie ludzie są tak dalecy od tego, aby żyć według praw ojczystych, iż omal ich nie znają zupełnie, lecz dopiero gdy zawinią, wtedy od innych dowiadują się, iż pogwałcili prawo. Nawet ci, którzy u nich sprawują najwyższe i najważniejsze urzędy, przyznają się do tej ignorancji i dla kierowania administracją przybierają sobie do pomocy zawodowych ekspertów prawniczych". Dziwi

zatem Józefa, że namiestnik rzymski ma doradców-prawników; wolałby, aby namiestnik czerpał wiadomości fachowe z samej religii. Dzisiaj byłoby nie do pomyślenia, aby człowiek, sprawujący jakąś ważniejszą funkcję państwową, obywał się bez odpowiedniego resortu, zatrudniającego sztab specjalistów i pomocników.

Jak ta theokracja odbiła się na wynalazczości Żydów, powszechnie wiadomo. Zabójcze są w treści i w duchu słowa całego rozdziału XX/II 182—3). Wyjaśnienie braku inwencji u Żydów nie przynosi zaszczytu Józefowi. Trudno tu nie uznać stanowiska Zielińskiego. Sztuka i nauka świecka uratowana została dzięki nauce greckiej, odseparowanej od religii greckiej, nie zaś dzięki Biblii. I jeżeli żydowstwo wówczas nie wydało wynalazców, poetów, dramaturgów, astronomów, matematyków, rzeźbiarzy i malarzy, to dlatego, że świecki rozwój nauki był zupełnie niemożliwy wobec nietykalności Biblii. Jeżeli natomiast Żydzi w okresach emancypacji i w dobie ostatniej zdolni byli wydać niepospolitych ludzi nauki i sztuki, luminarzy i geniuszów, to właśnie dzięki paidei greckiej. Byli to zawsze Żydzi wychowani na kulturze europejskiej, uznającej wolność oraz świecki charakter badań naukowych (Heine, Einstein, Hertz, Antokolski, Wassermann, Ehrlich, Bergson, Michelson i inni). Dlatego też prędzej czy później hellenizujący Żydzi, w niczym nie umniejszając wartości judaizmu, musieli uznać sztukę. Rzeźby synagogi w Kafarnaum, freski synagogi w Dura-Europos nad Eufratem, mozaiki z Beth Alfa w Galilei — świadczą nie tyle o odstępstwie od judaizmu, ile o włączeniu twórczych pierwiastków kultury greckiej. Jest to już wiek II—IV po Chr., a więc czasy po Józefie. Józef jeszcze uparcie stoi na gruncie dogmatyki żydowskiej, zabraniającej wszelkich wizerunków.

Po raz ostatni Europa zagrożona została takim stanowiskiem judaistycznym w wieku XVI ze strony kalwinizmu, wrogo usposobionego do sztuki, radości życia, wolności ducha i indywidualnego rozwoju człowieka. W Szwajcarii, Holandii i Anglii purytanizm złagodził w końcu swoje hasła, — znów na szczęście dla ludzkości, bo czy można sobie wyobrazić ostatnie stulecia bez malarstwa, teatru, muzyki i architektury? Twierdzenie de Bèze'a: *libertas conscientiae diabolicum dogma* okazało się po prostu zgubne.

IV.

Najsilniejszym zato elementem judaizmu jest jego etyka. Wystarczy przeczytać u Józefa (II 199—214) rozdziały, traktujące o zasadach małżeństwa i wychowania dzieci, o obowiązkach wobec zmarłych, czci dla rodziców, stosunku do obcych, w ogóle o humanitarności Zakonu, aby przekonać się o tym, jak praktycznie życie żydowskie górowało nad greckim pod względem czystości obyczajów, zwłaszcza gdy uświadomimy sobie wszystkie perwersje miast greckich i rzymskich, utrzymujących rzesze inwersów i prostytutek, oraz społeczny wpływ tych anomalij, popieranych przez wszystkich cesarzy, a zwłaszcza największego hellenizatora — Hadriana, który doszedł aż do deifikacji swego oblubieńca Antinoosa. To też Józef miał niejako słuszność, gdy rekapitulował treść swego dzieła w sposób następujący (II 291—295): „Pokazały one (scil. prawa), że uczą nie bezbożności, ale najprawdziwszej pobożności; że zachęcają nie do nienawidzenia ludzi, lecz do dzielenia się z nimi swoim mieniem; że są wrogami bezprawia, troszczą się o sprawiedliwość, tępią lenistwo i zbytek, uczą niezależności i zamiłowania do pracy; że odstraszają ludzi od wojen dla podboju, lecz zaprawiają ich do mężnej obrony samych praw; że są nieubłagane w karaniu, nieczułe na wywody popisowych mów; że zawsze utwierdzane są czynami, gdyż to są nasze argumenty, jawniejsze od wszelkich dokumentów. Dlatego śmiałbym twierdzić, żeśmy wskazali innym narodom bardzo wiele najpiękniejszych rzeczy. Cóż bowiem piękniejszego jest od nietykalnej pobożności? cóż sprawiedliwszego od posłuszeństwa dla praw? Albo cóż pożyteczniejszego od wzajemnej zgody obywateli, nierozłączania się w nieszczęściu, niekłócenia się w szczęściu z nadmiaru zuchwałości, od pogardy dla śmierci na wojnie, przykładania się do rzemiosł i rolnictwa w czasie pokoju, od przekonania, że wszystko na świecie jest pod okiem i kierunkiem Boga? Gdyby te nakazy spisane były u innych przedtem lub przestrzegane mocniej, winni bylibyśmy tym ludziom wdzięczność jako ich uczniowie. Jeżeli jednak widać, że najlepiej ze wszystkich pilnujemy ich, jeżeli dowiedliśmy, że stworzenie tych praw należy do nas, to niech Apionowie, Molonowie i wszyscy, którzy się lubują w kłamstwach i zniewagach, uznani zostaną za oszczerców“.

EUGENIUSZ JULIAN PEŁENSKYJ

OVIDIUS W LITERATURZE UKRAIŃSKIEJ

I

Podanie o Ovidiusie na Ukrainie. — Ovidius w szkołach i w Akademii Kijowskiej w XVI—XVIII w. — Twórczość Prokopowycza i Tuptałenki. — Najdawniejsze przekłady.

Zainteresowania humanistyczne w Polsce przypomniały miejsce zesłania Ovidiusa, które według ówczesnego przekonania miało znajdować się gdzieś na południowej Ukrainie. Dzięki temu, począwszy od połowy w. XVI, powstaje wielka literatura o tym podaniu, o 'odszukanym' grobie i o 'słowiańskich' wierszach Ovidiusa. Już w r. 1582 Maciej Stryjkowski wyraził przypuszczenie, że Ovidius pisał „sławiańskim językiem, albo ruskim wiersze, bo go była ku temu wdzięczność mowy przywiodła, iż się jej nauczył doskonale"[1]).

Podanie to przeszło do ówczesnych kronik ukraińskich, których autorowie chętnie i często korzystali ze źródeł polskich. Podsycała je etymologia ludowa, która związywała z Ovidiusem liczne na Ukrainie nazwy miejscowości typu *Wydowe, Owydowe (Wydowe ozero* — u Michała Litwina 1550 blisko ujścia Dniestru, *Owydowa hora* itp.). Dzięki temu utrzymało się to podanie aż do połowy w. XIX. Ostatni wspomina o tym gr.-kat. proboszcz Sofron Witwicki w r. 1863:

„*Owidowa hora* i *Owidowe ozero*[2]), są to dwa miejsca w górach huculskich blisko Kut obok Tiudowa i obok Rożna wielkiego, które każdy Hucuł wskaże, a mają to być te miejsca, gdzie sławny Ovidius przebywał na wygnaniu; wiemy zaś, że Dacja Panonia, obecne Pokucie i Bukowina, były

---

[1]) Kronika. W wyd. M. Malinowskiego, Warszawa 1846, s. 104.

[2]) Etymologia wyrazu niejasna. Prof. Z. Stieber próbował wyjaśnić nazwę spotykaną dość często na terytorium językowym polskim i słowackim w Karpatach: *Obidowa* przy pomocy ukraińskiego *obyda 'obraza'* *(Lud Słowiański,* III 1934, s. 243). Nie ulega wątpliwości, że polskie *Obidowa* i ukraińskie *Owydowa* pochodzą z jednego źródła. Ale już sama zamiana *b:w* wskazuje, że źródło to nie jest słowiańskie. Dlatego też trudno uznać wyjaśnienie p. Stiebera za poprawne. Nieco światła rzuca na to zagadnienie geografia miejscowości o nazwie *Owydowa-Obidowa;* oprócz jednej nazwy obok Pińska na Polesiu wszystkie inne są związane z dolnym Dniestrem i Karpatami od Seretu aż po Morawy.

miejscem wygnania u Rzymian dawnych. Podobnież koło Solki na Bukowinie pokazują skałę zwaną *Owidowa*, nawet w tej skale wykute miejsce na spoczynek, mnie się zaś zdaje, że to prędzej było miejsce jakowegoś pustelnika, albo czerca, mnicha dawnego, podobnie jak w Rakowcu nad Dniestrem"[3]. Ks. Witwicki wątpi już w prawdziwość podania o Owidiusie, ale jeszcze przy końcu w. XVIII uchodziło ono za pewnik. W r. 1793 nazwano małe miasteczko Adzi-dere, leżące przy limanie Dniestru, Owidiopolem — w przekonaniu, że żył tam dawniej Ovidius.

O popularności Ovidiusa na Ukrainie w w. XVII—XVIII — wobec braku innych danych — można poniekąd wnioskować na podstawie katalogów dawnych bibliotek. Dzieła Ovidiusa znajdowały się w bibliotece lwowskiej Stauropigii, utrzymującej swoją szkołę, jak o tym świadczy *Rejestr knyh lwowskoho Stauropyhijskoho Bratstwa* z r. 1601 [4]) oraz z r. 1619 [5]). Egzemplarz późniejszego wydania *Tristium* i *Epistolarum* zachował się w bibliotece Stauropigii do dzisiaj [6]). Kilkadziesiąt różnych egzemplarzy dzieł Ovidiusa posiadała biblioteka Kijowskiej Akademii [7]). Do własnych zbiorów dodawano coraz to nowe biblioteki, które Akademia otrzymywała w darze od swych profesorów, biskupów i starszyzny kozackiej. Wszyscy oni posiadali w swych bibliotekach dzieła Ovidiusa. Np. po śmierci archimandryty Warłaama Łaszczewskiego w r. 1776 otrzymała Akademia komplet dzieł poety, chociaż złożony z różnych edycyj: „Ovidii Nasonis epistolarum, heroidum, Londini; Fastorum ibid.; Tristium Lipsiae; Metamorphosis Londini; Tristium ibid" [8]). Świadczy to już nie o przypadkowej zbieraninie, ale o celowości w doborze i o znajomości autora. Wśród książek prof. retoryki I. Samojłowycza Aka-

---

[3]) Rys historyczny o Huculach. Lwów 1863, s. 94.

[4]) Hołubiew S., Kiewskij Mitropolit Petr Mohyła, Kijów 1883, t. I, Priłoženija, s. 169.

[5]) Archiw Jugo-Zapadnoj Rossiji, cz. I, t. XII s. 7.

[6]) Swiencickyj I., Opyś Muzeja Stawropyhijskaho Instytuta, Lwów 1908, s. 86.

[7]) Petrow N., Akty i dokumenty otnosiaszczijesia k istoriji Kijewskoj Duchownoj Akademiji, Kijów 1907, otd. II, t. 4, s. 354, 440, 443 i in. *(Catalogus librorum Bibliothecae Academiae Kioviensis).*

[8]) Petrow, o. c. otd. II, t. 4, s. 214.

demia otrzymała w r. 1783 kompletne, 5-tomowe wydanie dzieł Ovidiusa [9]), poza tym bardzo wiele innych.

Dzieła Ovidiusa czytano w dawnych szkołach ukraińskich we Lwowie (Stauropigialna 1586), w Ostrogu, w Dubnie, w Łucku, w Kijowie i w innych miejscowościach. W szkołach tych łacina zajmowała uprzywilejowane stanowisko, w programie zaś nauczania w klasie poetyki była obowiązkowa lektura dzieł Ovidiusa oraz innych łacińskich klasyków. Zresztą znajomość Ovidiusa rozpoczynała się już od Alvara *(De Institutione Grammatica libri tres)*. Czytano *Fasti, Tristia*, oraz *Metamorphoses* w szkolnych wydaniach [10]).

Największą zasługę ma w tym względzie Kijowsko-Mohilańska Akademia. Ponieważ zaś pierwsze przeróbki i przekłady dzieł Ovidiusa na Ukrainie są ściśle związane z Akademią, należy się przy tym nieco zatrzymać. W Akademii Kijowskiej znawstwo autorów łacińskich uległo z czasem daleko idącej specjalizacji. Poszczególni profesorowie wybierali sobie nieraz dla swych studiów jednego tylko autora. Charakterystyczną z tego względu była np. habilitacja profesora poetyki Diakowskiego. W ocenie jego prac prof. Ihnat Maksymowycz bardzo dobitnie podkreślił, że jest on znakomitym znawcą poezji Horatiusa [11]). Otóż takim specjalistą Ovidiańskim był T e o f a n P r o k o p o w y c z. Zresztą był on nie tylko znawcą, ale też wielkim miłośnikiem muzy Ovidiusowej. Po ukończeniu Akademii Kijowskiej w r. 1698 Prokopowycz został wysłany do Rzymu, w r. 1699 dla dalszych studiów. Zajął się tam przede wszystkim poezją grecką i rzymską. Podczas kilkuletniego pobytu w Rzymie uzupełnił swe wykształcenie klasyczne, poznał wszystkie ważniejsze dzieła autorów klasycznych, zwłaszcza łacińskich: Vergiliusa, Horatiusa, Ovidiusa, Catullusa, Cicerona, Tacitusa i innych. Ulubionym jego autorem już wtedy był Ovidius.

Gdy po powrocie do Kijowa w r. 1704 został mianowany profesorem poetyki, zreformował wykłady tej dyscypliny zupełnie. Już w swych wykładach w r. akad. 1704/5 odrzucił

---

[9]) Petrow, o. c. otd. II, t. 4, s. 14. — t. 3, s. 391, 408, 410 (biblioteka Mikołaja Bantysz-Kameńskiego); otd. III, t. 2, s. 548, 553, 556 i in.

[10]) Szlapkin I. A., Istorija russkoj literatury (Jugo-zapadnaja Ruś XVI—XVIII w.), cz. II, Petersburg 1911, s. 283.

[11]) Petrow, o. c. II 2, s. 318.

wiele skostniałych, a obowiązujących tradycyjnie formuł, zalecając natomiast bezpośrednie wzorowanie się na dziełach klasyków, a to w epice przede wszystkim na dziełach Homera i Vergiliusa, w liryce Horatiusa, Ovidiusa i Catullusa, w tragedii — Seneci, wreszcie w komedii — Plautusa i Terentiusa. Zarówno w swych wykładach, jako też w swym podręczniku poetyki *De arte poëtica* z r. 1705[12]) wiele uwagi poświęca Oviudiusowi.

Gdy Prokopowycz został w r. akad. 1710/1 rektorem Akademii, którą to godność piastował przez 4 lata, aż do powołania go do Moskwy, gdzie został arcybiskupem Nowhorodzkim, zreformował nie tylko wykłady, ale też naukę w klasach niższych istniejących przy akademii. Do klasy poetyki wprowadził w szerszym niż to było dotychczas zakresie lekturę Ovidiusa. Niestety, nie ogłoszono dokładnego programu nauczania języka łacińskiego z tego czasu. Również sprawozdania z przerobionego materiału pochodzą dopiero z pierwszych lat w. XIX. Ponieważ jednak wtedy Akademia była już szkołą starego typu, zupełnie oderwaną od życia, gdzie od czasu Prokopowycza aż do wielkiej reformy w r. 1819 nie wprowadzono nawet najmniejszych zmian w programie nauczania, można przyjąć, że tego samego uczono przez cały wiek XVIII. Otóż sprawozdanie za r. 1806 podaje, że w klasie poetyki: „Proczytano i wyuczeno iz Owidija: 1⁰ Institutio puerilis; 2⁰ Elegia III-a libri primi, quae ita incipit: Cum subit illius tristissima noctis imago; 3⁰ Ex eodem auctore elegia VII-a, quae ita incipit: In caput alta suum labentur...; 4⁰ Libri IV-ti elegia VI-a, quae ita incipit: Tempore ruriculae patiens sit taurus aratri; 5⁰ Eiusdem libri elegia VIII, quae incipit ita: Iam mea Cygneas imitantur tempora plumas; 6⁰ Ex eodem auctore lib. V. Elegia XII-a, quae ita incipit: Scribis ut oblectem studio lacrymabile tempus“[13]). Podobne są sprawozdania z lat następnych, z poprzednich zaś mniej szczegółowe, np.

---

[12]) Wydany drukiem dopiero w r. 1786 przez G. Konyskiego. — Ocenę i charakterystykę dali N. Petrow („Oczerki iz istorii ukraińskoj literatury XVII—XVIII w. Kijów 1911, s. 206—210); W. Riezanow (Iz istorii russkoj dramy, Moskwa 1910, s. 26—33) i P. Morozow (Teofan Prokopowycz, Petersburg 1880, s. 97—99).

[13]) Petrow, o. c. III 2, s. 281—2.

[14]) Tamże, III 1, s. 391.

za r. 1802: „Wyuczywajemy były soczynenija Horacija, Wergilija i Owidija, ody duchownyje etc.“[14]), lub: „Oznaczeny były dla wyuczowanija ody i satyry Horacija, eklogy Wergilija i elegiji Owidija“[15]).

Bardzo ściśle związana jest z zamiłowaniami klasycznymi cała twórczość poetycka Prokopowycza, przede wszystkim zaś jego poezje i dramat historyczny pt. *Władymyr*. Wpływ zaś Ovidiusa zaznaczył się wyraźniej na poezjach łacińskich Prokopowycza.

Na uwagę zasługuje z tego względu jego *Elegia Alexii*. Napisana między r. 1698 a 1704, jest tzw. poważną parodią dwóch elegij Ovidiusa (Trist. I 3 i 4). Podobieństwo całego szeregu motywów tych elegij Ovidiusa, zwłaszcza zaś motywu pożegnania z domownikami, z motywami życiowymi św. Aleksego, podsunęło Prokopowyczowi myśl wykorzystania gotowej formy poetyckiej do nowego ujęcia literackiego życiorysu tego popularnego na Ukrainie świętego. W tym czasie parodia lub trawestia nie musiała być dziełem komicznym. Często była utrzymana w tonie poważnym, szczególnie w takich przeróbkach, kiedy to zastosowywano jakiekolwiek dzieło klasyczne do tematyki chrześcijańskiej. W poetyce profesora Akademii Kijowskiej, późniejszego arcybiskupa G. Konyskiego *Praecepta de arte poëtica* z r. 1746 znajduje się taka definicja parodii: „Tertium exercitationis genus est dictum p a r o d i a, cum ad normam poëmatis ab aliquo Aucthore editi nostrum opus ita aptamus, ut veluti vestigiis insistamus, et verba verbis, sententiis sententias similis vel contrarias et e regione oppositas conferamus“. Nie ma tu nawet wzmianki o tym, że parodia powinna być utrzymana w tonie komicznym, co tak dobitnie podkreślają późniejsi teoretycy[16]). Zresztą Konyskyj podaje właśnie elegię Prokopowycza przy definicji parodii jako „Exemplum elegans Illustr. Aucthoris Theofanis, qui descripsit exilium divi Alexii eo modo, quo Ovidius exilium suum libro 1-mo, elegia 3-tia Tristium“.

Jak wykazała szczegółowa analiza elegii, przeprowadzona przez prof. Hruzyńskiego, Prokopowycz bardzo ściśle trzy-

---

[15]) Tamże, za rok 1803, III 1, s. 655.

[16]) E. J. Pełenskyj, Ukraińska literaturna parodija, Lwów 1934, s. 5—9.

mał się tekstu Ovidiusa, dlatego też jego elegia mało podobna do żywotów św. Aleksego. Stosunkowo jeszcze najbardziej zbliża się do tzw. Monachijskiej redakcji żywotu. Idąc za Ovidiusem, Prokopowycz podkreślił i rozwinął przede wszystkim jeden moment — pożegnania i ucieczki z domu rodzicielskiego, która odbyła się w dzień jego ślubu. Do tego dodał opis podróży morskiej, którego zwykle żywoty nie podają. Hruzyńskyj nie zwrócił uwagi na to, że mógł tu iść też Prokopowycz za ukraińską pieśnią ludową, która z żywotu św. Aleksego stale wyodrębniała tylko jakiś jeden motyw, np. płacz matki (najdawniejsze teksty pochodzą z końca w. XVII).

Zgodnie z zasadami parodiowania Prokopowycz zachował niektóre miejsca z elegij Ovidiusa bez zmian, często zastępował poszczególne wyrazy synonymami, kiedyindziej zmieniał budowę zdania, ale zatrzymywał sens. Rzadziej trawestował tekst, tzn. pozostawiał ogólny schemat ustępu, wypełniając go inną treścią. Oczywiście, że szereg ustępów musiało ulec zupełnej przeróbce.

Jako przykład bardzo zbliżonych miejsc można podać w. 27—28[17]):

Ov.: Iamque quiescebant hominumque canumque,
Lunaque nocturnos alta regebat canos.

Pr.: Iamque quies hominum voces premit alta canumque,
Lunaque sublimem carpit in axe viam.

Nawet gdy Prokopowycz przedstawia jakikolwiek ustęp swymi słowami, trzyma się ściśle oryginału, np. w. 49—51, opisujące noc:

Ov.: Iamque morae spatium nox praecipitata negabat.
Versoque ab axe suo Parrhatis Arctos erat.
Quid facerem? blando patriem retinebar amorem,
Ultima sed jussae nox erat illa fugae.

Pr.: Nec jam cum tando spatium nox multa sinebat
Vertabatque suos Arctos in axe gyros.
Quid facerem? patris, fateor retinebat amore:
Sola sed ista meae nox fuit apta fugae.

Inne partie elegii mają podstawione wyrazy lub całe zdania, wzięte — jak powiedziałby Konyskyj — z zakresu podobieństw

[17]) Tekst Ovidiusa według wydań XVII w.

lub przeciwieństw. Zmieniają one tekst Ovidiusa, ale w nowo utworzonym obrazie można jednak odnaleźć rysy pierwotne, np. początek elegii:

Ov.: Cum subit illius tristissima noctis imago
Quae mihi supremum tempus in Urbe fuit;
Cum repeto noctem, qua tot mihi cara reliqui.

Pr.: Illius cum scaena subit faustissima noctis
Quae mihi supremum claudit in Orbe diem.
Cum recolo noctem, qua tot mihi vincula rupi.

Wszystkie te zmiany miały na celu zbliżyć, czy raczej nagiąć treść elegii do tekstu życiorysu, oraz nadać nowemu utworowi charakter chrześcijański, a nawet asketyczny:

Ov. III. 5: Jam prope lux aderat, qua me discedere Caesar
Finibus extremae jusserat Ausoniae.

Pr. 5: Aptum tempus erat, quo me de sede paterna.
Praecipuus Christi cedere jussit amor.

Nie zawsze można było wprowadzać tego rodzaju zmiany, dlatego też np. druga część elegii uległa bardziej zasadniczej przeróbce.

W swej cennej rozprawie nie podkreślił prof. Hruzyńskyj pewnego szczegółu, bardzo charakterystycznego dla parodii. Mianowicie Prokopowycz świetnie dobiera wyrazy o innym znaczeniu, a o podobnej wartości dźwiękowej, co podnosi wartość jego parodii, np. *tristissima* — *faustissima, in Urbe* — *in Orbe, discedere* — *de sede* itp.

Elegia Alexii Prokopowycza była bardzo popularna na Ukrainie przez cały w. XVII, zwłaszcza w szkołach, jako *exemplum elegans parodiae,* często cytowana w poetykach, była też kilkakrotnie ogłoszona drukiem, nawet zagranicą.

Drugim wybitnym miłośnikiem Ovidiusa był Dymitr Tuptałenko (1651—1709). Losy jego były podobne do losów Prokopowycza. Syn setnika kozackiego, studiował w Akademii Kijowskiej, w której pracował też jako profesor, szybko jednak powołany został przez cara do Rosji, gdzie otrzymał stanowisko arcybiskupa rostowskiego. Dlatego też jego praca literacka, chociaż tak ściśle związana z ówczesnymi prądami literackimi na Ukrainie, rozwijała się już przeważnie na gruncie moskiewskim.

W Rostowie założył Tuptałenko szkołę, w której nauka odbywała się w języku łacińskim, podobnie jak w szkołach ukraińskich i zachodnio-europejskich, a nie w języku greckim, jak w szkołach rosyjskich. Sam też ułożył podręcznik, w którym podał szereg ustępów, opracowanych na podstawie dzieł autorów łacińskich. M. i. znajdował się tam ustęp o Akteonie, podany za Ovidiusem [18]. Wśród wcześniejszych utworów Tuptałenki znajduje się polski wiersz pt. *De poesi leprosa,* w którym podano motto zaczerpnięte z Ovidiusa (*Trist.* I 1) [19]. W dziele pt. *Litopyseć kełejnyj* z r. 1708—9 znajduje się „traktat o bohach ełłynskych" opracowany na podstawie Ovidiusa. W całym tym dziele Tuptałenko często cytuje autorów klasycznych, a zwłaszcza Ovidiusa [20]. W ostatnim swym dziele, w rozprawie pt. *„Rozysk o Brynskoj wiri"* z r. 1709 podaje Tuptałenko mit o Phaethonie [21].

Na osobną uwagę zasługuje tłumaczenie, znalezione w bibliotece Tuptałenki po jego śmierci pt. „Metamorphoseon, se jest' Preobraženij, iły Peremin P. Owidijem Nasonom stychamy opysannych z tołkowanijamy 8 knyh. Knyha sija perepłetena 1706 hoda aprila 16, a hospodyn jeja smyrennyj Dmytrij archijerej Rostowskij. Sija knyha ne procztena, ne isprawłena, opysky preispołnena". Tłumaczenie to pozostało dotychczas w rękopisie [22]. Jak podaje prof. A. Sobolewskij, rękopis był pisany przez kilku pisarzy, w każdym razie nie mniej niż trzech. Na tej podstawie przypuszcza on, że było też bodaj trzech tłumaczy [23]. Ponieważ rękopis znajduje się w Moskwie, trudno tę rzecz rozstrzygnąć. W każdym razie o wiele prawdopodobniejsze będzie przypuszczenie, że tłumacz był jeden, który tylko dyktował różnym pisarzom. Trudno bowiem przypuścić, aby przy końcu w. XVII i z początkiem w. XVIII znalazło się w Rostowie moskiewskim aż kilka osób, tłumaczących właśnie Ovidiusa, tym bardziej, że w tym czasie w Rusi moskiewskiej w ogóle nie robiono przekładów z au-

[18] Szlapkin I., Św. Dymytrij Rostowskij. Petersburg 1891, s. 335.
[19] Szlapkin, o. c. s. 264.
[20] Szlapkin, s. 424.
[21] Szlapkin s. 444.
[22] Szlapkin s. 407.
[23] Sobolewskij A. I., Pierewodnaja litieratura moskowskoj Rusi XIV—XVII w. Petersburg 1903, s. 183.

torów łacińskich. Tłumaczem tym był najprawdopodobniej sam Tuptałenko, który już jako student Akademii Kijowskiej wykazał duże zamiłowanie do autorów klasycznych, który w innych swych dziełach często cytuje Ovidiusa, w którego wreszcie bibliotece tłumaczenie znaleziono wraz z polskim przekładem. Uwaga umieszczona na rękopisie o tym, że tłumaczenie nie jest poprawione, zdaje się potwierdzać to przypuszczenie. Trudno bowiem przypuścić, aby ktoś ofiarował arcybiskupowi rękopis niepoprawionego tłumaczenia. Potwierdza to też napis „a hospodyn jeja smyrennyj Dmytrij“, gdyż 'hospodyn', czyli: 'pan, właściciel', może też w pewnym sensie oznaczać autora.

W bibliotece Typtałenki znaleziono oprócz tego tłumaczenia, zawierającego też obszerny komentarz, przekład polski *Przemian,* oraz łacińskie oryginały.

W drugiej połowie w. XVIII tłumaczył Ovidiusa Hryhory Kozyckyj (ur. ok. 1725, um. 1775). Podobnie jak jego poprzednicy, studiował on w Akademii Kijowskiej, następnie przez kilka lat podróżował po Europie, od r. 1758 był lektorem języka łacińskiego w Akademii, następnie zaś adiunktem filozofii i literatury. Ale już w r. 1763 został wezwany z Kijowa do Petersburga, gdzie był przez dwa lata sekretarzem ks. Orłowa, a następnie podsekretarzem stanu przy carowej Katarzynie (1769—1775). — W Kijowie wiele tłumaczył z greckiego i łacińskiego na ówczesny język literacki ukraiński (pierwsze tłumaczenie wydane drukiem w r. 1752). Przez długi czas pracował nad tłumaczeniem *Metamorphoseon* [24]). Drukiem wydał je w Petersburgu w r. 1772 pt.: *„Owidijewy Prewraszczenija s łatynskaho“*. Pracując od kilku lat w Petersburgu, starał się też, swoje tłumaczenie zrobić bardziej dostępnym dla nowego środowiska, dlatego też wprowadził szereg rusycyzmów. Mimo tego jednak o wiele więcej zbliża się ono do ówczesnego ukraińskiego języka literackiego, niż do rosyjskiego.

Z końca w. XVIII pochodzą tłumaczenia ukraińskiego poety i filozofa Hryhorego Skoworody (1722—1794), który obok kilkunastu przekładów z Horatiusa i innych au-

---

[24]) Petrow o. c. II 1, 2, s. 429—430; Askoczenskij W. Kiew s drewniejszym jewo uczilisczem Akademijeju. Kijów 1869, s. 200—202.

torów łacińskich przetłumaczył *Pochwałę astronomii* (Ex. Ovid. Fast).

Można tu wymienić jeszcze Abrahama Mrazowycza (1756—1826), pisarza serbskiego, który jednak może być równie dobrze zaliczony do autorów ukraińskich, gdyż pochodził z ukraińskiej kolonii w Banacie. W jego cerkiewnosłowiańskim języku jest bardzo dużo ukrainizmów, o wiele więcej niż wyrazów serbskich. Dlatego też czytano go nie tylko w południowej Słowiańszczyznie, ale również w ówczesnej Galicji. Wśród prenumeratorów jego dzieł znajduje się wiele Ukraińców z metropolitą lwowskim na czele. Bardzo dużo jego książek do dzisiaj znajduje się w bibliotekach ukraińskich, niektóre zaś przedrukowano we Lwowie (np. *Rukowodstwo* w r. 1851).

Mrazowycz należał do tych autorów, którzy wiele uwagi poświęcili Ovidiusowi, i to prawie wyłącznie jemu. Widoczne to w jego podręczniku poetyki pt. „Rukowodstwo k sławenskomu krasnoriczіju, wo upotrebłenije lubytełej sławenskaho jazyka“ (1. wyd. 1794, 2. w Budapeszcie 1821). Wśród przykładów cytuje tam Mrazowycz tak często Ovidiusa, jak żadnego innego autora. Dzieła Ovidiusa podaje Mrazowycz we własnym tłumaczeniu. Jako przykład języka i stylu Mrazowycza może posłużyć następujący czterowiersz (*Ex Ponto* IV, 10):

Jeże ły mia kto woprosyt, poczto pyszu sija;
I besidy kuju polzu dajut' podobnyja:
Wremia i skorb — wozotwiszczu, timy prowożaju,
Tu jedynu toho czasa polzu połuczaju.

Cytaty z Ovidiusa podaje Mrazowycz prawie w każdym ustępie swej poetyki.

W r. 1818 wydał Mrazowycz w Budapeszcie *Tristia* i *Ex Ponto* w przekładzie na język cerkiewno-słowiański, podając równocześnie obok tłumaczenia tekst łaciński [25]).

II.

Wiek XIX: Trawestie. — Korsun. — Szewczenko i in.

Tradycje klasyczne skupiające się na Ukrainie w Akademii Kijowskiej przetrwały aż do początku w. XIX. Z czasem ję-

---

[25]) P. Owidija Nasona peczalnych knyhy V. Buda 1818. P. Ovidius Naso: Tristium lib. V. illustrati per A. Mrasowits. — P. Owidija Nasona

zyk narodowy zajmuje tu jednak pierwsze miejsce zamiast zukrainizowanego cerkiewno-słowiańskiego. Pseudoklasyczna poetyka głosiła, że poważne dzieła należy pisać w języku cerkiewno-słowiańskim, łacińskim, lub greckim (tzw. wysoki styl), natomiast inne rodzaje literackie, jak komedie, gawędy, parodie, trawestie itp. można tworzyć w języku ludowym (tzw. niski styl). Dzięki temu powstają już w w. XVIII parodie i trawestie dzieł klasycznych, napisane po ukraińsku, już bez domieszek cerkiewszczyzny.

Autorowie w. XVIII, jak Łobysewycz i Kotlarewskyj, trawestowali dzieła Vergiliusa, inni wiele uwagi poświęcili Horacemu, natomiast trawestie dzieł Ovidiusa pochodzą dopiero z w. XIX.

Pierwszym był Paweł Biłeckyj-Nosenko (1774—1850), który około r. 1820 strawestował mit o porwaniu Proserpiny: *Horpynyda, abo pirwana Proserpina* (wydany dopiero w r. 1871 w Kijowie). Biłeckyj naśladuje technikę trawestacyjną Kotlarewskiego twórcy *Eneidy* (1795), co zaznaczył we wstępie:

Śmijeszsia, żwawa Pieryda!
Dmuchny w mene toj samyj żar
Z jakym śpiwałaś »Enejida«...

Akcję poematu, podobnie jak Kotlarewskyj, przeniósł Biłeckyj do wsi ukraińskiej, chociaż zatrzymał wszystkie imiona klasyczne, oraz nazwy miejscowości. Ceres to bogata gospodyni wiejska, która świetnie zna się na gospodarstwie, tak, że okoliczni wieśniacy przychodzą do niej po radę. Jej córka Proserpina została przezwana przez wieśniaków 'Horpyną', podobnie jak to zrobiono z innymi imionami, tak, że gdyby dziś nazwać na wsi Iwana Ioanem, to by go wyśmiano. Horpyna była bardzo dobrą córką, pomagała matce w pracy, a gdy raz wyszła z wiejskimi dziewczętami do gaju na przechadzkę, porwał ją Pluton, który tamtędy właśnie przejeżdżał do Etny. Po daremnych wyczekiwaniach, wybrała się Ceres na poszukiwania córki. Dowiedziawszy się o jej losie, przestała dbać o urodzaje. Zeus, u którego domagała się powrotu Proserpiny, pogodził ją ostatecznie z losem — Ceres dała

---

posłanij ot Ponta knyhy V. Buda 1818. P. Ovidius Naso: Epistolorum ex Ponto lib. IV.

swe zezwolenie na ślub córki z Plutonem. Już z tego krótkiego streszczenia można poznać, że Biłeckyj trzyma się ściśle tekstu Ovidiusa. Zresztą w jednej uwadze autorskiej powołuje się on wprost na autora *Metamorphoseon:* „W tim na Owidija poszlusia" (co do tego, powołam się na Ovidiusa I 6, 3).

Horpynyda napisana jako poemat heroiczno-komiczny, dlatego też cała utrzymana w tonie komicznym, począwszy od wstępu, który jest niejako parodią typowego wstępu do epopei klasycznej, gdzie zamiast bohatera występuje dziewczyna, zamiast natchnienia gorzałka:

Hej, muzo! Ke meni banduru,
Horpynu choczu wełyczat'.
Diwczynu harnu, biłokuru,
Jak wczyw jiji Plutin kochat'.
Nawiszczo świża Ipokrena,
Nechaj kypyt' smaczna warena,
Z nej kraszcze ja nahriju czub!
Zhadaj: nedawno szcze po-naśky
Ty mni kazała wirszej kazky;
Ratuj! teper... bo sam ni w zub!

Humor Biłeckiego jest w swych środkach artystycznych prosty i niewyszukany. Obok słownego, jak np. przekręcone imiona klasyczne: *Horpynyda, Płutin,* niektóre postaci są przedstawione nieco komicznie. Poza tym szereg komicznych sytuacyj powstało dzięki trawestacji. Malując środowisko wiejskie musiał autor dostosować doń też wszystkie inne szczegóły, więc też np. sposób wyrażania się przedstawionych postaci. Stąd też Ceres kłóci się nie gorzej niż jakakolwiek starsza kobiecina wiejska, tak, że wobec potoku jej wymowy Zeus staje bezradny. Zrobił to autor zgodnie z duchem trawestii i z dużym poczuciem umiaru artystycznego, tylko bardzo rzadko zbliżając się do granic szarżu literackiego. Kilka fragmentów z tego poematu wplótł Biłeckyj w swój romans historyczny *Zynowij Bohdan Chmelnyckyj* (1829).

Do szkoły trawestacyjnej Kotlarewskiego należał też Konstanty Dumytraszko (1814—1886), który obok greckich tekstów (*Żabomyszodrakiwka* — Βατραχομυομαχία) trawestował też kilka fragmentów *Metamorphoseon* (1843) [26]).

---

[26]) Petrow N., Oczerki istoriji ukrainskoj literatury XIX st. Kijów 1884, s. 74.

Romantyzm usunął na dalszy plan klasyków, jednak Ovidius stanowi tu w literaturze ukraińskiej poniekąd wyjątek. — Niezwykłe bogactwo pięknych mitów zebranych u Ovidiusa, skłoniło niektórych ukraińskich romantyków do wykorzystania tej formy literackiej dla opracowania rodzimych wierzeń ludowych. Tak powstały ukraińskie *Metamorfozy* Aleksandra Korsuna (1818—1891) (*Ukraińśki powiria* napisane w r. 1839, ogłoszone drukiem 1841 w Charkowie). Z wierzeń i opowieści ludu ukraińskiego wybrał Korsun szereg takich, które prawią o przemianach, np. „Zwidkila wziałyś wedmedi", „Szczo take buła czerepacha i zwidkila wona wziałaś", „Zwidkila wziałyś żaby i czomu wony kryczat': num, num!", „Wid czoho czapura żywe bila moria i czomu wona jist' żab ta hadiuk" i in. Dobór tych wierzeń i sposób opracowania literackiego wskazuje na wpływ Ovidiusowych *Metamorphoseon*.

W ostatnich latach życia Tarasa Szewczenki (1814—1861), kiedy to twórczość tego poety nabierała coraz więcej cech klasycznych, pewną rolę w tym procesie odegrała też osobistość i poezja Ovidiusa. Zesłany za swe poezje przez rząd carski w daleki kirgiski step, między barbarzyńców, nie mógł Szewczenko nie przypomnieć sobie losów Ovidiusa. W liście do swego przyjaciela, atamana kubańskich kozaków i poety J. Kucharenki, z dn. 1 kwietnia 1854 r. pisząc, że „Siomyj rik oce piszow z aprela, jak ja nużu switom w kyrhyźkim bezludnim i bezwodnim stepu", dodaje Szewczenko: „Taka, mabut', uże usim Kobzariam pohana dola, jak i meni, nedotepnomu wypała". Miał tu poeta na myśli Ovidiusa i Dantego, których często wtedy wspomina. Dwa lata później, w liście do przyjaciela M. Osypowa, przedstawiając pewien przykry epizod z życia wojskowego, kiedy to ukarano go za to, że nie chciał pić z jakimś oficerem, pisał Szewczenko: „Gety, sered jakych ostanni dni swoi żywotiw Owidij Nazon — najdoskonaliszyj twir Wsemohuszczoho Tworcia wseswitu — buły dykymy warwaramy, ałe ne pyjakamy, a ti, szczo mene otoczujut' — i odne i druhe". Do tego porównania powracał Szewczenko nieraz w swym dzienniku i w listach, chociaż w swej skromności zastrzega się przed nim („Bożе mene borony wid jakohonebud' poriwnannia sebe z tymy wełykomuczenykamy i switycza my ludstwa"). Ale porównanie to nasuwało się mimowoli. To, że Szewczenko nazywa Ovidiusa

„najdoskonalszym dziełem Wszechmocnego Twórcy wszechświata“ i „światłem ludzkości“ wskazuje dobitnie, jaki stosunek uczuciowy łączył go z Ovidiusem i z dziełami łacińskiego poety i jak wysoko on je cenił. W swoich powieściach często wspomina Szewczenko o Ovidiusie i jego dziełach. W autobiograficznej powieści, pt. *Artysta*, przedstawiając jak biedny artysta po wykupieniu go z poddaństwa mógł sobie kupić płaszcz za 100 rubli, nazywa to „prosto Owidijewi pereminy“. W innym miejscu utworzył nawet osobny wyraz *nametamorfozyty* (nametamorfozić). Ale najczęściej wspomina o Ovidiusowym micie o zgodnym małżeństwie, Philemon i Baucis. Miało to swe uzasadnienie psychologiczne. Po dziesięciu latach zesłania chciał poeta spędzić ostatnie lata w zaciszu domowym — zatęsknił więc do małżeństwa. Nie wyobrażał go sobie inaczej, jak — myśląc kategoriami literackimi — Ovidius. Dlatego też starsze, a zgodne pary małżeńskie czy to z grona swych znajomych, czy też przedstawione w swych powieściach, jak np. Prachtelów lub Zygmuntowskich, stale nazywał Philemonem i Baucydą.

Te nastroje i uczucia znalazły swój wyraz artystyczny w kilku poezjach, przede wszystkim zaś w *Rosty u kupoczci* (1859), która w całym szeregu szczegółów przypomina mit Ovidiusa. Jest to niejako liryczna transpozycja epickiego dzieła literackiego, o dużych walorach literackich, bardzo niezwykła dzięki swej ekspresji i oryginalności. Jak starałem się na innym miejscu wykazać, niektóre szczegóły poezji występują o wiele plastyczniej przy porównaniu z Ovidiusem. Np. przedstawiwszy zgodną parę małżonków-staruszków i ich długie życie, dodaje Szewczenko zwrot „a miż lud’my wony żyły“. Zwrot ten wprawdzie zrozumiały sam przez się, nabiera głębszego znaczenia, gdy porównać tych ‘ludzi’ ze złym otoczeniem Philemona i Baucydy, przedstawiony przez Ovidiusa. Podobnie ma się rzecz z modlitwą („Podáj że nam Wsesylnyj Boże ották rostý...“).

Niektóre szczegóły zdają się wskazywać na podobieństwo między kilkoma poezjami Szewczenki, pisanymi podczas zesłania (zbiorek *Newilnycza Muza*), a takimiż poezjami Ovidiusa (*Tristia, Ex Ponto*). Nie udało się jednak stwierdzić dokumentalnie, czy Szewczenko czytał te zbiory liryk Ovidiusowych, dlatego też zbyt daleko idące porównania może nie są wskazane.

W drugiej połowie w. XIX widoczne są tylko drobne wpływy muzy Ovidiusowej na literaturę ukraińską. Więc obok Szewczenki można wymienić jeszcze słabą przeróbkę W. Biłousa (*Met.* I 1: *Zołotyj wik,* 1852), oraz bardziej oryginalne ujęcie tego samego tematu u M. Kostomarowa (*Dawnyna,* 1861), wreszcie przy końcu tegoż wieku wybitny poeta ukraiński, P. Kulisz, daje nowe ujęcie literackie Ovidiańskiej walki Titanów (*Tytany,* druk. 1893, napisane parę lat wcześniej). Poza tym można jeszcze wymienić satyrę J. Hołowackiego „Ne-Owidowy Heroides. Posłanije Markijana k swoim proswitnym interpretam“ [27]), z r. 1887, która niejako jest zakończeniem dawniejszych parodyj i trawestyj Ovidiańskich. Oto jej początek:

Háłyczo - Wkrainy wy wożdy, Hołowy tož „Proswity“!
Pyszu zza hroba do was w formi Owyda stychiw.
(Wy profesory, znajete daty cinu heksametram,
Tože zmirkujete wy, dobryj ły mij pentametr).

Z Ovidiusa pozostał tu tylko tytuł i pentametr. Rzecz charakterystyczna jednak, że Hołowackyj wybrał właśnie Ovidiusa, pisząc tę pseudo-epistułę M. Szaszkiewicza, jednego z twórców *Rusałki Dnistrowej* z r. 1836 [28]).

III.

Czasy najnowsze: Łesia Ukrainka. — Neoklasycy: M. Zerow i in. — Kobylańska.

Wiek XX rozbudził na nowo zainteresowania Ovidiusem u poetów ukraińskich, przede wszystkim zaś u Łesi Ukrainki i u poetów kijowskiej szkoły neoklasyków.

---

[27]) Studyńskyj K. Pseudoposłanije Markijana Szaszkewycza. (Zapysky Nauk. Tow. im. Szewczenka t. 153, Lwów 1935, s. 199—207 i w osobnej odbitce).

[28]) Pewien drobny szczegół wskazuje na to, że twórcy *Rusałki Dnistrowej,* do których też Hołowackyj należał, czytywali Ovidiusa nie tylko w gimnazjum. Gdy oni studiowali jeszcze teologię, w gr.-kat. seminarium we Lwowie robiono często z polecenia władz austriackich rewizje mające na celu wykrycie sympatyków polskiego powstania. Otóż podczas jednej takiej rewizji w r. 1836 znaleziono w najbliższym otoczeniu autorów Rusałki — jak podaje protokół rewizji — „Fragmentum libri Ovidii Nasonis de amore“ (K. Studyńskyj, Lwiwśka duchowna Semynarija w czasach Markijana Szaszkewycza. Lwów 1916, s. CXXII i 168).

Łesia Ukrainka (pseud. Larysy Kosacz-Kwitkowej, 1871—1913) w ostatnich latach swej twórczości opracowywała przeważnie motywy klasyczne. Najczęściej wybierała motywy najbardziej popularne w literaturach europejskich, studiowała pilnie wszystkie dostępne jej opracowania danego tematu, po czym dawała swoje własne ujęcie, zwykle odznaczające się dużą miarą oryginalności. W ten sposób opracowała też *Iphigeneię w Taurydzie* (1899) i *Niobę* (1902). Odrzucając późniejsze ujęcia zbliżyła się przy opracowaniu tych mitów do pierwowzoru literackiego, którym był dla późniejszych poetów Ovidius. — Zwłaszcza *Nioba,* napisana świetnym heksametrem, jest nowym przedstawieniem tej postaci, chociaż nie odbiegającym zbytnio od Ovidiańskiego pod względem sposobu przedstawienia faktów zewnętrznych, natomiast dającym inny portret duchowy bohaterki. *Niobeja* Łesi Ukrainki wywiera duże wrażenie dzięki niezwykle silnemu napięciu dramatycznemu.

Wśród nowych prądów i kierunków literackich, które powstały na Ukrainie bezpośrednio po wojnie, poważne miejsce zajęła kijowska grupa poetów, związanych ideowo z twórczością, Ł. Ukrainki, nazwanych neoklasykami. Opracowując przeważnie klasyczne motywy w klasycznych formach literackich, doprowadzili oni ukraińską lirykę na wyżyny niezwykłej doskonałości. Jeden z poetów tej grupy, Mikołaj Zerow (* 1896), profesor filologii klasycznej na uniwersytecie kijowskim, zesłany obecnie przez władze sowieckie w nieznanym kierunku, wybrał sobie za wzór, podobnie jak ongiś Prokopowycz, Ovidiusa. Zerow — o ile można się tak wyrazić — należy do poetów typu alexandryjskiego: uczony i estetyk, filozof i historyk, jako poeta szuka piękna nie tyle w życiu, ile w literaturze, w czymś dalekim w czasie lub w przestrzeni. Ovidius odpowiadał mu zatem najbardziej. Gdy więc oprócz tłumaczeń z Ovidiusa wydał zbiorek poezyj oryginalnych pt. *Kamena* (Kijów 1924), nadał mu charakter wybitnie Ovidiański. Są jednak również różnice. U Zerowa nie ma zupełnie motywów miłosnych, poza tym jest on raczej lirykiem z wybitną skłonnością do refleksji, podczas gdy Ovidius był raczej epikiem. Dlatego też inaczej ujmuje on motywy Ovidiańskie niż jego nauczyciel, usuwając z nich nadmiar momentów epickich, a na ich miejsce wprowadzając

refleksję. W swych sonetach *Diwa, Tezej,* lub *Chiron* daje motywom Ovidiańskim pogłębienie filozoficzne. Interesuje go nie tyle Theseus - zwycięzca, ile jego przeżycia wewnętrzne właśnie po zwycięstwie. Bo on, „zakochany w swój pancerz i dzidę, co przyniósł im w ofierze swoją miłość i serce Ariadny“, chyba:

> . . . do kincia powytych horem dniw
> Ne mih zabuty win prozorych sniw
> Egejśkych chwyl i zołotoho Krytu.
> I pered smertiu, mow nimyj dokir,
> Wse uważaw sedmyciu biłych zir
> Ta złototkanyj pojas Afrodyty.

Chiron zajmuje go jako niezwykły kentaur, który zajął się sztuką lecznictwa i muzyką, i dlatego też zwalczył w sobie zwierzęcą zmysłowość kentaura, przenosząc się w świat inny, w świat poezji. W sonetach tych Zerow wykazuje wprost wirtuozowskie opanowanie techniki tego rodzaju przy całej niewyszukanej prostocie obrazów poetyckich, stylu i języka.

Na podstawie autobiografii Ovidiusa *(Trist.* IV, 10) napisał Zerow, jak podaje w przypisku do tej poezji, swego *Elija Lamiję.* Wszystkich tych poetów, o których wspomina Ovidius w swojej autobiografii poznał Ael. Lamia wraz z Ovidiusem:

> Szcze za dytynnych lit buwaw ja u Messały.
> Ulubłenci kamen tam zoriamy sijały;
> Tam wabyły sercia, tam czaruwały nas
> Wergilij i Tybull, żalibnyj Walgij, Bass
> I Galla smutna tiń. Ałe w mojomu serci
> Zostałysia nawik nestrymanyj Propercij,
> Owidij smiływyj ta mnohomudryj Flakk.
> Pryjazni ichnioji newymuszenyj znak
> Ciniu ja nad usi triumfu j konsulaty...

Zamykają ten cykl dwie piękne poezje poświęcone Ovidiusowi. W pierwszej, pt. *Owidij,* daje Zerow niby obrazek wyjęty z *Tristia,* w drugiej, pt. *Bezsmertniśt'* prawi o nieśmiertelnej sławie tego poety. I te poezje ujmują swoją prostotą, niewyszukanym, ale wysoce artystycznym stylem, i głębszą refleksją. Zresztą może warto je przytoczyć jako najpiękniejszy wyraz — o ile można ukuć nowy termin literacki — ukraińskiego ovidianizmu:

Owidij.

Suppositum stellis nunquam tangentibus aequor...
Ovidius, Trist., III, 10, 4.

Braterstwo dawnich dniw! Rozkiszne, lube hrono!
Ozwysia ty chocz raz do wyhnancia Nasona,
Staroho, kwołoho, zabutoho wsima
W kraju, de ciłyj rik nehoda ta zima.
Ta morja tużnyj rew, ta warwary dowkoła...
Ubohyj dykyj kraj! Wesnoju brud i chołod',
U litku czornyj step.. ni zatysznych hajiw,
Ni wynohradnykiw, ni złoczenych nyw.
A tam morozy znow i nebo w sywij ryzi.
I ot ryplat' wozy, kopyta biut' po kryzi,
Wrywajet'sia Sarmat i wse rujnuje w-kraj
I branciw ławamy wyhonyt' za Dunaj.

Bezsmertnist!

Utieszsia: nie uwiał Owidijew wieniec.
Puszkin.

Wineć Owidija wo wiky ne zowiane:
Bezsmertnyj „Płacz" joho, hirkyj i nezriwnianyj,
Duszni elegiji, mow cwit wesnianych łoz,
I czary soniaszni joho „Metamorfoz".
Chaj Cezar złobstwuje, i chaj lita wyhnannia
Zihnut wysokyj stan i sywynu wpłetut'.
I chaj hude Sarmat i Gety smert' nesut',
A hniwnyj Pont rewe i horamy werhaje,
Narody i wiky ne raz iszcze zhadajut'
Dzwinkych joho piseń łehkyj, swawolnyj ład
Stohnanniam niżnych alb i dzwonom serenad.

Największy poeta wśród neoklasyków, Maksym Rylskyj (* 1895), bardziej bezpośredni od Zerowa, ale też bardziej niepodobny do Ovidiusa, zbliża się raczej do klasyków greckich. Z motywów Ovidiańskich opracował on tylko jeden — *Tezej do Ariadny*. Jest to poetycki list Theseusa, który żegna nim Ariadnę, więc niejako Ovidiusowe *Heroides* na opak.

Trzeci autor tej grupy, Paweł Fyłypowycz (* 1891), oprócz kilku drobnych motywów Ovidiańskich, opracowanych raczej przygodnie, w jednej ze swych poezyj, *Z antycznych bareliefiw* (1923), przedstawił mit o stworzeniu ludzi przez Titana, trzymając się ściśle wzoru Ovidiusowego.

Inni poeci Ukrainy Radzieckiej, związani z regime'm, zajmują się wyłącznie zagadnieniami chwili obecnej. Ale i w ich poezji znajdzie się bodaj czasem jakieś chociażby tylko dalekie echo muzy Ovidiańskiej. Interesującą z tego względu jest poetycka konfrontacja Ovidiusa z nową rzeczywistością, z nową komunistyczną młodzieżą, stworzona przez młodego poetę Terenia Masenkę: *Komsomoł ta Owidij* („Czerwonyj Szlach", Charków 1928).

Poza tym można wymienić szereg utworów, które tylko luźnie wiążą się z Ovidiusem, jak np. opowiadanie Hr. Cehłyńskiego *Metamorfozy*[29]), lub powieść Olgi Kobylańskiej (* 1865) pt. *Nioba*[30]). Autorka przedstawia w tej powieści tragiczną postać współczesnej Niobe. Matka licznego potomstwa, którego część wcześnie ją odumarła, musi przeżywać wraz z żyjącymi dziećmi coraz to nowe nieszczęścia. Przez stałe stopniowanie ciosów nieubłaganego losu, spadających na żyjące dzieci Niobe, autorka doprowadziła napięcie dramatyczne tej powieści o nieszczęśliwej matce do granic ostatecznych. Wobec ogromu nieszczęść, spadających na żyjące jeszcze dzieci, uważa Niobe dzieci dawniej zmarłe za szczęśliwe. Na tym polega dalsze rozwinięcie Ovidiańskiego zagadnienia i zasadnicza ich różnica, o ile oczywiście — nie brać pod uwagę całkowitej zmiany środowiska[31]).

IV.

Przekłady Steszenki, Makoweja, Pcziłki, Nykołyszyna, I. Franki, T. Franki i M. Zerowa.

O najdawniejszych przekładach dzieł Ovidiusa były wzmianki wyżej; pozostaje jeszcze do omówienia szereg współczesnych przekładów, mniejwięcej z ostatnich lat pięćdziesięciu. Jak zwykle, tak też w tym wypadku można je podzielić na wierne, na piękne, a wreszcie na wierne i piękne równocześnie.

Rozpoczynają ten szereg tłumaczenia raczej wierne niż

---

29) Almanach „Sicz", Wiedeń 1908.

30) „Nioba" — Lwów 1911, drugie wydanie: Charków 1929.

31) W Przeglądzie Klasycznym była wzmianka o kompozycjach p. Eufemiusza Dumańskiego, opartych na ukr. pieśniach ludowych Podola i Wołynia, dostosowanych do utworów Ovidiusa (*Met.* I 89 n., *Trist.* IV 10 n. — por. Przegl. Klas. 1935, s. 554).

piękne. Należy tu przede wszystkim przekład Iwana Steszenki z Kijowa, wydany we Lwowie w r. 1893 pod pseudonymem Iwan Serdecznyj: *Metarmorfozy*. Wydanie to zawiera przekład pierwszych 8 ksiąg *Metamorphoseon*. W czasopiśmie *Prawda*, przy którym pierwotnie wydawano je jako osobny dodatek, zapowiedziano druk drugiej części, dlaczego jednak jej nie wydano, nie wiadomo. Przekład Steszenki odznacza się iście benedyktyńską starannością, zmierzającą do oddania wszystkich, chociażby nawet najdrobniejszych szczegółów oryginału. Poszczególne partie możnaby nazwać nietylko poprawnymi, ale nawet pięknymi, ale przekład ten jako całość posiada pewne braki: zbyteczne neologizmy i słaba przejrzystość większych ustępów nie mogą dać czytelnikowi chociażby w części wyobrażenia o pięknie oryginału, dla którego tak charakterystyczną jest umiejętność misternego łączenia drobnych mitów w jedną wielką całość. Tłumacz, niestety, nie poznał się na tej 'koronkowej' robocie łacińskiego poety, dlatego też dał przekład dość szorstki, zwłaszcza tam, gdzie trzeba było połączyć razem dwa mity, i nie zawsze odpowiadający duchowi języka ukraińskiego, chociaż w szczegółach nadzwyczaj wierny.

Wyjątki z *Metamorphoseon* tłumaczyli mniej więcej w tym samym czasie Osyp Makowej (*Orfej i Eurydyka*, 1886) oraz Ołena Pcziłka (*Kyparys*, 1889, *Dedal i Ikar*, 1908). Już te przekłady stoją o wiele wyżej jako dzieła naprawdę poetyckie. Zwłaszcza przekłady Pcziłki, może nie tak drobiazgowe w oddaniu szczegółów oryginału, odznaczają się pięknym polotem.

Inną drogą poszedł Dymitr Nykołyszyn. Wychodząc — z błędnego zresztą — przekonania, że heksametr nie odpowiada duchowi ukraińskiego języka [32]) i ukraińskiej poezji, zastosował inną miarę metryczną, zbliżoną do ludowej, tzw. kołomyjkowej. Dlatego też, chociaż jego przekład posiada niezawodnie poważne walory artystyczne, jest dokładny i staranny i w miarę piękny, nieodpowiednie metrum wprost uniemożliwia percepcję tego tłumaczenia, zwłaszcza zaś taką, na jaką utwór zasługuje. Tłumacz bowiem nie liczył się

[32]) Najlepszym dowodem mogą być piękne tłumaczenia Zerową, czy w ogóle heksametry I. Franki, P. Niszczyńskiego, Ł. Ukrainki i wielu innych.

zupełnie z tak silnymi w literaturze nawykami i tradycjonalnością: kto raz czytał poważne mity Ovidiusa ujęte w spokojne tryby nie mniej poważnego heksametru, bądź w oryginale, bądź też w poprawnym tłumaczeniu, ten tylko z pewnym wysiłkiem będzie mógł nałamać się do przekładu Nykołyszyna. O pełnię artystycznego przeżycia w takich warunkach trudno, chociaż poza tym przekład wcale do złych nie należy. Mimo wszystko więc niesłusznie przyjęła go krytyka ozięble. Z tego też powodu tłumacz poprzestał na wydaniu jednego zeszytu, zawierającego przekład księgi I i II (do w. 686). Reszta tłumaczenia pozostała w rękopisie. Nykołyszyn tłumaczył też inne dzieła Ovidiusa, nie ogłosił ich jednak dotychczas drukiem.

Odrębne miejsce zajmują przekłady wybitnego poety i uczonego Iwana Franki (1856—1916) i to zarówno wcześniejsze z r. 1894 *Proszczannia* i *Newirnomu druhowi*, jak też szereg przekładów wybranych ustępów z *Tristia* i *Ex Ponto* oraz przekład *Ibisa*. Tłumaczenia Franki, wierne i poprawne, zdobyły mu jedno z pierwszych miejsc wśród ukraińskich tłumaczów, zresztą zupełnie zasłużenie, gdyż był on dobrym znawcą kilkunastu obcych języków, równie dobrym znawcą języka ukraińskiego, a wreszcie poetą dużej miary. Ostatni przekład nazwany przez poetę *Publij Owidij Nason u Tomidi* został przygotowany między 25 marca a 8 maja 1915, kiedy to Franko leżał złamany śmiertelną chorobą. Mimo tego przekład jest nie tylko bardzo dokładny, ale też wcale piękny. W jednej swej uwadze (s. 49) pisze Franko o swych przekładach: „Tłumaczę tylko takie dzieła z literatur obcych, które czytając, mam wrażenie, że odkrywa się przede mną nowy świat czy to myśli, czy obrazów poetyckich. Chciałbym też swymi przekładami wywołać takie same wrażenie u mych czytelników". Niewątpliwie udaje mu się to w zupełności. Zresztą Franko jest nie tylko tłumaczem, ale też współtwórcą, jak wskazuje na to np. *P. Owidij Nason u Tomidi.* Z poszczególnych wyjątków *Tristia* i *Ex Ponto* stworzył on nową całość, która przedstawia smętne życie Ovidiusa na zesłaniu. Poprzedza je *Autobiograficzna elegia (Trist.* IV, 10), następnie daje poeta opis miejsca wygnania, przedstawia przeżycia i przygody Ovidiusa w tym dzikim kraju, wreszcie zbiera razem rozsypane wiadomości o barbarzyńcach,

wśród których żył Ovidius. Kończy ten utwór przekład *Ibisa*, który Franko nazwał 'zemstą poety', poprzedzony kilkoma, zresztą nielicznymi, wyjątkami z *Tristia*, w którym znajdują się głuche wzmianki o przyczynie zesłania, lub mogącymi w jakikolwiek inny sposób odchylić rąbek tajemnicy, otaczający zarówno powód zesłania, jak też genezę poematu *Ibis*. Tłumaczenia te przeplata Franko swymi uwagami. Być może, że tak zbudowana całość zyskałaby, gdyby zamiast naukowych uwag tłumacz podał swe objaśnienia w jakiejkolwiek bądź formie poetyckiej. Wtedy objaśnienia te o wiele ściślej łączyłyby się z poezją Ovidiusa w jednolitą całość, stwarzając razem nowy utwór o charakterze poetyckiej powieści biograficznej. Ale jest to już rzecz poglądu indywidualnego. — Przekład ten pozostał dotychczas w archiwum poety w rękopisie. Redaktorowie kilku dotychczasowych wydań zbiorowych dzieł Franki, które wszystkie pojawiły się na Ukrainie Radzieckiej, widocznie nie otrzymali odpisu ze Lwowa, dlatego też nie ogłosili tego przekładu drukiem, chociaż on dawno na to zasługuje.

Inną drogą poszedł prof. Taras Franko, syn Iwana, który wydał kilka zbiorów przekładów z autorów łacińskich na język ukraiński. Powtórzywszy we wstępie do jednego zbiorku znany aforyzm o przekładzie, który jest podobny do kobiety: o ile jest wierny, to nie jest piękny, gdy zaś jest piękny, to niewierny, oświadczył, że świadomie wybrał ten drugi rodzaj. Jakoż rzeczywiście jego przekłady z Ovidiusa (1918) nie są wierne. Zatrzymując tylko główną myśl i niektóre obrazy poetyckie oryginału, wszystko inne, starał się on zmodernizować. Rytmika, budowa stroficzna, rymy — wszystko to u T. Franki raczej współczesne, niż Ovidiańskie. Ponieważ on tłumaczy tylko lirykę miłosną (*Amores*, *Ars amatoria*), można mu to wybaczyć o wiele łatwiej niż tego rodzaju zmiany przy przekładzie *Metamorphoseon*. Nieraz skoczna rytmika zdaje się bardzo dobrze dostrajać do myśli oryginału. Do najlepszych przekładów T. Franki z Ovidiusa można zaliczyć jego *Lubowni prymchy*. Jego tłumaczenia nie są też wolne od wad, do których należą niektóre niewyszukane, a nawet czasem wulgarne wyrazy, oraz niezawsze udane dowcipy.

Pozostaje jeszcze do omówienia kilka przekładów Zerowa,

tego wielkiego miłośnika muzy Ovidiusowej. Otóż jego przekłady są i niezwykle ścisłe i nadzwyczaj piękne. Zerow jako filolog klasyczny i utalentowany poeta mógł dać przekład stojący na najwyższym poziomie literackim. Umie on nie tylko oddać każdą myśl i każdy obraz poetycki oryginału w pięknej szacie ukraińskiej, włada nie tylko doskonale techniką wiersza i faktury poetyckiej, ale potrafi też wczuć się w owe nieraz drobne i znikające przed okiem zwykłego czytelnika szczegóły, które dopiero w sumie dają i prawdziwe piękno poezji Ovidiusowej, i jej — że tak powiem — 'zapach' przedwiekowy, czy 'patynę', to, co wskazuje na jej dawność, na odmienne środowisko, wśród którego powstała, na tak różną od dzisiejszej postawę psychiczną poety, a co równocześnie jest takie żywotne, takie świeże i z taką siłą przemawiające do człowieka współczesnego, jak niegdyś przemawiało do Rzymianina.

W przekładach Zerowa z Ovidiusa i z innych łacińskich poetów technika i piękno ukraińskiego przekładu osiągnęły — przynajmniej dla naszych czasów — swój punkt szczytowy.

Jak dalece posunął on technikę przekładu, można wykazać chociażby przez porównanie z przekładem Iwana Franki, do czasów Zerowa najlepszego ukraińskiego tłumacza. — Podaję tu dwa jednakowe fragmenty (*Tristia* IV, 10), z których pierwszy, Franki, drukuje się tu po raz pierwszy:

I. Franko, Autobiograficzna elegija.

Cztyw ja j pryjatełem staw (majże wsich) tohoczasnych poetiw,
  Kożnyj wełykyj tałant bohom zdawawsia meni.
Czasto pro ptachiw swoich czytuwaw meni starszyj litamy
  Macer, szczo szkodyt' zmyja, zilla jake pomaha.
Czasto zi swoich „Ohniw“ zwyk meni buw czytaty Propercij
  Prawom szlachetstwa (swiatym) błyżkyj i ridnyj meni.
Pontik „Herojem“ swojim, Bass jambamy swojimy sławnyj,
  Lubymy moho żyttia towaryszamy buły.
Słuch mij do sebe też tiah w rozmirach riżnorodnyj Horacij,
  Z liry wyływajuczy wczeni nizoński pisni.
Baczyw Wergila łysz ja, a Tibułłewi dola neszczasna
  Ne dała czasu prożyt' w drużnij zo mnoju lubwi.
Cej pisla tebe pomer, Gallu, zhas pisla nioho Propercij;
  Szczo do czasu wrodżennia buw ja czetwertyj po was. (1915).

M. Zerow, Żyttia poetowe.

Jak szanuwaw, jak lubyw ja prosławłenych Rymom poetiw!
W koźnim ulubłenci muz boha ja sercem wczuwaw.
Słuchaw ja Makra staroho czytannia — poemu pro „Ptachiw“
Ta pro otrutnych hadiuk, ta pro ciluszcze zeło.
Czasto Propercij meni dowiriaw swoju spowid' ohnennu;
Szczyra j prawdywa pryjaźń nas społuczała oboch.
Bas znamenytyj satyroju, sławnyj heksametrom Pontyk,
Spilnyky lubi buły tych towaryśkych zibrań;
I nezriwnianyj Horacij wtiszaw nas bahactwom melodij,
Pisni chymerno-tonkij ridnu nawczywszy strunu.
Tilky na obraz Wergilija znaw ja, i smert peredczasna
Uwyrwała z moho żyttia drużbu, Tybułłe, twoju.
Gałłe, win twij spadkojemeć, joho spadkojemeć Propercij,
Ja w tomu koli zjawyws wże jak czetwertyj spiweć.

Powyższe, nieco fragmentaryczne, przedstawienie wpływu Ovidiusa na literaturę ukraińską na przestrzeni kilku wieków, wymaga — oprócz wielu innych uzupełnień — zestawienia z o wiele większym wpływem Vergiliusa i Horatiusa [33]). Zainteresowanie się tymi autorami było w literaturze ukraińskiej tak duże, że usuwało w cień innych autorów łacińskich, w tej liczbie też Ovidiusa, chociaż niezawodnie zajmuje on po nich pierwsze miejsce.

[33]) Nie daje dokładnego wyobrażenia o wpływie Horatiusa rozprawa prof. dr. E. Hrycaka (*Horacij w ukraińskij literaturi*, Lwów 1937, streszczenie w języku polskim w Przeglądzie Klas. 1937, 5—7), która ogranicza się jedynie do w. XIX—XX, oraz posiada poważne luki.

IZYDORA DĄMBSKA

W SPRAWIE NIEZALEŻNOSCI ETYKI OD RELIGII

W artykule „O trwałe podstawy etyczno-moralne" (Pielgrzym Polski XII [1937] nr. 7). p. M. Kośmiderski, nawiązując do artykułu p. Cz. Lechickiego pt. „Etyka w szkole" (tamże nr. 5) i do mego artykułu pt. „O etykę naukową w szkole średniej" (Przegląd Klasyczny 1936, 9—10), zaznacza, że wnioski, do których dochodzę są „względne... dlatego, iż pojęcie etyki religijnej — użyte w wywodach autorów obu artykułów — nie jest bynajmniej przez nich ustalone i nie zostało przez nich potraktowane naukowo". Zdaniem p. Kośmiderskiego w artykule mym przyjęłam milcząco „pojęcie etyki religijnej jako zespołu dogmatów wyznaniowych i wypływających z nich i na ich podstawie nakazów kościelnych, ujętych w pewien system. W dodatku, jak się należy domyślać, dogmaty i nakazy „są pochodzenia rzymsko-katolickiego". Otóż muszę podkreślić, że: 1. mówiąc o etyce religijnej nie miałam na myśli wyłącznie etyki katolickiej; 2. podsuwanego mi — niezwykłego doprawdy — pojęcia etyki religijnej nie zakładałam, używając zwrotu „etyka religijna" — zgodnie z ogólnie znanym jego rozumieniem — w znaczeniu: system etyki heteronomicznej, która uzasadnia swe normy, powołując się na nakaz lub zakaz Boży. Coś jest dobre dlatego, że jest przez Boga nakazane, złe dlatego, że jest przez Boga zakazane. Tego rodzaju kryterium dobra jest istotną cechą systemów etyki religijnej tego czy innego wyznania. Wiadomo, jakie na gruncie takiego stanowiska wynikać mogą konsekwencje, gdy bogowie łakną krwi albo spory ze sobą prowadzą. Wiedział już o tych konsekwencjach Platon, kiedy „Eutyphrona" pisał.

P. Kośmiderski, określając etykę religijną jako system „norm etyczno-moralnych" umieszczonych „w sferze irracjonalnej naszej świadomości" a legitymujących się „autorytetem nadzmysłowym", posługuje się pojęciem mniej — jak mi się zdaje — sprecyzowanym. Niejasne bowiem jest pojęcie irracjonalnej sfery świadomości; nadto wydaje się, że sfera ta obejmuje nie tylko przeżycia o charakterze religijnym i że można pomyśleć sobie system etyki niezależnej od religii a w założeniach swych apelujący do irracjonalnych pier-

wiastków duszy ludzkiej. Być może jednak, że owa legitymacja autorytetem nadzmysłowym odpowiada podkreślonej przeze mnie heteronomii etyki religijnej.

Wyższość etyki religijnej nad etyką naukową widzi p. Kośmiderski w wieczności, trwałości i niezmienności norm etyki religijnej. Te swoje cechy ma ona zawdzięczać nadnaturalnemu autorytetowi, na którym się opiera. Wydaje mi się jednak, że:

1⁰ nadnaturalność czynnika sankcjonującego normy etyczne nie zapewnia tym normom niezmienności i wieczności. Zależy to wyłącznie od tego, w jakie cechy wyposaża człowiek religijny bóstwo, dające sankcje. Wiadomo zaś, jak niekonsekwentne i kapryśne bywa bóstwo nawet w niezbyt pierwotnych systemach religijnych;

2⁰ uznanie norm etycznych za wieczne i niezmienne kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwo hamowania i utrudniania postępu i doskonalenia w tak ważnej dziedzinie życia ludzkiego, jaką jest dziedzina moralności.

Wbrew temu, co pisze p. Kośmiderski nie twierdziłam nigdzie w swym artykule, że „etyka religijna, posiadając akcenty fanatyzmu i wyłączności... uczy pogardzać ludźmi inaczej myślącymi lub na innych podstawach etyczno-moralnych wychowanymi". Podkreślałam tylko, że p r z e k o n a n i e o zależności etyki od założeń dogmatycznych takiej czy innej religii wywoływać może łatwo niechętne lub wrogie nastawienie względem poglądów etycznych opartych na innych podstawach. A od niechęci względem poglądów krok tylko do niechęci i nietolerancji względem tych, którzy te poglądy żywią. Mówiłam więc o pewnych niebezpieczeństwach nie etyki religijnej, lecz stanowiska odrzucającego możliwość etyki niezależnej. Że na tle wierzeń religijnych dźwiga się nieraz człowiek na wielkie wyżyny moralne — to rzecz znana. Że na tym samym tle głuszy w sobie nieraz głos dobrego serca i sumienia, także wiadomo, choć rzadziej się o tym mówi. Na chwałę tego samego Boga rosły kwiaty św. Franciszka i ociekały krwią wyroki Inkwizycji kościelnej. Fakt ten przemawia również na korzyść przekonania o niezależności etyki od religii. Nie ta czy inna wiara religijna ale rozum i dobre serce lub brak obu albo jednego z tych czynników

decydują o etycznej lub nieetycznej postawie życiowej człowieka.

Podkreślając słusznie, że myśli mego artykułu są stare i znane, ocenia p. Kośmiderski ich wiek na jakieś 70 lat; „ucieczka bowiem" — pisze — od etyki religijnej do etyki niezależnej datuje się przynajmniej od 2 połowy XIX w." Połóżmy nacisk na to „przynajmniej". Sądzę, że potrzeba etyki niezależnej jest równie stara, jak stara jest potrzeba naukowego, racjonalnego rozpatrywania spraw ludzkich. Liczy więc sobie przynajmniej parę tysięcy lat.

STANISŁAW KRWAWICZ

DLACZEGO URZĄDZAŁEM PRZEDSTAWIENIE KLASYCZNE?

Obserwując młodzież z punktu widzenia jej uzdolnień artystycznych, widziałem w niej duży zapas nagromadzonych skarbów artystycznych, z których ona w normalnym trybie życia, w toku regularnej nauki szkolnej nie może korzystać, nie ma pola do artystycznej ekspansji.

Wielu z młodzieży posiada bowiem pewne uzdolnienia rysunkowe, muzyczne, aktorskie, które należy rozwijać, doskonalić. Trzeba rozdmuchać tę iskrę Bożą, która w niej tli. Boć młodzież to nie gromada, na którą trzebaby wciąż krzyczeć, ale cudowny instrument, z którego trzeba umieć wydobywać po mistrzowsku najszlachetniejsze tony.

Bodźcem do urządzania artystycznych imprez był też wzgląd na uszlachetniający wpływ, jaki wywierają na wykonawców przedstawienia poważne i głębokie w swej treści utwory. Jednostki utalentowane, zdobywające sobie rozgłos w szkole i poza szkołą, uświadamiają sobie swą wyższość duchową ponad szary tłum zjadaczy chleba, starając się siłą faktu podciągnąć się w zwyż i moralnie. *Odi profanum vulgus et arceo.*

Uszlachetniający wpływ przedstawień klasycznych polega i na tym, że przebywanie w atmosferze piękna, obcowanie bezwzględne z wielkimi postaciami utworu, przeżywanie ich zmagań odwraca uwagę młodzieży od rzeczy małych, niskich, codziennych.

To też urządzanie przedstawień daje z jednej strony występującym możność popisania się swym talentem, wyładowania się pod względem artystycznym, z drugiej zaś strony przedstawienia arcydzieł klasycznych umożliwiają ujrzenie dzieła, które zwykle jest dla mieszkańców prowincji bardzo trudno dostępne. Wszak

Et prodesse volunt et delectare poetae.

Nader pożytecznym jest okres przygotowania sztuki, które to przygotowania absorbowały wszystkich tak, że przez pewien czas uwaga ogólna była skierowana ku danemu pięknemu dziełu. Wszyscy w danym czasie mówili na przykład o *Antigonie,* każdy się nią interesował. A ten i ów, który nigdy tego utworu nie czytał, wziął go do ręki przez prostą ciekawość, co to za tak wielka rzecz, wymagająca tak długiego i wszechstronnego przygotowania. Boć jedni uczyli się ról, drudzy spiewali, inni tańczyli, inni szyli stroje, przygotowywali peruki, broń itd. Tylu ludzi tym się zainteresowało, tylu ludzi składało swe wysiłki dla *Antigony,* perły antyku. Samo zaś przedstawienie utworu klasycznego poprzedziło opracowanie takich tematów, jak:

1. Geneza i budowa tragedii greckiej.
2. Rola i znaczenie chóru w tragedii antycznej.
3. Od tragedii starożytnej do opery nowoczesnej.
4. Co sądzę o szkolnym teatrze naszego gimnazjum.
5. *Antigona* w interpretacji moich kolegów i koleżanek.

I to właśnie zainteresowanie, ten chwilowy zwrot ku klasyczności, ten renesans przedstawieniowy uważam za wielki swój sukces. Biorący udział w wystawieniu arcydzieł klasycznych tworzyli obóz zjednoczenia artystycznego O. Z. A., w którym znaleźli się ci wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia w dziedzinie piękna.

Każdy dawał ze siebie to, co miał najszlachetniejszego, a z tych właśnie drobnostek artystycznych powstała całość, wzbudzająca ogólny podziw i zachwyt.

IRENA JASZOWSKA

GAUDEAMUS IGITUR

Często wśród czcigodnych uniwersyteckich murów, radośnie dźwięczy ulubiona studencka piosenka, niemal do znaczenia akademickiego hymnu podniesiona, *Gaudeamus igitur*. Odrobina smutku i rezygnacji brzmi w pierwszych zwrotkach, przypominających, że po bujnej młodości i starości smutnej wszyscy spoczną w ziemi. Smutkiem dźwięczy pytanie: *Ubi sunt qui ante nos in mundo fuere?* Ale szybko ustępuje zaduma, radośnie rozbrzmiewą wiwat na cześć akademii i profesorów i wreszcie z młodzieńczą beztroską chór nuci strofkę poświęconą uroczym dziewczętom: *Vivant omnes virgines faciles formosae!*

I corocznie z piersi akademickiej braci płyną dźwięczne tony *Gaudeamus*, budząc wspomnienia w sercach tych, za którymi daleko już w tyle pozostały lata buńczucznej młodości i studia pełne znoju i wesela, a radość i nadzieję u tych, którzy dopiero wstępują na żmudną ścieżynkę poznania i wiedzy.

Gaudeamus igitur... — stara pieśń niemieckich burszów, kształtowała się zwolna i wielu podlegała zmianom, wyrastając na gruncie dawnej, łacińskiej pieśni pokutnej. Ostatni o zagadnieniu powstania pieśni studenckiej κατ'ἐξοχήν pisał Kopp, w swej książce zatytułowanej „Deutsches Volks- und Studentenlied in vorklassischer Zeit". On też był pierwszym, który piosenkę niemieckich burszów *Brüder lasst uns lustig sein*, proklamował jako tę, która wywarła pewien wpływ na ukształtowanie się *Gaudeamus*. Zapewne ciekawym wydaje się fakt, że drugą i trzecią zwrotkę *Gaudeamus* w niezmienionej prawie postaci odnajdujemy w pieśni pokutnej łacińskiej, pochodzącej z r. 1267. Do czasów naszych pieśń ta doszła w dwu recenzjach. Pierwszą zacytujemy tę, która znajduje się w wydaniu Du Mérila *(Poésies latines du moyen âge*, Paris 1847, s. 125):

1. Scribere proposui de contemptu mundano,
Iam est hora surgere de somno mortis vano,
Zizaniam spernere, sumpto virtutum grano.
Surge, surge, vigila, semper esto paratus.

2. V i t a b r e v i s, b r e v i t a s i n b r e v i f i n i e t u r;
M o r s v e n i t v e l o c i t e r e t n e m i n e m v e r e t u r.

Omnia mors perimit et nulli miseretur.
Surge, surge, vigila, semper esto paratus.

3. Tela fit araneae praesentis mundi vita,
Labilis et flebilis non est in tuta [?] sita!
Labitur et flectitur non [?] est exanimata.
Surge, surge, vigila, semper esto paratus.

4. Ubi sunt qui ante nos in hoc mundo fuere?
Venies ad tumulos, si eos vis videre.
Cineres et vermes sunt, carnes computruere.
Surge, surge, vigila, semper esto paratus.

5. In hac vita nascitur vir omnis cum moerore,
Et in vitam ducitur humano cum labore,
Et post vitam clauditur cum funeris dolore.
Surge, surge, vigila, semper esto paratus.

Druga recenzja tejże pieśni pokutnej, znajduje się w „Piae cantiones... in incl. regno Sueciae passim usurp. Gryphisw. 1582 u Klemminga „Latinska Sånger från Sveriges Medeltid“ IV. „Cantiones morales scholasticae historicae in regno Sueciae olim usitatae“ 1887, s. 16.

1. zwrotka = 1 zwrotce recenzji Méril'a.
2. Ubi sunt qui ante nos in hoc mundo fuere?
Venias ad tumulum, si eos vis videre. itd.
3 zwrotka = 5 zwrotce Méril.
4. Vita brevis breviter in brevi finietur,
Venit mors velociter et neminem veretur.

Różnice między redakcjami Mérila i Klemminga są minimalne. Polegają na tym, że u Mérila w zwrotce drugiej spotykamy *brevitas* zastąpione u Klemminga przez *breviter,* dalej w 4-ej zwrotce Mérila *tumulus* jest użyte w pluralis, w miejsce singularis *ad tumulum* u Klemminga. Na tym miejscu zaznaczyćby należało, zgodnie przez niemieckich uczonych podkreślony fakt, że recenzja Klemminga bliżej stoi tekstu *Gaudeamus.*

Pierwszy manuskrypt *Gaudeamus,* odnaleziono w zbiorach studenta prawa z Kilonii, Fryderyka Reyhera *Horac Kilionensis canonicae,* 1743—1748. Prawdopodobnie zbiór ten był już zamknięty w r. 1747 — tak przynajmniej twierdzi Kopp. Pieśń tę wydrukował w akademickim miesięczniku Fabricius, w r. 1889. Jest jednak pewne, że *Gaudeamus,* znane już było przed rokiem, w którym spisał je Reyher. Tekst tego pierwszego znanego nam *Gaudeamus* brzmi:

1. Gaudeamus igitur
Iuvenes dum sumus
Post molestam senectutem
Post molestam senectutem
Nos habebit humus.

2. Ubi sunt qui ante nos
In mundo fuere,
Transeas ad superos
Abeas ad inferos
Quo(s) si vis videre.

3. Vita nostra brevis est,
Brevi finietur
Venit mors velociter,
Rapit nos atrociter
Neminem veretur.

4. Vivat Academia
Vivant Professores,
Vivant membra quaelibet,
Vivant membra quaelibet,
Ut et Nutritores.

Późniejsze rękopiśmienne ujęcie tej pieśni, znajduje się w zbiorze Koppa (s. 470—253) i brzmi:

1. Gaudeamus igitur iuvenes dum sumus ||
post molestam senectutem || nos habebit tumulus.

2. Ubi sunt qui ante nos in mundo vixere ||
abeas ad tumulos || si eos vis videre.

3. Vita nostra brevis est brevi finietur ||
venit mors velociter || neminem veretur.

Kopp sądzi, że ta recenzja pochodzi z lat 1747—1748, a zatem byłaby równoczesną z *Gaudeamus* spisanym przez Reyhera. Przechodzimy teraz do *Gaudeamus* drukowanego w „Jenenser Blatt vom Jahre 1776“ (Deutsche Studentenlieder des XVII und XVIII Jahrhunderts, Rich. i Rob. Keil, s. 165):

1. Gaudeamus igitur,
Iuvenes dum sumus,
Post exactam iuventutem
Post molestam senectutem
Nos habebit humus.

2. Ubi sunt qui ante nos
In mundo fuere?
Abeas ad inferos
Transeas ad superos
Hos si vis videre.

3. Vita nostra brevis est,
Brevi finietur;
Venit mors velociter,
Rapit mors atrociter,
Neminem veretur.

4. Vivat Academia,
Vivant Professores,
Vivat membrum quodlibet,
Vivant membra quaelibet,
Vivant nutritores!

5. Vivant omnes virgines,
Faciles accessu,
Vivant et mulieres,
Vivant et mulieres,
Faciles aggressu!

6. Pereat trifolium,
Pereant philistri,
Lictor atque famuli,
Lictor atque famuli,
Nobis odiosi!

Recensja profesora jeneńskiego Kindslebena, s. 52:

1. Gaudeamus igitur ,
Iuvenes dum sumus,
Post molestam senectutem :|:
Nos habebit humus.

2. Ubi sunt qui ante nos
In mundo fuere,
Vadite ad superos,
Transite ad inferos,
Ubi iam fuere.

3. Vita nostra brevis est ,
Brevi finietur,
Venit mors velociter,
Rapit nos atrociter,
Nemini parcetur!

4. Vivat Academia,
Vivant Professores;
Vivat membrum quodlibet,
Vivant membra quaelibet,
Semper sint in flore!

5. Vivant omnes virgines,
Faciles, formosae,
Vivant et mulieres ||
Bonae, laboriosae.

6. Vivat et respublica,
Et qui illam regit,
Vivat nostra civitas,
Maecenatum caritas,
Quae nos hic protegit.

7. Pereat tristitia,
Pereant osores,
Pereat diabolus,
Quivis antiburschius ,
Atque irrisores.

Ujęcie Kindslebena, które zyskało moc autorytatywną z wariantami, wydał Melzer w swych *Burschenlieder* w Wittemberdze w r. 1808.

1. Gaudeamus igitur
Iuvenes dum sumus;
Post peractam iuventutem,
Post molestam senectutem,
Nos habebit humus.

2. Vita nostra brevis est,
Brevi finietur;
Venit mors velociter,
Rapit nos atrociter,
Nemini parcetur.

3. Ubi sunt qui ante nos
In mundo fuere?
Vadite ad superos,
Transite ad inferos,
Ubi iam fuere.

4. Vivat Academia,
Vivant Professores;
Vivat membrum quodlibet,
Vivant membra quaelibet,
Vivant nutritores (auditores).

5. Vivant omnes virgines,
Faciles formosae;
Vivant et mulieres,
Fidelesque conjuges
Boni laboriosi (sic!).

6. Vivat et respublica,
Et qui illam regit;
Vivat nostra civitas,
Maecenatum caritas —
Semper sint in flore.

7. Pereat tristitia (trifolium),
Pereant osores (philistri),
Pereat diabolus,
Quivis antiburschius ,
Atque irrisores.

W ten sposób, wychodząc z pieśni pokutnej, pieśni pozostającej w ścisłym związku z kościołem, przeszliśmy kolejne stadia rozwoju pieśni świeckiej *Gaudeamus*, najpopularniejszej ze śpiewów studenckich od końca w. XVIII. Jest kwestią nie ulegającą wątpliwości, że trzy pierwsze zwrotki pieśni były jej rdzeniem, dalsze zwrotki, jak i warianty odnieść należy do czasów późniejszych, a powstanie ich określa się

na pierwsze lata XVIII wieku. Pieśń podana przez Kindlebensa, nie była śpiewana oficjalnie ze względu na swą niezbyt moralną treść, której dopatrywano się w niemieckiej wersji *Gaudeamus,* oraz w zwrotce *Vivant omnes virgines.* Przypuszczenie, iż trzy pierwsze zwrotki znane były dawniej niż następne, znajduje potwierdzenie w analizie komedii Holberga, opracowanych w latach 1722—27 — gdzie właśnie z tych strof spotykamy cytat. Kopp twierdzi, że *Gaudeamus* powstało z trzech czynników: 1. pieśń pokutna, 2. strofy Holberga, 3. Günthera pieśń *Brüder, lasst uns lustig sein.* Kombinacja taka jest możliwa. Między powstaniem pieśni Günthera, a cytowaniem strof *Gaudeamus* u Holberga istnieje pięcioletni okres czasu. Cytat z *Gaudeamus* znajdujemy w holbergowskim dialogu. Jedna z osób, zapytana, co to jest logika, odpowiada: *Post molestam senectutem nos habebit humus.*

Montanus: Sagt einmal . . . . quid est logica?
Peter: Post molestam senectutem, post molestam senectutem nos habebit humus.

Pieśń Günthera wykazuje duży wpływ Anakreonta, dalej Ovidiusa. Sądzimy, że Günther tworząc swoją piosenkę znał już *Gaudeamus,* a Kopp nawet twierdzi, że Holberg właśnie na Güntherze oparł swoją znajomość *Gaudeamus.* Niezależnie od twierdzenia Koppa można sądzić, że w czasach Holberga *Gaudeamus* dobrze znane było w kołach lipskiej młodzieży akademickiej, może więc właśnie stamtąd zaczerpnął jej do swych utworów. Kopp stara się wykazać wzajemny wpływ poetów na siebie, odzwierciedlający się w pieśniach burszowskich, natomiast przeczy celowemu oparciu się na wzorach wcześniejszych. — Ciekawym jest zestawienie Anakreonta, Günthera i *Gaudeamus.*

Anakreon:	Günther:	Gaudeamus:
’Επὶ μυρσίναις τερείναις,	1. Brüder lasst uns lustig [sein,	Gaudeamus igitur, Iuvenes dum sumus
ἐπὶ λωτίναις τε ποίαις	Weil der Frühling [währet	
στορέσας θέλω προπίνειν.	Und der Jugend Son- [nenschein	[post molestam senec- [tutem
	Unser Laub verkläret;	
13. ἐμὲ μᾶλλον ὡς ἔτι ζῶ,	Grab und Barhe warten nicht;	Nos habebit humus.
μύρσινον ῥόδοις δέ κρᾶτα	Wer die Rosen jetzo [bricht,	
πύκασον, ...	Dem ist der Kranz [bescheeret.	

πρὶν ἔρως ἐκεῖ μ' ἀπελθεῖν	2. Unser Lebens schnel-	Vita nostra brevis est,
	[le Flucht	
ὑπὸ νερτέρων χορείας,	Leidet keinen Zügel,	brevi finietur.
σκεδάσαι θέλω μερίμνας.	Und des Schicksals	Venit mors velociter,
	[Eifersucht	
7. τροχὸς ἅρματος γὰρ οἷα	Macht ihr stätig Flü-	Neminem veretur.
	[gel;	
βίοτος τρέχει κυλισθείς·	Zeit und Jahre fliehn	
	[davon	
[ὀλίγη δὲ κεισόμεσθα	Und vielleichte schnitzt	
κόνις ὀστέων λυθέντων]	[man schon	
τί σε δεῖ λίθον μυρίζειν;	An unsres Grabes Rie-	
	[gel.	
	3. Wo sind diese, sagt	Ubi sunt qui ante nos
	[es mir,	
	Die vor wenig Jahren,	in hoc mundo fuere?
	Eben also gleich wie	
	[wir,	
	Jung und fröhlich wa-	
	[ren?	
κϝισόμεσθα	Ihre Leiber deckt der	Venias ad tumulos,
	[Sand,	
	Sie sind in ein ander	
	[Land,	
	Aus dieser Welt ge-	
	[fahren.	
	4. Wer nach unsern Vä-	Quos si vis videre.
	[tern forscht,	
	Mag den Kirchhof	Venias ad tumulos
	[fragen;	
κόνις ὀστέων λυθέντων.	Ihr Gebein, so längst	[cineres et vermes sunt
	[vermorscht,	
	Wird ihm Antwort	carnes computruere].
	[sagen.	
	Kann uns doch der	
	[Himmel bald,	
	Eh die Morgenglocke	
	[schallt,	
	In unsre Gräber	
	[tragen.	

Refleksje Günthera nad znikomością życia, pozwalają przypuszczać, że i jemu nie była obcą pieśń pokutna, z której wyszło *Gaudeamus*. Natomiast strofa 5 i 6 Günthera przypomina nastrojem motywy z pieśni Horacego, elegii Tibulla. W każdym wypadku nie można zaprzeczyć dużym analogiom między pieśnią Günthera i *Gaudeamus* w najstarszej formie. Natomiast kwestią podlegającą dyskusji, jest pytanie czy Günther, pisząc swą piosenkę wyłącznie własną inwencją się powodował, czy też *Gaudeamus* kształtowało się pod wpływem Günthera.

Cała dwoistość, właściwa dla niemieckiej Księgi Komer-

sowej, jest jak gdyby skoncentrowana w *Gaudeamus igitur*. Z jednej strony, bijąca w niebo radością rozkosz i pielęgnowanie najwyższych ideałów doczesnych, z drugiej zaś strony, głoszenie znikomości wszystkiego co ziemskie. Dla tego, który zajmuje się studiami idej w rozwoju historycznym, jest zupełnie jasnym, że ma się tu do czynienia z osobliwym oddziaływaniem częściowym, całokształtu rozwoju, życia duchowego Europy.

Pesymistyczne elementy wyjściowe Księgi Komersowej — przechodząc często zadziwiającymi drogami, odnoszą się do czasów Aristotelesa i następującej po nim generacji, która sformułowała także terminy gramatyczne, oraz tysiąc innych, a wśród nich np. καθολικός znajdujący się w jednym nieautentycznym dziele aristotelesowskim. Jeżeli Kotzebue (1802) w swej pieśni: „Nie może zawsze tak pozostać, tu pod zmieniającym się księżycem“ kładzie duży nacisk na konieczność zmiany wszystkiego co ziemskie, to tu właśnie dotarł do niego szczegół z tradycji żyjącej do połowy XVIII w. w klasztorach, a która z tą chwilą przeniknęła do nieklasztornych kół towarzyskich. Podobną rzecz spotykamy u Schillera w jego „Listach o etycznym wychowaniu“. Mianowicie przytoczone po niemiecku zdanie scholastyczne: *Corruptio optimi — pessima.*

Gaudeamus w tych warunkach nie jest żadnym wyjątkiem. Pieśń ta, jak to wyraźnie widać, jest zbudowana z trzech części. Pierwszą część tworzy strofka z napomnieniem, by radować się życiem. Część druga, zbudowana z drugiej i trzeciej strofy, wywodzi, że wszystko to, co przed nami bytowało na ziemi, poszło pod ziemię. Trzecia, rozwodząca się szeroko w czterech ostatnich strofach w uprzejmych zwrotach wielbi, Akademię, profesorów, dziewczęta — państwo, itd., wszystko natomiast to co życie obrzydza, powinno zginąć, nawet diabeł.

Część trzecia, jest zupełnie nowoczesną, wyjąwszy tylko z mistyki pochodzące, a tu pospolicie użyte, pojęcie *caritas*.

Pierwsza część odtwarza znany bieg myśli Horacego, któremu także słowo *Maecenas* kłania się lekko.

Retrospektywna część środkowa, wykazuje styczne z filozofią starożytnych cyników.

C. H. Becker w „Rozprawach o kulturze i historii mowy“ odnoszących się przede wszystkim do Wschodu (1916, s. 87) odkrył myśl średniej części w mahometańskich tekstach Kame-

runu i Togo i w związku z tym śledził bieg jej idei, poprzez krąg literatury islamskiej, wczesnochrześcijańskiej i greckiej. Przy tym myślał on o Menipposie z Gadary, z którego Nekyomantii Rud. Helm (*Lucian und Menipp,* Leipzig 1906, s. 55) myśl tę wydobył.

W *Dodatkach do dziejów wczesnochrześcijańskiej starożytności i byzantyjskiej literatury* (Ehrengabe J. Abb. Ehrhard, Bonn 1922, s. 139, 2), jest cytata z Marka Aurelego VI 47, które to miejsce Helm uważa za twór Menipposa. Ustęp ten jest ciekawy i należałoby go jeszcze rozpatrzyć w związku z IV 48, X 27, 31 i XII 27. VI 47 mówi nam: „Zastanawiaj się często nad ludźmi wielorakich właściwości, wielorakich zajęć, różnych narodów, którzy umarli, tak, że w ten sposób dojdziesz do Philistiona, Phoibosa i Origaniosa. Teraz przejdź do innych phyl! Musimy się zaiste tam zwrócić, gdzie jest tylu sławnych mówców, tylu wzniosłych filozofów, Herakleios, Pythagoras, Sokrates, tylu starożytnych bohaterów, tylu wodzów późniejszej doby, tylu tyranów, dalej gdzie są Eudoxos, Hipparchos, Archimedes i inne bystre, wielkoduszne, niezmordowane śmiałe natury, gdzie są nawet kpiarze śmiercią uświęconego i dzień trwającego życia ludzkiego, jak Menippos i jemu podobni. O tych wszystkich pomyśl, że już oddawna leżą w ziemi. Jakimże więc to jest złem dla nich? Czem że więc jest dla tych, którzy w ogóle nie mają żadnego istnienia?... Jedno tylko jest przede wszystkim wartościowe: życie swe w prawdzie i sprawiedliwości doprowadzić do końca, pełne życzliwości nawet dla kłamców i ludzi nieprawych".

Nie potrzeba żadnego dowodu, że zastosowanie praktyczne, które tkwi w ostatnich zdaniach, idzie całkiem na rachunek subtelnie czującego cesarza. Zaś nazwiska Philistiona, Phoibosa i Origaniosa, zmarłych nie długo przed dniami panowania M. Aurelego, dołączył sam cesarz. Philistion, jak przypuszcza Pape, był twórcą mimów w okresie Augusta, Phoibos to słynny wyzwoleniec Nerona. Nazwiska istotnie wzięte są z różnych narodów i zatrudnień. Zwrot: „przejdź do innych oddziałów (phyl)" wiąże dość luźno własną treść z tem, co następuje: „tam zaiste musimy się zwrócić" — tak, że działa to jak nienaturalne powtórzenie. Zatem, że stąd, aż do „od dawna leżą w ziemi" została przejęta cudza myśl, wiemy z historii: „Ubi susnt qui ante nos in mundo fuere?" Μέτιθι

i μεταβαλεῖν odpowiada *transeas (ad superos)* w tekście Kindslebena (1781). Możnaby nawet *abeas (ad inferos)* widzieć w κατιέναι.. ....μέχρι W zwrotkach tych zatem jest mowa o tym, że powinno się pójść do nieba i piekieł, by zobaczyć tych co odeszli, *(hos si vis videre)*. Sens zatem nie jest dość jasny. W odniesieniu do śmierci powinna być wzmianka o zniżeniu do *humus*, gdy tym czasem *ad superos* oznaczało podniesienie naszego istnienia.

Gdzie pierwotnie należało szukać przeciwstawienia, poucza M. Aurelius: on przeciwstawia bohaterów starożytnych wodzom czasów późniejszych (por. X. 27). Podobne przeciwstawienia zawierają niektóre przez Beckera przytoczone teksty: 1. kameruński: „Gdzie są wasi ojcowie dawniejsi i późniejsi? 2. „... gdzie jest Salomon... gdzie jest Nemrod... gdzie są dawniejsi i późniejsi?" (Becker s. 87 n.).

To samo spotykamy u Efraema Syryjczyka: „Gdzie są sławni bohaterowie starożytności?" (Becker, s. 93).

Myśli te popularne są i w piśmiennictwie arabskim. Także u Lukiana, który przecież silnie podmalowuje, przebija ten sam motyw. *Nekyomant.* c. 15, opowiada, jak droga zaprowadziła Menippa do Ixiona, Sisypha, Tantala. Wdarłszy się w głąb acheronckiej równiny, znajdujemy półbogów i heroiny i inne wojska trupów, oddzielnie, w e d l e n a r o d ó w i p h y l, jedne powołane w całkiem odległych czasach, inne zaś zupełnie świeżo.

Cała niejasność w *Gaudeamus* wynikła prawdopodobnie z tego, że w jakiejś pierwszej redakcji istotnie przychodziło przeciwstawienie między „dawniejszymi" i „późniejszymi". Potem może pod wpływem Efraima Syryjczyka, który *inferi* łączył z podziemiem, sens uległ zaciemnieniu.

Ustępy, zarówno z M. Aureliusa, jak i Lukiana, zdradzają, od kogo pochodzi ta myśl. Od Menippa, kynika, kpiarza z życia ludzkiego. Wszystkie inne nazwiska, które ów przytacza, były znakomitościami. Nazwisko Menippa, według Helma, było aż do czasów Lukiana dość przebrzmiałe. Ponieważ zatem równocześnie wymieniony Hipparchos żył dopiero około r. 190—125 prz. Chr., Menipp już w r. 270, trzeba przyjąć, że Marcus Aurelius przed wymienieniem Menippa umieścił kogoś pośredniego, którego nazwisko przemilczał wedle znanej metody chwili. Możnaby tu myśleć o Meleagrze z Gadary, naśladowcy Menippa, który był młodszy od Hippar-

cha (ok. 80—60) i miał zainteresowania literackie. Jest to jednak tylko hypotezą, bo nawet nie mamy pewności czy trójka nazwisk wymienionych przez cesarza (Pythagoras, Eudoxos i Archimedes) pochodzi od niego samego, czy też z innego źródła.

Drugi monolog M. Aureliusa IV 48 rozpoczyna się podobnie jak VI 47. Jest w nim mowa o niezliczonej ilości lekarzy, matematyków, filozofów, szlachty, tyranów, miast. Zamarłe miasta Helike, Pompei, Herculaneum (znowu trójka) są dodatkiem Rzymianina, którego niezręczność zdradza. Reszta jest przedstawieniem w VI 47 ogólnie podanej rubryki: 'zajęcia umarłych'. Obszerniej teraz mówi o filozofach, tyranach niż VI 47. Uderza kpiące powtarzanie zwrotu: „wszyscy przedtem sprowadzali śmierć na innych ludzi, lub oglądali ją, a nie myśleli o swojej". Ustęp ten, podobnie jak i VI 13, roi się od kynicznych powiedzeń. Koniec przypomina zamiłowanie Menippa do porównań, co zresztą spotykamy i u parającego się kynizmem Aristippa. Teraz spotyka nas τέφρα *cineres* z średniowiecznych wariantów do *Gaudeamus*.

Ciekawe dla *Gaudeamus* są i dalsze ustępy z M. Aureliusa. Tak np. X 31, cesarz błyska nowym nazwiskiem i tylko może wspominając o Xenophonie i Kritonie, stawia pytanie: „Gdzie są teraz ludzie", *ubi sunt?* i odpowiada: „Nigdzie, albo gdzieś w nieznanym miejscu". Podobnie XII 47: „Gdzie są teraz te rzeczy (i ludzie) wszystkie? Są dymem i prochem (σποδός) i mitem, albo nawet i nie mitem". Znowu poważne upomnienie: Być sprawiedliwym, umiarkowanym, iść w ślady bogów. Walczyć przeciw Typhonowi!

Z materiału ujętego przez Beckera, wysnuć można, co następuje: Pieśń pokutna z r. 1267, a raczej każda jej zwrotka, kończy się refrenem — upomnieniem, sformułowanym wybitnie w duchu chrześcijańskim: „*Surge, surge, vigila, semper esto paratus*". Jacopone da Todi (Becker 91 n.) podobnie jak M. Aurelius, wylicza mieszkańców podziemnego świata: Różne stany, tj. wodzowie, mówcy, filozofowie, szlachta (ἀριστεῖς u M. Aureliusa, ἐξουσία...κεχρημένου), tudzież popiół, dym (καπνός) czcze nic (οὐδὲν) i napomnienie: „Czyń dobrze!" Ponieważ nadto u Jacopona przychodzą nazwiska: Salomona, Absalona, Caesara, Xerxesa, Iuliusa, Aristotelesa, — sądzimy, że nie jest on zawisły od M. Aureliusa. Kyrillos z Alexandrii podaje obok stanów κενοδοξία (Becker n. 92). Efraim Syryjczyk ma nawet

u siebie 'miasta' M. Aureliusa, do którego zresztą naogół u siebie 'miasta' M. Aureliusa, do którego zresztą na ogół jest najbardziej podobny. „Idź i oglądaj miasta albo mędrca (φιλόσοφος)... „gdzie są ci, którzy ludzi strącali w dół?... gdzie są ci, którzy przedtem wydawali rozkazy? (por. ψυχαῖς κεχρημένοι) i dziedziczyli w niewoli ziemię, majestatem swej tyranii?“.

Właściwy sposób pracy M. Aureliusa był następujący: cesarz nie ograniczał się do łatwych historycznych przykładów, jak to robili Cicero i Seneca, do dorzucania nowszych nazwisk do nazwisk dawniejszych, lub w miejsce dawnego, wstawić nowe, ale przenika całość swoim subtelnym duchem. Nie jest to więc kompilacja w dosłownym tego słowa znaczeniu, Przyjmujemy, że M. Aurelius wiele nauczył się z dziedziny języka od Menippa, względnie od pośrednika, któremu być może zawdzięcza pedantyczny podział zmarłych wedle żawodów i narodów.

Z M. Aureliusa uczymy się więcej w odniesieniu do Menippa, niż z Horacego, u którego podobieństwa znajdujemy w carm. IV 7, 15, op. I 6, 27. Carm. IV 8, 25:

Vixere fortes ante Agamemnonem
Multi; sed omnes inlacrimabiles
Urguentur ignotique longa
nocte, carent quia vate sacro...

Agamemnon właśnie mógł poecie przyjść na myśl po lekturze Menippa. Tak samo ma się z menippejskim pomysłem, że aktorowie, gdy włożą strój królewski, wyglądają całkiem zwyczajnie (Nekyom. 16); Horat. Epist. III 227nn.:

ita vertere seria ludo,
Ne quicunque deus, quicunque adhibebitur heros
Regalis conspectus in auro semper et ostro,
Migrat in obscuras humili sermone tabernas.

Kiessling zwraca uwagę, że wybitnie Menippejską cechę nosi na sobie C. IV 7. Pieśń mówi, że zniknęły już śniegi, nadeszła wiosna, Gratia z Nimfami zawodzi już tany — ale odrazu daje napomnienie:

Immortalia ne speres, monet annus et almum
quae rapit hora diem.

I mówi dalej poeta:

Damna tamen celeres reparant caelestia lunae:
nos ubi decidimus,

quo pius Aeneas, quo Tullus dives et Ancus,
pulvis et umbra sumus.

Urywki z menippejskiego katalogu zmarłych spotykamy często u Horacego II 28: Tantalus, Tithonos, Minos, Pythagoras, Archytas, II 18. Biedni ludzie i królowie, Prometheus i Tantalus, II 14, Geryon, Tityos, Danaos, Sisyphos. Że już przed Horacym przyswoił sobie epikureizm w innej myśli niż Stoa kynizm Menippa, dowodzi wkładka III 975—1050 u Lucretiusa. Znowu widzimy w znanym dla nas biegu myśli, Tantala, Tityosa, Sisypha, Ancusa, królów *rerum potentes, magnis qui gentibus imperitarunt,* jednego, który niegdyś prowadził rzymskie legiony przez morze, Scipiona, poetów (Homera), filozofów (Demokrita, Epikura), wszystkich umieszczonych obok siebie. Jeżeli poeta, który jest mniej pedantyczny niż M. Aurelius i w obszernym opisie przesmyku morskiego zdradza własny charakter, obok *repertores doctrinarum* stawia *lepores,* to właśnie to może być dla nas wskazówką dla menippejskiego źródła Lucretiusa.

Między tymi, na których działał Lukianos i Menippos, Helm nie wymienił Calderona. Jeśli się porówna opowieści *Wielkiego teatru świata* z opowiadaniem menippejskiej satyry o użyczeniu kostiumów królom przez Los, i późniejszym ich zabraniu przez śmierć, to wyłania się zupełnie jasna analogia, tylko u Calderona na miejscu Losu znajduje się Bóg. To odpowiada rozwinięciu u Tomasza z Aquinu, który wyjaśnia stosunek Fatum — Bóg. W *Wielkim teatrze świata* spotykamy korowód zmarłych, jakgdyby taniec zmarłych, którego wzór napewno jest zaczerpniety z Menippa. Godne polecenia jest zbadać stosunek Calderona do Lukiana, gdyż (sądzi tak Helm) Calderon uległ wpływowi wielkiego kpiarza. — Od Erasma, wspomnianego przez Helma, którego *Colloquia familiaria* tchną w rzeczywistości duchem lukiańskim, prowadzi droga do Shakespeara, znającego dokładnie owe *Colloquia,* których ton wyczuwa się w jego charakterystykach osób i gminnych rozmowach.

Dla ukształtowania tekstu *Gaudeamus* wynika ze zestawień Beckera, że można wprawdzie także zgodzić się na *Hos si vis videre* zamiast *Ubi iam fuere.* Tylko musi się pamiętać, że w starej pieśni pokutnej ten porządek czytania jest pełen myśli:

Ubi sunt qui ante nos in hoc mundo fuere,
Venias ad tumulos, si eos vis videre.

Ponieważ w pieśni studenckiej jest:

Vadite ad superos,
transite ad inferos,

hos si vis videre jest już całkiem nieodpowiednie i raczej należałoby już czytać: *Abeas ad inferos* | *transeas ad tumulos,* | *hos si vis videre. Ubi iam fuere* oczywiście jest tu niepotrzebne. — Dionysius Carthusianus daje nam rozwiązanie dla drugiej wersji. Ma dwa razy powtórzone *Ubi iam.* — Wygląda to tak: *Ubi iam? Fuere. Fuere* jest tu naśladownictwem sławnego *Fuere Troes, Ilion; fuere* Jakóba Balde, któremu znów przyświecało Wergilego (*Aen.* II 325): *Fuimus Troes, fuit Ilion.*

Seneca, Oedipus (w. 1—81): **Opis zarazy w Thebach.**

Już wraca blade słońce rozpędziwszy mroki,
Tarcza się jego wznosi chmurą przysłonięta,
I, niecąc smutne blaski żałobnych płomieni,
Patrzy na domy nasze przez mór wyludnione.
Trupy w nocy wymarłych dzień oświetla jasny.
Komuż szczęście da władza? O Dobro zwodnicze!
Ileż nieszczęść ukrywasz pod pięknym pozorem!
Jak wzniosłe szczyty zawsze sieczone przez wichry,
Jak o górę, co skały wysuwa aż w morze,
Uderzają wciąż fale nawet podczas ciszy,
Tak i władca na losu ciosy narażony.
Jak dobrze, żem uniknął władzy po Polybie!
Byłem beztroskim zbiegiem, tułaczem bez lęku,
(Klnę się na wszystkich bogów!) tron dał mi przypadek.
Strasznej boję się zbrodni: obym własną ręką
Nie zabił ojca mego. Tem mi grożą Delphy
I inną, gorszą jeszcze wróżą mi ohydą.
Czyż jest, niż ojcobójstwo, potworniejsza zbrodnia?
O nieszczęsna miłości synowska! (wstyd mówić...),
Phoebus grozi, że łoże ojcowskie znieważę
I ślub wezmę przy blasku przeklętych pochodni.
Lęk przed tym precz mnie wygnał z państwa mego ojca;
Lecz dom mój porzuciłem nie jako wygnaniec;
Niezbyt ufając sobie, chciałem zabezpieczyć
Prawa twoje, Naturo. Przed wielką drżąc klęską,
Choć nie wiesz, co cię spotka, lecz boisz się jednak.
Wszystko mnie teraz trwoży, sam nie ufam sobie.
Już Losy coś tam knują, żeby cisnąć na mnie.
Bo cóż mam o tem sądzić, że straszna zaraza,
Co pośród Kadmejczyków spustoszenie szerzy
Mnie jednego oszczędza? Jakież zło ma dla mnie?
Wśród smutnych ruin miasta i umarłych stosów,
Wśród gorzkich łez wciąż nowych, wśród ludu żałoby,
Ja sam nietknięty stoję: skazany przez Phoeba

Może miałeś nadzieję, że za takie zbrodnie
Tron bezpieczny dostaniesz? Jam ściągnął zarazę.
Ni chłodny powiew wiatru nie przynosi ulgi
Piersiom gorączką tchnącym, ni lekkie zefiry
Nie powieją, lecz słońce ogniem praży z nieba,
Ze znaku psa przechodząc w znak lwa nemejskiego.
Rzeki straciły wilgoć, znikła łąk zieloność,
Wyschła Dirke, Ismenos wąską płynie strugą,
Woda zwilża zaledwie wyschnięte łożysko,
Siostra Phoeba przyćmiona usuwa się z nieba
I świat w smutku swym blednie, gdy dzień mglisty wschodzi.
Żadna gwiazda nie świeci wśród pogodnej nocy,
Lecz mgła ciężka i czarna przytłacza tę ziemię;
Wszystkie świątynie bogów i wszystkie pałace
Mają wygląd podziemi. Cerera nam plonów
Odmawia, choć dojrzałe drżą już żółte kłosy,
Źdźbło usycha i całe marnieją zasiewy.
Nikt nie może się ustrzec od strasznej zagłady,
Wiek i płeć bez znaczenia: wszyscy nędznie giną.
A klęska ta ponura starców z młodzieńcami
I syna z ojcem łączy. Dziś na jednym stosie
Mąż z żoną razem płonie. I nie towarzyszy
Pogrzebom płacz i jęki, ani narzekanie.
Tak długo z taką siłą szaleje zaraza,
Że ludziom wyschły oczy, łzy płynąć przestały,
Co zwykle w tak gniotących dzieje się nieszczęściach.
Tu syna na stos niesie ojciec też już chory,
Drugiego matka z bólu obłąkana niesie.
I wraca, żeby z trzecim śpieszyć ku stosowi.
A w czasie tych obrzędów nowa klęska wschodzi,
Bo giną obok zmarłych ci, co ich chowają.
Rzucają na stos cudzy bliskich swoich ciała,
O płomień toczą walki, gdzież poczucie wstydu?
Kości zmarłych nie mają w grobowcach spoczynku,
Dosyć, że je spalono i to niedokładnie.
Brak już ziemi na groby i lasów na stosy.
Chorym nic nie pomaga: ofiary, leczenie,
Giną ci, którzy pomoc zarażonym niosą.
Przypadłszy do ołtarzy, ręce kornie wznoszę,
Błagając o śmierć rychłą, abym sam mógł zginąć,
Nim kraj mój padnie w gruzy, żebym nie umierał
Po wszystkich, żeby pogrzeb mój nie był ostatnim.
O bóstwa zbyt okrutne, o losie bolesny!
Wśród tylu konających tylko mnie jednemu
Skonać jeszcze nie wolno? Porzuć to królestwo,
Ręką śmierci dotknięte, te łzy i żałobę
I to tchnienie niszczące, które z sobą niesiesz,
O przybyszu złowróżbny, uciekaj już prędzej
Chociażby do rodziców...

Przekł. MARIA ROSIŃSKA

EDMUND STEIN

WDOWI GROSZ

We wszystkich językach europejskich znane jest przejęte z Ewangelii pojęcie wdowi grosz (niem. *Das Scherflein der Witwe*, franc. *l'obole de la veuve* itd.), który Bóg przenosi nad wspaniałe dary bogaczy. O pochodzeniu tego motywu dużo już pisano, a ostatnio zajmował się u nas tym zagadnieniem T. Zieliński. Stawiano najrozmaitsze hypotezy, sięgając nawet do folwarku indyjskiego [1]). My jednak ograniczymy się do analizy i krytyki greckiej tezy, reprezentowanej przez wielkiego filologa polskiego, po czym przedstawimy i uzasadnimy własny pogląd na tę materię.

Odnośne miejsce w Ewangelii brzmi w przekładzie Wujka (Warszawa 1928) następująco: „A siedząc Jezus przeciw skarbnicy, patrzał, jak rzesza kładła pieniądze do skarbu, a wiele bogaczów wiele kładli. A przyszedłszy jedna wdowa uboga, włożyła dwa drobne pieniądze (λεπτὰ δύο), co waży kwadrant. A zwoławszy uczniów swych rzekł im: 'Zaprawdę powiadam wam, iż ta uboga wdowa więcej włożyła, niźli wszyscy, którzy kładli do skarbu. Albowiem wszyscy z tego, co im zbywało, rzucali, a ta z niedostatku swego wszystko, co miała, wrzuciła, wszystką żywność swoją" (Mar. 12, 41—44. Paralel. Łuk. 21, 1—4).

Otóż zdaniem prof. Zielińskiego jest wdowi grosz czysto grecką zasadą i wyrazem „rdzennego żywiołu pobożności helleńskiej" [2]). Z. dopatruje się prawzoru wdowiego grosza u greckiego ustawodawcy Zaleukosa, który głosił szczytną myśl: „Służy się bogom nie przez dary bogate i wspaniałe ofiary, ale przez cnotę i wolę uczciwą, skierowaną ku sprawiedliwości i dobru" [3]).

---

[1]) Hans Haas, *Das Scherflein der Witwe und seine Entsprechung im Tripitaka.* Veröffentlichungen des Forschungsinstitutes für vergleichende Religionsgeschichte an der Universität Leipzig Nr. 5, 1922. Wątpliwości co do zależności chrześcijaństwa od kultury indyjskiej w ogóle i co do naszego wypadku w szczególności — w książce G. Kittel, *Probleme d. paläst. Spätjudentums und das Christentum*, Stuttgart 1926, 79 n.

[2]) T. Zieliński, *Hellenizm a Judaizm* I 264.

[3]) Por. T. Zieliński, *Religia starożytnej Grecji*, 76.

Zdaniem Zielińskiego nie zna takiego poglądu judaizm. Z. spotkał się wprawdzie z wypowiedzią wczesno-talmudyczną: „Wszystko jedno, czy kto ofiaruje wiele czy mało, jeżeli tylko swe myśli kieruje ku Bogu“ (Menachoth XIII, 11), ale Z. uważa to za „pojedyncze zdanie charakteru greckiego“ [1]). Z. poprzestaje na tych uwagach, nie starając się dokładniej uzasadnić swojej greckiej tezy co do pojęcia wdowiego grosza. Jak często, tak w naszym wypadku rzucił Z. ciekawą i bystrą myśl, problem raczej szkicując, aniżeli rozwijając. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nasz problem tkwi o wiele głębiej w odnośnych motywach religijnych, aniżeli to można wnosić z krótkich wywodów Zielińskiego. To głębsze wniknięcie w nasze zagadnienie jest zadaniem niniejszej rozprawy.

* * *

Zaczynamy od twierdzenia negatywnego, mianowicie, że zarówno słowa Zaleukosa [2]), jak podobne poglądy, które wnet poznamy, nie dotykają bezpośrednio motywu wdowiego grosza. Albowiem myśl Zaleukosa zmierza do odrzucenia ofiar w ogólności, chcąc je zastąpić cnotą i szlachetną wolą. Grecki ustawodawca styka się blisko z prorokami Izraela Amosem i Jezajaszem. Ale taki radykalny pogląd ma mało wspólnego z wdowim groszem, który nie neguje wcale wartości ofiar, na które wszak przeznaczone były owe dwa pieniążki z Ewangelii.

To samo można powiedzieć o innym pokrewnym pojęciu, nie przytoczonym przez Z., a spotykanym w hellenistycznym żydowstwie, w chrześcijaństwie, w neoplatonizmie i w hermetyce. Mam na myśli λογικὴ θυσία ofiarę duchową. Ofiara materialna zostaje drogą uwznioślenia służby bożej zastąpiona przez ofiarę ducha i serca. I to jest pogląd radykalny, negujący zupełnie materialną ofiarę na zasadzie sublimacji ofiary. Jeżeli pierwszy pogląd odrzuca ofiarę w ogóle, a na jej miejsce wysuwa moralną doskonałość w wyraźnym przeciwieństwie do ofiar [3]), to zastępuje jedną ofiarę drugą, materialną ofiarę, ofiarą duchową. W jednym i drugim wypadku mimo pokrewnego podłoża ideowego nie można

---

1) *Hellenizm a Judaizm* II 246. O tym zdaniu talmudycznym będzie jeszcze mowa.

2) Zachowane w Stobaiosa IV 123 n. n.

3) Np. „Miłości chciałem, nie ofiar“ Hozea 6, 6. Antyteza ta sama, co u Zaleukosa.

mówić o wdowim groszu, który materialną ofiarę stanowczo afirmuje. Najwyżej może wdowi grosz służyć poniekąd jako punkt wyjścia do radykalnego poglądu negatywnego lub λ. θ. ale o tożsamości nie ma mowy.

Jednakże właśnie wskutek owego pokrewnego podłoża warto przyjrzeć się bliżej myśli o λ. θ. we wspomnianych kręgach kulturalnych. Bardzo dobitnie brzmi ta zasada w Odach Salomona: „Ofiary składać będę — ofiary myśli (Oda II 2) [1]. To samo spotykamy często u Philona z Alexandrii. W jednym miejscu czytamy: „Bóg nie ma nawet upodobania w tym, że mu ktoś przynosi hekatomby. Do niego bowiem wszystko należy, a sam nie potrzebuje niczego z tych rzeczy. Raduje się natomiast nabożnymi myślami (φιλοθέοις γνώμαις) i mężami ćwiczącymi się w cnotach" (*De spec. leg.* I 271). Znamiennym jest, że Philon przechodzi od tego spirytualistycznego stanowiska do pojęcia wdowiego grosza, aby zaraz następnie nawrócić do poglądu negatywnego w formie λ. θ. Philon bowiem kontynuuje: „Zamiast drogich darów przyjmuje Bóg od nich chętnie placki jęczmienne i rzeczy najskromniejsze jeszcze bardziej niż najcenniejsze. Jeżeli nawet nie przynoszą nic innego prócz siebie samych, jako wypełnienie nakazów cnoty, składają oni w ten sposób najlepszą ofiarę ...czyniąc tylko w duszy rozumowe wywody" (μόνῃ ψυχῇ τὰς νοητὰς ποιούμενοι διεξόδους, tamże 271 n.) [2].

Λ. θ. znajdujemy również w Nowym Testamencie. I tak List ap. Pawła do Rzymian 12,1 brzmi: „Proszę was tedy, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście wydawali ciała wasze jako ofiarę żywiącą, świętą, przyjemną Bogu, rozumową służbę waszą" (λογικὴν λατρείαν ὑμῶν). Podobnie 1. List ap. Piotra: „I wy jako żywe kamienie na nim się budujcie w dom duchowy (οἶκος πνευματικός) [3], kapłaństwo święte ku ofiarowaniu duchowych ofiar (θυσίαι πνευματικαί 2, 3).

---

[1]) O domniemanym essejskim autorze ód Salomona traktuję w mojej książce *Hist. lit. hellenistyczno-żyd.* (w druku).

[2]) Por. E. Stein, *Filon z Aleksandrii* s. 133. Zob. także Philon, *De ebrietate* 152: Anna wylewa kielich duszy swej przed Bogiem jako libację. Stoi to w związku z mistycznym pojęciem *sobria ebrietas* (νηφάλιος μέθη). Hans Lewy, *Sobria ebrietas* (Beihefte zur ZNTW 9), Giessen 1929, 6 n. Zob. także fragment Philona ed. Harris 101: ἡ ἀληθὴς ἱερουργία τίς ἂν εἴη πλὴν ψυχῆς θεοφιλοῦς εὐσέβεια; H. Lewy, *Neue Philontexte in der Überarbeitung des Ambrosius*, Berlin 1932, s. 18. W ślad za Philonem mówi Prokopios 325 AB o πνευματικαὶ θυσίαι Abrahama.

Myśli takie były w duchu czasu i występują również w greckich pismach traktujących o ofiarach. I tak Apollonios z Tyany w piśmie Περὶ θυσιῶν (u Eusebiosa *Praep. evang.* IV 13): „Bogu, który jest jeden i wolny od wszelkich przymieszek... nie należy ofiarować nic z rzeczy podpadających pod zmysły, lecz winno się służyć zawsze szlachetnym słowem... to odnosi się do ducha“ [1]) (... μόνῳ δὲ χρῷτο πρὸς αὐτὸν ἀεὶ τῷ κρείττονι λόγῳ... νοῦς δέ ἐστι οὗτος). To samo Porphyrios *De abst.*: νοητοῖς... θεοῖς ἤδη καὶ τὴν ἐκ τοῦ λόγου ὑμνῳδίαν προσθετέον (p. 104, 19) i: διὰ σιγῆς καθαρᾶς καὶ τῶν περὶ αὐτοῦ καθαρῶν ἐννοιῶν θρησκεύομεν (p. 104, 12). Podobny pogląd znachodzimy także u Seneki [2]), u Lactantiusa [3]) i w pismach hermetycznych [4]). Tym wszystkim wspólne jest to, że ofiara jako taka nie jest odrzuconą, lecz zostaje sublimowaną i podniesioną w dziedzinę ducha [5]). Λ. θ. jest tworem późno-hellenistycznym, podczas gdy stanowisko Zaleuka kryje się z poglądem proroków Izraela. Ciekawym jest, że, jak u Philona, tak u Porphyriosa motyw wdowiego grosza w obszernym znaczeniu tego wyrazu przechodzi w λ. θ. i na odwrót, czego nie można mówić o radykalnym stanowisku Zaleuka. Dlategoż odróżniając ściśle te pojęcia nie znajdziemy u Zaleuka wzoru dla wdowiego grosza. Aby ten wzór znaleźć, należy omówić te motywy, które się z tym pojęciem ściśle wiążą.

* * *

Dla uchwycenia istoty wdowiego grosza z Nowego Testamentu musimy wziąć pod uwagę różne elementy, jakie się na to pojęcie składają, lub bezpośrednio do niego prowadzą. Do tych ostatnich należy 1. Motyw skromności. Polega

---

[1]) O znaczeniu λ. θ. dla chrześcijaństwa por. Dalman, *Jesus-Jeschua* s. 209. Do θυσία πνευματική u Prokopa zob. poprzednią uwagę. Do motywu: człowiek świątynią Boga w literaturze hellenist.-żyd. por. M. Friedländer, *Jüdische Apologetik* s. 294 nn.

[2]) *Ep.* 95, 50; *De benef.* I, 63; frg. 123.

[3]) *Instit.* VI 24—25.

[4]) J. Kroll, *Die Lehre des Hermes Trismegistos* 334.

[5]) Różnicę między stanowiskiem proroków a λ. θ. formułuje Lietzmann, *Handbuch z. NT.* (Tübingen 1913) do Rom. 12,1: „Das Eigentümliche dieser Stelle ist nicht die Überordung des Sittlichen über das Kultische — das ist ja bereits für die Prophetenpredigt typisch und auch in der griechischen Polemik wohlbekannt, — sondern die Betonung der ‘Vernünftigkeit’ des ethischen Opfers“.

on na poglądzie, że bóstwo znajduje upodobanie właśnie w skromnych darach, natomiast nie lubi niesmacznego przeładowania w ofiarach. Zasadę umiaru i umiarkowania w ofiarowaniu głosił już Platon *Leg.* 955 E. Brzmi ona: ἀναθήματα ἔμμετρα. Nie odpowiada to wprawdzie rdzennemu poglądowi greckiemu, który widzi właśnie w obfitości ofiar dowód pobożnego usposobienia [1]; nie tym mniej można stwierdzić istnienie tendencji do ἀν. ἔμμ. w greckiej filozofii. Motyw skromności dominuje w piśmie Theophrasta o pobożności (περὶ εὐσεβείας), z którego znaczna część zachowała się u Porphyriosa w 2. ks. *De abstinentia*. Powtarzające się określenie εὐδάπανον charakteryzuje wspomnianą dążność do umiaru. Z tym łączy się u Theophrasta, a zwłaszcza u Porphyriosa walka z instytucją krwawych ofiar. Zdaniem ich, a szczególnie zdaniem Porphyriosa, tego pierwszego systematycznego ideologa wegetaryzmu [2], ofiarą miłą bogom są vegetabilia, jak stale wspominane w tym związku πόπανα, placki ofiarne. Jak same ofiary, tak i odnośne naczynia mają być skromne i tanie. Tutaj jest często mowa o tym, że bogowie przenoszą skromną ofiarę biednego nad ofiarę bogacza. A jednak nie mamy tu bynajmniej pojęcia wdowiego grosza. Należy tu wyraźnie podkreślić, że wdowi grosz polega na tym, iż Bóg woli ofiarę biednego jako takiego, podczas gdy u Theophrasta chodzi bogom o ofiarę, a nie o ofiarnika. Innymi słowy: co bogom szczególnie odpowiada, to biedna ofiara, a nie biedna osoba ofiarnika. Jeżeli zatem bogacz przynosi skromną ofiarę, będzie to bogom tak miłe, jak skromna ofiara biednego. I na odwrót, jeżeli biedny człowiek sili się na hojne dary, nie znajduje on upodobania u bogów. Jeżeli więc jest mowa o miłej ofierze biednego, polega to na tym, że biedny, nie będąc w stanie składać bogatych ofiar, ofiarowuje zwykle skromnie, a te właśnie skromne ofiary są jako εὐδάπανα miłe same przez się Tej okoliczności, że nie chodzi tu o różnicę

[1]) Słusznie P. Stengel, *Kultusaltertümer*, München 1899, s. 74: „Die fromme Gesinnung konnte sich darin zeigen, dass man ein wertvolles Tier opferte, wie auch darin, dass man bessere und reichlichere Stücke verbrannte". Co znowu nie wyklucza, że w pewnych okolicznościach i w określonych miejscach uważano skromne, bezkrwawe ofiary za szczególnie święte, tamże s. 71.

2) Do systematycznego wegetaryzmu Porphyriosa, opartego na pythagoreizmie i nowej akademii, zob. teraz J. Haussleiter, *Der Vegetarismus in der Antike*, Berlin 1935, s. 32 n.

między bogaczem a biednym, lecz między wystawnością a skromnością u jednej i tej samej osoby, dowodzi następujące opowiadanie u Theophrasta. Obywatel z Hermione ofiarował bogu pythyjskiemu trzy szczypty ziaren, równocześnie jakiś Thessalczyk złożył hekatomby. Apollon przyjmuje ofiarę Hermionczyka. Ten, uradowany, wysypuje cały worek ziaren na ołtarz. Bóg objawia niezadowolenie (*De abst.* c. 15). Ten sam sens mają przytoczone tam (c. 17) wiersze Antiphanesa:

ταῖς εὐτελείαις οἱ θεοὶ χαίρουσι γάρ·
τὸ δὲ μικρὸν αὐτὸ τοῦτ' ἀρεστὸν τοῖς θεοῖς

i Menandra (tamże):

ὁ λιβάνωτος εὐσεβής
καὶ τὸ πόπανον· τοῦτ' ἔλαβεν ὁ θεὸς ἐπὶ τὸ πῦρ
ἅπαν τεθέν.

Tak to wszystko zmierza do jędnego mianowicie, że bogowie nie znoszą wystawności bez względu na to, od kogo ofiara pochodzi; i odwrotnie, chętnie przyjmują skromne dary bez różnicy stanu majątkowego ofiarnika[1]). Jeżeli można tu mówić o „rdzennym żywiole helleńskiej pobożności“, miałoby to szczególne zastosowanie w odniesieniu do zasady skromności, która u Platona i Theophrasta jest wyrazem helleńskiego zamiłowania umiaru i symmetrii. Choć i pod tym względem musimy uczynić zastrzeżenia, że ludowa pobożność grecka była na ogół skłonna do ofiar bogatych i tłustych, jak to było za czasów Homera. Kazania kynicko-stoickie wzywające do prostoty i skromności także w składaniu ofiar[2]), nie wiele pomogły, a tłuste bydło ofiarne o pozłoconych rogach więcej odpowiadało smakowi ludu greckiego, niż zachwalone przez filozofów miodowe placki.

Nie inaczej rzecz się ma w judaizmie, gdzie przyjął się nawet grecki zwyczaj pozłacania rogów ofiarnego bydła[3]). Wprawdzie tu i ówdzie słyszymy zdania na rzecz skromności[4]),

---

[1]) Słusznie J. Bernays *Theophrastos' Schrift über Frömmigkeit* 75: „...Theophrastos, der die geringere Gottgefälligkeit des Opferaufwandes an sich darthun will“.

[2]) Np. Krates 50, 10 D. Podobnie Iamblichos, *Vita Pythag.* 54.

[3]) Miszna Bikkurim III, 3, Flavius Jos. *Ant.* XIII, 242.

[4]) Pow. Seder Eliahu 7, ed. Friedmann str. 36; Leviticus rabba II 12. Warto nadmienić, że Poseidonios u Strabona XVI 2,36 chwali skrom-

ale są to głosy odosobnione; lud nigdzie nie miał zrozumienia dla platońskich ἀναθήματα ἔμμετρα. Także Nowy Testament nie wprowadza w tym względzie żadnych zmian, a w opowiadaniu o wdowim groszu ofiara wdowy nie jest chwalona z powodu jej skromności, lecz mimo jej skromności. W rezultacie można zgodzić się na to, ażeby uznać motyw skromności za helleński, lecz z ograniczeniem do duchowej elity narodu greckiego. Musimy zatem ten motyw z góry wyeliminować z analizy motywu wdowiego grosza.

2. Natomiast zbliży nas do niego inny motyw, który można określić jako motyw proporcjonalności. Polega on na tym, że skromną ofiarę biednego uważa się za równoznaczną z bogatą ofiarą majętnego, biorąc pod uwagę stosunek zachodzący między stanem posiadania pierwszego i drugiego. Dla biednego bowiem znaczy mały wydatek tyle, lub nawet więcej, niż duży wydatek dla bogacza. Wyraźnie zaznaczony jest ten stosunek w zdaniu Sokratesa u Xenophona *Mem.* I 3, 3: θυσίας δὲ θύων μικρὰς ἀπὸ μικρῶν οὐδὲν ἡγεῖτο μειουσθαι τῶν ἀπὸ πολλῶν καὶ μεγάλων πολλὰ καὶ μεγάλα θυόντων. Sokrates powołuje się przy tym na Hesioda *Op. et dies* 336:

κὰδ δύναμιν δ' ἔρδειν ἱέρ' ἀθανάτοισι θεοῖσιν.

Tu zbliżamy się do samego pojęcia wdowiego grosza, w którym występuje ta sama zasada relatywności Uwzględnić należy nie wielkość ofiary, lecz możność (δύναμις) ofiarnika. Ubogi, dający mało 'z niedostatku', ponosi większy ciężar niż bogaty, który daje 'ze zbytku'. Czyżbyśmy więc mieli tu wzór wdowiego grosza? Bynajmniej; a to z dwóch powodów. Po pierwsze jest ten motyw bardzo dobrze znany w literaturze wczesnotalmudycznej, która chyba stoi bliżej Nowego Testamentu niż Sokrates i Xenophon; po drugie nie wyczerpuje to jeszcze całej głębi wdowiego grosza.

Co do literatury talmudycznej poznamy ją jeszcze w związku z nowymi motywami, co się zaś tyczy stosunku do wdowiego grosza do zasady proporcjonalności stwierdzić należy, że wdowi grosz jest o wiele więcej niż kategorią matematyczną. Chodzi tu nie o sam datek, lecz przede wszystkim o intencję towarzyszącą zewnętrznemu aktowi pobożności.

---

ność kultu w świątyni jerozolimskiej. Heinemann, *Philons griech. u. jüd. Bildung* 68 n. porównuje słowa Poseidoniosa οὔτε δαπάναις ὀχλήσει τοὺς χρωμένους z Midraszem Num. r. XXI 16, gdzie Bóg powiada: „nie nałożyłem na ciebie wielkiego wysiłku (*lo hitrachti alecha*" לא הטרחתי עליך).

Przechodzimy tedy do momentu intencjonalności. W przytoczonym z *Mem.* Xenophona miejscu snuje Sokrates dalej swą myśl wywodząc, że bogowie radują się najbardziej honorami, danymi im przez najpobożniejszych (τοὺς θεοὺς ταῖς παρὰ τῶν εὐσεβεστάτων τιμαῖς μάλιστα χαίρειν). Ta myśl doznaje znacznego pogłębienia u Theophrasta w związku z motywem skromności. W treściowej, epigramatycznej, do naśladowania trudnej sentencji uczy Theophrastos, że bóstwo baczy raczej na intencję ofiarowujących, aniżeli na ilość ofiar. (μᾶλλον τὸ δαιμόνιον πρὸς τὸ τῶν θυόντων ἦθος ἢ πρὸς τὸ τῶν θυομένων πλῆθος βλέπει Porph. *De abst.* c. 15). Nie mogę oprzeć się pokusie oddać, choć w rubasznej formie, po polsku to, co nie udało się Bernaysowi uczynić po niemiecku: więcej niż kupa (πλῆθος) ofiar znaczy u bóstwa skupienie (ἦθος) ofiarników.

Znamiennym jest, że Theophrastos styka się bardzo blisko z nauczycielami Talmudu, którzy głoszą znaną nam już zasadę: „Wszystko jedno, czy kto ofiarowuje wiele czy mało, jeżeli tylko swe myśli kieruje ku Bogu“ [1]. Język hebrajski jest tu w lepszej sytuacji niż język grecki, gdyż ma specjalny wyraz na oznaczenie intencji jako nabożnej myśli; jest to hebr. *kawwąna* (כונה), czemu niezupełnie odpowiada gr. ἦθος. Brak odnośnego wyrazu w N. T. [2]) spowodował, że myśl w opowiadaniu o wdowim groszu nie wyszła zupełnie jasno. A jednak nie ulega wątpliwości, że ważność intencji leży na dnie wypowiedzi, że biedna wdowa składa w ofierze cały swój żywot βίος, lepiej niż *żywność* u Wujka, jak zobaczymy niżej).

To prowadzi nas do najistotniejszej strony pojęcia wdowiego grosza. Nie była ona dotąd zrozumiana przez komentatorów N. T., gdyż nie przywiązywano wielkiej wagi do zakończenia ewangelicznego opowiadania. Ale właśnie to zakończenie zawiera punctum saliens całego zagadnienia; ono da

[1]) Menachoth XIII, 11; paral. Menachoth 110 a; Szebuoth 15 a i in. Że to nie jest „pojedyncze zdanie charakteru greckiego“ (Zieliński, *Hellenizm a Judaizm* II 246), okaże się w dalszych naszych wywodach. Do znaczenia tego miejsca por. A. Büchler, *Studies in Sin and Atonement in the rabbinic Literature of the first century* (Oxford 1928, s. 412 n.).

[2]) Por. E. Stein, *Judaizm a Hellenizm* s. 36. Także język polski nie posiada właściwego wyrazu na oznaczenie nabożeństwa, jako nastroju religijnego i skupienia ducha (niem. *Andacht*).

nam również klucz do rozwiązania kwestii zależności wdowiego grosza od wzoru greckiego, czy judejskiego.

Chodzi tu o nowy motyw, który można określić jako samoofiarę biednego. Sens tego motywu jest taki, że uważa się skromną ofiarę biednego jako takiego za największą, gdyż ubogi oddaje ostatki swego mienia 'z niedostatku swojego'. Ofiara zostaje biednemu policzoną tak, jak gdyby własną swą duszę oddał Bogu. Oczywiście, że zakładając u biednego największy wysiłek, uznaje się u niego implicite największe natężenie intencji. Nowej tej koncepcji, a więc właściwej pointy wdowiego grosza, nie znajdujemy w literaturze greckiej, a jest ona zawarta w homiletycznym zbiorze palestyńskim. Midrasz Leviticus rabba do 3 ks. Mojżesza. Midrasz Leviticus r. czerpał swój materiał ze starych źródeł, stąd wielka jego ważność dla rozstrzygnięcia kwestii zależności. Zresztą wiadomą jest rzeczą, że ewangeliczne kazanie jest bardzo zbliżone do palestyńskiego Midraszu, mającego charakter ludowy. Wspomniany Midrasz powstał nadto w Galilei, jak wskazują liczne aforyzmy ludowe w dialekcie aramajskim, używanym w północnej Palestynie, tak że dostajemy się w ten sposób wprost w środowisko N. T. Ograniczymy się w tym miejscu do drugiego i trzeciego rozdziału tego Midraszu.

Motyw szlachetnej intencji (motyw 3) i. co się z tym łączy, ogólnego postępu moralnego jako warunku skuteczności ofiar odnajdziemy na końcu 2. rozdziału. „Dlaczego znajdujemy wyraz *hakraba* (הקרבה. znaczy 'ofiarowanie' i 'zbliżenie'; w tym wypadku: ofiara jako środek zbliżający człowieka do Boga) przy ofierze z barana, a niema go przy ofierze z wołu? Aby człowiek nie myślał sobie: mogę uczynić rzeczy brzydkie, nieprzyzwoite, a gdy złożę w ofierze wołu o wielkim cielsku' powrócę do łaski i Bóg mnie do siebie zbliży...". Ta sama homilia lepiej jest zachowana w innym Midraszu, mianowicie w Seder Eliahu 7 raba rozdz. 7 (Ed. Friedmann 36). Tam kontynuuje kaznodzieja: „... lecz człowiek wykonywa dobre postępki i poświęca się nauce Zakonu, a gdy przyniesie chudego baranka, dopuszcza go Bóg do łaski i zbliża do siebie". W ostatnich słowach pobrzmiewa motyw skromności (motyw 1)[1]. Ta homilia może nam posłużyć jako wstęp do właści-

---

[1]) Do tego miejsca Heinemann, *Philons Bildung* s. 69, 6. — Sama

wego motywu wdowiego grosza (motyw 4), który znajdziemy w następnym, trzecim rozdziale Midraszu Leviticus rabba.

Także w tym rozdziale mamy przed sobą materiał, który nie zdradza w niczym jakiegoś greckiego charakteru. Przeciwnie, homilia nosi znamię ludowe, judejskie. Świadczy o tym nie tylko ludowy język, lecz także okoliczność, że wszystko ma tu formę już to komentarza do biblii. już to naiwnej opowieści ludowej.

I tak biblijny werset *Ecclesiastes* 4, 6 wykłada się następująco: słowa „lepsza jest jedna garść w pokoju“ odnoszą się do garści mąki ofiarnej biednego — „niż obie ręce pełne... to kadzidła ofiary zbiorowej“. Do tego czytamy następującą powiastkę: „Zdarzyło się raz, że pewna niewiasta przyniosła na ofiarę garść pszennej mąki. Kapłan spoglądał na nią z pogardą... Objawiono tedy kapłanowi we śnie: nie gardź nią. Jest to bowiem tak, jak gdyby ona własny żywot złożyła w ofiarze. — Ludowy charakter ma również opowiadanie o bogaczu, ofiarującym wołu i o biednym, który tylko stał przy tym i skromną wyświadczył usługę. I tu objawiono dumnemu bogaczowi we śnie, że usługa biednego więcej znaczy niż wielki wydatek bogacza. — Wreszcie czytamy w tym samym rozdziale piękną ludową opowieść o bogatym królu Agrippie i o jednym ubogim. Agrippa chciał w jednym dniu ofiarować chiliombę (tysiąc sztuk bydła; ludowa przesada [1]), tymczasem przybył biedny ofiarnik z parą gołąbków. Biedny uzyskał wobec Boga pierwszeństwo przed królem.

W przytoczonych miejscach wraca stale myśl, że biedny ofiarnik oddaje więcej niż ostatni swój grosz, bo nawet własny swój żywot, własną swoją duszę. Midrasz opiera się na odpowiedniej, homiletycznej wykładni Biblii. Słowa

---

myśl, że ofiara musi być poprzedzona moralną poprawą (bez związku z motywem skromności i wdowiego grosza), jest bardzo stara. Znajdujemy ją w jasnej formie u Syracydy (Ecclesiasticus) 38, 9—11. Klasyczne to miejsce brzmi: τέκνον, ἐν ἀῤῥωστήματί σου μὴ παράβλεπε, ἀλλ' εὖξαι κυρίῳ, καὶ αὐτὸς ἰάσεταί σε. ἀπόστησον πλημμέλειαν καὶ εὔθυνον χεῖρας, καὶ ἀπὸ πάσης ἁμαρτίας καθάρισον καρδίαν. δὸς εὐωδίαν καὶ μνημόσυνον σεμιδάλεως, καὶ λίπανον ὡς μὴ ὑπάρχων (XXX, 9—11). Zob. Büchler s. 441 n.

[1]) A może leży na dnie tego opowiadania fakt historyczny, że Marcus Agrippa (nie król żyd.) ofiarował w świątyni jerozolimskiej hekatombę podczas swego pobytu w Judei (Jos. *Ant.* XVI 14)? Por. także tamże XV 422 (o Herodesie) i Philon, *Leg. ad Gaium* 356.

„Dusza (= osoba), która składa ofiarę" (Lev. 2, 1) w związku z mączną ofiarą biednego (*minchath ānī*)[1]) zostają tak wyinterpretowane, że wyraz *nefesz* (נפש dusza) bierze się nie jako podmiot, lecz jako przedmiot zdania; a więc nie „dusza, która składa ofiarę", lecz dusza, która się składa w ofierze". Wyraźniej brzmi to w Midraszu Tanchuma do tego miejsca biblijnego. „Przy innych ofiarach nie ma mowy o duszy, tylko przy bezkrwawej ofierze biednego. Bóg powiada: ja biednemu policzam tę ofiarę, jak gdyby własną ofiarował duszę" (Tanch. Wajikra 5). To samo znaleźliśmy już w opowiadaniu o biednej niewieście i kapłanie. Znamienna ta interpretacja cytowanego wersetu biblijnego przechodzi następnie do Ojców Kościoła[2]).

Jeżeli teraz zestawimy tę interpretację i wypływającą stąd myśl o samoofierze biednego z zakończeniem ewangelicznego opowiadania o wdowim groszu, stanie się jasnym, że w Ewangelii taki sam jest, a niewątpliwie był, sens, jaki mamy w talmudycznej homilii; mianowicie, że biedny ofiarnik oddaje cały swój żywot (ὅλον τὸν βίον), całą duszę[3]). Tak więc Ewangelia i Midrasz wykazują zgodność w najistotniejszym punkcie pojęcia wdowiego grosza, tj. w motywie samoofiary biednego ofiarnika.

Wobec tej zgodności wątpić nie można, że nie antyczna literatura, lecz ludowe homiletyczne dobro galilejskie natchnęło ewangelistów do takiego ujęcia istoty ofiary. Zaiste rybakom

---

1) Nieznawcom przyda się krótkie streszczenie biblijnego wdowiego grosza czyli „prawa ubogiego w liturgii Starego Testamentu" słowami kardynała Faulhabera, *Judentum, Christentum, Germanentum* (München 1933, 59 n.): „Waren sie zu arm, um das Lammopfer zu bringen, genügte das Taubenopfer (Levit. 12, 6—8) ... Bei ganz Armen begnügte sich das Gesetz mit einer einzigen Taube ... und sogar mit einer Handvoll Mehl... (Levit. 5, 11 f.) ... Das ist der Sinn des Armenrechtes in der alten Liturgie. Znamienna jest dodatkowa uwaga kardynała Faulhabera: „Diese zarte und soziale Rücksicht im altjüdischen Armenrecht ist auch für spätere Zeiten vorbildlich geblieben".

2) Do Origenesa por. Murmelstein, *Jahresber. d. isr.-theol. Seminars*, Wien 1933, s. 155 n.

3) A więc βίος nie znaczy tu 'żywność' (Wujek), ani 'Lebensunterhalt' (Strack- Billerbeck), co dałoby tylko bezbarwną apozycję do poprzedniego πάντα ὅσα εἶχεν. Słowo βίος odpowiada tu hebr. *nefesz*.

galilejskim bliższe były judejskie opowiadania o bogaczu i biednym, o chiliombach króla Agrippy i o ofiarniku gołąbków, aniżeli pobożność Zaleukosa i Theophrasta. Z ludowej baśni prosta prowadziła droga do galilejskich homiletów talmudycznych i do twórców Ewangelii. A jeżeli jednak spotkaliśmy tyle myśli i motywów — oczywista prócz motywu decydującego — wspólnych hellenizmowi, judaizmowi i chrystianizmowi, tłumaczy się to wszechobecnością owych boskich plennych sił' (λόγοι σπερματικοί), drzemiących w łonie całej ludzkości.

HORATIUS I 14. DO OKRĘTU

O navis, referent...

Hej okręcie, więc znowu płyniesz na odmęt mórz?
Silnie trzymaj się portu! Cóż ty zamyślasz, cóż?
Czyż doprawdy nie widzisz,
że twe burty — bez wioseł już?

Czyż nie widzisz, że maszt twój, burzą smagany, pękł?
Czyż nie słyszysz, jak belki głuchy wydają jęk?
Patrz, jak głębia zachłanna
kruszy słabe spojenia wręg! *)

W strzępach wiszą twe żagle! Brak ci i lin i rej!
Jakich bogów zawezwiesz w nowej niedoli złej?
Choć masz deski sosnowe
hen ze sławnych pontyjskich kniej,

lecz daremną ci będzie twego imienia cześć,
próżno świeżą swą farbą pragniesz żeglarza zwieść!
Zadrwi z ciebie wichura,
gdy cię będzie po morzach nieść!

Dawniej brał mnie niepokój, gdy odchodziłeś w dal,
dziś mnie troska ogarnia, w sercu mi cięży żal...
Strzeż się, strzeż się okręcie
Cyklad jasnych, egejskich fal!

Przeł. JÓZEF BIRKENMAJER
Na Atlantyku, 10 IX 37 r.

*) Wręgi czyli żebra (costae) = krzywe belki, utrzymujące w całości kadłub okrętu (carina).

JAN GOTFRYD HERDER

O HORACYM I O KILKU ZBAWICIELACH I KOMENTATORACH HORACEGO

Niniejsza rozprawa Herdera stanowi dalszy ciąg „Listów o czytaniu Horacego" (Przegląd Klas. II 1936, s. 81—98) i wydana została w *Kritische Wälder* II 1769, i ponownie przez I F. Heynego w 1821. Herder zwalcza tu szkolne, a raczej szkolarskie komentowanie autorów: praktyka niewiele się zmieniła, tak że mimo upływu blisko 200 lat rozprawa nie traciła nic na aktualności. Tak np. Jean Hardouin S. J. (1646—1729), autor dzieła *Prolegomena ad censurum scriptorum veterum iuxta autographum* (Londinii 1766 — w nim twierdzi, że teksty autorów klasycznych są dziełem mnichów średniowiecznych na kanwie autentycznych fragmentów) odżył w krytyce interpolacyjnej Holendra Hofmana Peerlkampa (1786—1765) i jego następców (np. O. Ribbeck, K. Lehrs). — Rozprawa zwalcza niedołęstwo najwybitniejszego wówczas obok Chr. Gottl. Heynego (1729—1812, prof. w Getyndze) filologa w Halle, Chrystiana Adolfa Klotz'a (1738—1771), który wydał *Vindiciae Horatianae* (Altona 1764) oraz *De felici audacia Horatii* w *Opuscula varii argumenti* (1766); Herder atakuje pozatem jeszcze jego rzecz *Über den Nutzen und Gebrauch geschnittener Steine* (1768), która popularyzuje dla filologów Lippert'a *Daktyliothek* (1760).

Zasady komentowania autora tu wyłożone spróbował w nowszych czasach przeprowadzić Karol Staedler, *Horaz' sämtliche Gedichte im Sinne J. G. Herders erklärt* (Berlin 1905, Weidmann), który w trzech punktach stara się uzupełnić dotychczasowe komentarze horatiańskie: A. Przeżycia osobiste poety i okoliczności polityczne i społeczne, które wywołały dany utwór, B. streszczenie, z którego wynika, iż utwór jest właściwie tylko allegorezą owych przeżyć i okoliczności, C. forma utworu, tj. metrum, zwrotka, dyspozycja, język, jak najbardziej harmonizującą z treścią. Z tym założeniem łączy się też jego postulat, zresztą w dziele tym przeprowadzony, iż należy rozpatrzyć poezje Horacego w tym porządku chronologicznym, w którym powstały i widzieć w nich przede wszystkim glossy do wydarzeń politycznych epoki i osobistych przeżyć poety. Próba to niewątpliwie bardzo ciekawa, choć ze względu na subiektywny charakter przez krytykę odrzucona.

I

Znamy Hardouina i jego, już to szalone, już to lekkomyślne dowodzenia, że większa część starożytności nie jest żadną starożytnością. Jakkolwiek jednak za jego uczonymi nonsensami kryje się tyle jezuityzmu ile tylko kryć się może — to sądzę, że należało z nim polemizować zawsze sumarycznie, a w poszczególne zarzuty wdawać się wtedy, gdy one przez swą oryginalność i przez pewien fałszywy połysk mogłyby omamić. Wiele z nich podlega jednemu zarzutowi; że nie są

warte uwagi, że nie są warte odpowiedzi. Wiele z nich to strumienie, które się same gubią w piasku, jeżeli się zatka źródło. Wiele upada, jeśli się nie straci z oczu punktu zasadniczego: a na to nie powinien sobie pozwolić nikt, kto przeciw takiemu Hardouinowi chce w odpowiedni sposób wystąpić. Przy żyjącym jeszcze piszącym autorze można uważać za konieczne zapuszczać się w poszczególne nugae, jeżeli mianowicie ma zwolenników, którzy te nugae uznają; ale Hardouina już osądzono. Potomność, tylu godnych ludzi, którzy mówili o jednym niespełna rozumu nieboszczyku wydało już ostateczny wyrok przeciwko niemu: wyrok jest ogólnie przyjęty: stan naszej literatury, jakkolwiek jeszcze tu i ówdzie nowy grzyb, młody Hardouin wyrasta, czyni długie, formalne polemizowanie z nim we wszystkich niedorzecznościach nudnym, niepotrzebnym, wstrętnym. Zdaje mi się, że widzę małą dziewczynkę, która, gdy już posprzątano w pokoju jeszcze ciągle wyciera kurz w kątku i sądzi, że ona to posprzątała pokój.

Nie mogę ukryć, że przy *Vindiciae,* które leżą przede mną, często przyszło mi to na myśl, Jakże małymi powinny były być *Vindiciae Horatii!* Poglądy Hardouina tam zbite, gdzie na to zasługują; droga do tych poglądów odrazu zamknięta: tylko najbardziej zuchwałe zarzuty obnażone (bo najsłabsze, najrozwleklej krytykować, jest stratą czasu i papieru!). Za każdym razem wedrzeć się w środek kwestii bez kołowań: tak powinno się mówić, tak powinno się pisać. Tak niedawno (bo starszych nie chcę cytować) pisał przeciwko Hardouinowi Michaelis (*Einleitung ins Neue Testam.* s. 15); ale jak Michaelis, ale jak przeciw Hardouinowi: z godnością, krótko, zwięźle.

II

Accedit Commentarius in carmina poetae:

Coprawda, mogło już kilka zarzutów Hardouina dać sposobność mścicielowi Horacego, by go objaśniać i chciałbym, aby Klotz nie był pominął żadnej ku temu sposobności. Zarazem jednak chciałbym, aby komentarz był zawsze odosobniony od *Vindiciae:* bo gdy u Klotza jego spory z Hardouinem, jego komentarz do Horacego i jeszcze poniektóre myśli uboczne biegną pospołu jedno za drugim, a cytaty poety są pogrze-

bane wśród tysiąca innych, gdy u Hardouina znajduje sposobność do komentowania, w komentarzu znów sposobność do dygresyj, — co za wikłanina! co za chaos książek.

Poza tym szkoła szermierki nie jest nigdy stosownym miejscem, gdzie należałoby czytać poetę, całą duszą odczuwać go i poprostu w radości serca go komentować; egzegeci św. Pisma dali zbyt smutne przykłady tej prawdy. Tak, mam jeszcze jedną rzecz na sercu, którą przy czytaniu pism Klotza o Horacym niejednokrotnie odczułem. Nikt na świecie nie mówi przy każdej sposobności chętniej o *ingenium amoenum*, o *sensus boni et pulchri*, jak Klotz; i nikt na świecie nie łajał krytyków częściej aż do przesytu *tamquam omnis venustatis expertes*, jak on. Na początku każdego pisemka, w środku i na końcu znajduje zawsze miejsce i sposobność, by swoje *ingenium venustum elegans pulchrum* chwalić, ponad krytyków wszystkich czasów wynosić, narzucać je swemu czasowi jako wyjątek, jako początek nowej epoki, jako założyciela złotego wieku literatury; tymczasem nie widzę tego *ingenium venustum* wszędzie, gdziem chciał je widzieć. P. Klotz, którego nie mam zaszczytu znać osobiście, wydaje mi się płomienną i czułą duszą, która odczuwa żywo wrażenie piękna, i często je imaginacją przetwarza, jeżeli mi jednak pozwoli na małe ale, to sądzę, że te wrażenia jego są zbyt szybkie, zbyt przemijające, aby mogły pozostawić po sobie zasady samoodczute, zasady piękna i wytworzyć pewien, stały smak. Złapał to, co napotkał na pierwszych łowach, lecz rzadko to co odczuł, dorosło do tej stałości, którą się otrzymuje przez własne dojrzałe zastanowienie i przez doświadczanie siebie samego. Co do poszczególnych obrazków, co do powierzchni smaku, jak daleko krytyka tekstu i przemijające uczucie lub pamięć sięga, może jego sąd wystarczyć; ale tam, gdzie uczucie przechodzi w rozum, tam gdzie chodzi o dojrzały, samoistny sąd o całości — krótko, gdzie chodzi o zasady, to znam nielicznych, którzyby mogli być równi sobie niewierni jak on. Jednak chcę bez uprzedzenia przejść do komentarza: jak trudno szukać w tym prochu złota!

Hor. C. I 1. Ubolewam, że Klotz swoim uczonym objaśnieniem nam zupełnie ton, który panuje w całości ody, zatłumaczył, że swoimi straszliwymi cytatami cały piękny nastrój duszy, w którym Horacy śpiewał, zakomentował; i któż

mógłby niebezpieczniej komentować? Baxter[1]) tym razem wyraził szczęśliwie główny nastrój ody w tym tytule: *Horatius fatetur, se cum caeteris mortalibus insanire*. Wylicza mianowicie Maecenasowi całą różnorodność ludzkich zajęć: że każdy ma swoją skłonność, ale że żadnej z nich nie brakuje odrobinki szaleństwa. Ten zbiera proch olympijski, tamtego najwyższym życzeniem jest minąć metę. Tamtego czyni gałąź palmowa szczęśliwym, nakształt bogów olympijskich wielkim jak panowie ziemi. Ten, jeżeli mu zmienny motłoch przyzna dwa lub trzy zaszczyty, tamten, jeżeli to, co się zbiera na polach Libyi, będzie schowane właśnie w jego, a nie w cudzych spichlerzach itd. Krótko, każdy mą swoją zachciankę i ona jest mu bogiem. Czemużbym ja nie miał mieć swojej? Ten może z powodu odyńca długie noce przepędzać pod zimnym niebem, a ja...

Me doctarum hederae praemia frontium
Dis miscent superis: me gelidum nemus, etc.

Gdy każdy na swój sposób roi, czemuż ja nie miałbym roić na mój sposób? Zostawcie mi to szczęście, że kilka gałęzi na moim czole mnie w moim odczuciu równają z bogami. Że ja w chłodnych gajach z satyrami i nymfami przestaję: że mam wszystko, gdy mi Muza udzieli chwili natchnienia i gdy ty mnie, o Maecenasie, uczcisz, zaliczywszy mnie do poetów lirycznych — o wtedy uderzę głową o gwiazdy! Czytelnik z wyczuciem Horacego rozpozna w całości ody ten przeze mnie podany ton. Stwierdził, że charakterystyka ludzkiej skłonności jest w tej odzie nacieniowana lekką śmiesznością. Że jest właściwym celem Horacego każdą z nich przyłapać na pewnej słabości, tylko tak zręcznie przyłapać, jak to jest w ogóle sztuką Horacego, tylko mądrze, tylko z miną pełną szacunku się uśmiechać, zadrwić jakgdyby się mówiło poważnie — tak mówi o innych tak i o sobie.

Teraz proszę sobie przedstawić komiczną scenę, kiedy komentator, który tej całej horatiańskiej maniery nie odczuwa, dochodzi do tego, aby taką piosenkę pełną humoru, pełną cichego zadowolenia i uśmiechu potraktować jako podręcz-

---

[1]) William Baxter (1650—1723), prof. w Londynie, wydał podziwiane dzieło: De analogia sive arte linguae latinae (London 1679) oraz Horatianae eclogae cum scholiis (1701, 1725).

nik, pełen poważnych dyktatorskich przykazań, słucha go z wielką uczonością i co jeszcze nie dość uczenie powiedział, jeszcze z większą uczonością wyraża przez omówienie.

Możliwe, że w wesołym towarzystwie Maecenasa żartowano z poetyckich paroksyzmów Horacego, z jego miłości do natchnienia i do samotności i do ciszy poetyckiej, z jego żądzy sławy — słowem, z jego poetyckiego temperamentu. I oto mści się Horacy, przynosi lubemu Maecenasowi poemacik, który zaczyna zupełnie niewinnie i przyzwoicie: 'coprawda są ludzie, którzy inaczej myślą, ten lubi to, ów tamto szaleństwo, pewne słabostki musi się wybaczyć każdemu miłośnikowi jakiejś rzeczy: czemuś i mnie nie da się wybaczyć odrobinkę mojej głupoty'. Z takim jednak humorem, z tak pół uśmiechniętą powagą, tak niepoważnie i poważnie mówi o każdej skłonności, że właśnie ta minka nadaje ton całemu utworowi. Jakżeby się cieszył wytworny Rzymianin, gdyby przeczytał taki komentarz ciceroński do swej filuternej chwalby własnej (Klotz s. 66): „Si tuum, inquit, docte Maecenas, judicium accesserit, si tibi placuerint carmina mea, tuque me in lyricorum, quos Graecia admirata est, numerum rettuleris, tum mihi beatissimus videbor, tum nihil ad gloriam, ad felicitatem meam addi poterit: quemadmodum simili sensu dicitur: *coelum digito attingere*. Vide de formula Schraderum in observ. ad Musaeum c. 10, p. 203 etc". Gdyby przeczytał taki szacowny komentarz, jakżeby się był uśmiechał — albo raczej, jakby współczuł z nami z racji naszych uczonych komentatorów?

Bo w taki sposób zabiera się odzie jej ducha, żywy urok jej naoczności: jej ton jest przeinaczony, i sens i życie i uczucie i wszystko zgubione. Cóż bardziej nieprzyjemnego jak utwór muzyczny, zagrany w niestosownym tempie: i poema w niestosownym tonie przeczytany! Precz z lirą. Jeżeli Horacy chciał dać poważny, pełny, gruntowny obraz różnorodności ludzkich zajęć, jakże jest on niegruntowny, niepełny, jakże pobieżny, prawie dziecinny? Jeżeli Horacy chciał przedstawić swój dar poetycki i swoje poglądy poetyckie poważnie — nie do wytrzymania, pyszałkowate, dziecinne! Gałąź lauru ma go zrównać z bogami, nymfy i satyry mają być frazesami poetyckimi w jego lirycznym natchnieniu, jeżeli Maecenas zapisze jego imię do swojej książki poetyckiej, to

chce uderzyć głową o gwiazdy! Jakiż głupiec i z całym napuszonym komentarzem jeszcze raz głupiec! Humor całej ody przepadł: stała się nieznośnym ćwiczeniem poetyckim.

Słowem, Horacy ma być tak trzeźwym, tak logicznym, tak pyszałkowatym w odzie, w pierwszej odzie, jak to już nie po raz pierwszy zauważyłem, ale jakim każdy stać się musi, jeżeli się chce humorystyczny utwór poważnie wyśrubować. To znaczy:

Co Cato mówił mądrze, to śmiesznie mówi frant.

Biedny Horacy! Jego pierwsza oda z pewnością nie będzie tworzyła tego πρόσωπον τηλαυγές, którego pragnął Pindaros jako bramy do wszelkiej lirycznej budowli.

Jeszcze słowo o pierwszej odzie, bo któż z Horacego conajmniej pierwszej ody nie pamięta? Klotz (s. 62 n.) odnosi słowo *dimoveas* sześć wierszy w tył, aż do *hunc et illum:* albo odwrotnie *hunc et illum* aż do *dimoveas;* lecz ta łączność wydaje mi się przeciwna budowie zdań horatiańskich w tym wierszu i czyni wzlot choriambów opieszałym. Proszę przypomnieć sobie obraz, w którym Klopstock *(Von Nachahm. der griech. Sylbenmaasse. Messias* Ks. 2), przedstawia ten rodzaj ody choriambicznej: „w pośrodku lotu nagle szybuje, a wtem znów zrywa się do dalszego lotu". Więc proszę lecieć na skrzydłach tej ody; odczuć jak trafnie Horacy spaja części swych periodów z dźwiękiem zgłosek: jak prawie każde słowo i myśl każda doznaje wzmocnienia od miejsca, na którym się znajduje, jak w każdym wierszu początek, średniówka i koniec sens za każdym razem podtrzymują, akcentują, podpierają, podnoszą, jak dostosowaniem wszystkich poszczególnych części mowy, czyni wszystko razem jedną kunsztowną budowlę? Kto to odczuwa, temu budowa liryczna i symetryczne: sunt *quos — hunc — illum* nie pozwoli, ażeby w drugiej części budowli, która się imiesłowem, jako osobna całość znowu zaczęła, szukać jakiegoś *dimoveas,* choćby nawet w locie choriambów *hunc, illum* pomiędzy *iuvat* i *dimoveas* stało bez właściwego ukoronowania. Zawsze na modłę rzymską, poetycznie, choriambicznie: podczas gdy tamto jest w prozie coprawda dobre i zgodne ze składnią, ale niszczy pełnię i płynny lot metrów.

III

Horatius C. I 2. Wszystko, co niepotrzebne i dodatkowe, na bok!

Horacy rozpoczyna opowiadaniem strasznych czasów, okropnych przygotowań do zemsty boskiej, smutnych znaków i jeszcze smutniejszych zdarzeń. Pyta: na kogo złoży Jowisz obowiązek odkupienia narodu? Czy ukaże się Apollon Venus, Mars, czy Mercurius? Nagle urywa i zwraca się do Augusta, ale tak zręcznie, że nawet najbardziej wymagający republikanin zgodziłby się na tę pochwałę, nazwałby ten zwrot pięknym. Szybkie i niespodziewane przejście od bogów do cesarza, od mściwych groźnych bogów do ojca ojczyzny, od bogów, którzy we krwi rzymskiej utopili swą zemstę, do tego, który swój miecz zwrócił przeciw barbarzyńcom — oto krok Muzy lirycznej, oto główna cecha życia horatiańskiego.

A jak pięknie umie obie części pochwalnego kontrastu skrzyżować. Kraj był pełen strasznych zapowiedzi, pełen kary bogów; burza minęła. Któż ujmie się za Rzymianami, aby ich rozgrzeszyć i oczyścić? Apollon? Wszak jest on *augur Apollo.* Venus? Wszak jest ona matką Rzymian. Mars? Jest ich ojcem. Mercurius? Jest posłańcem bogów. Niech jeden z nich przyjdzie do Rzymu, by go oczyścić. Ale któż? Tu ukradkowe spojrzenie na Augusta dobrze robi: oto posłaniec bogów: Mercurius w postaci Augusta. Jako posłaniec bogów tedy pomścił śmierć Caesara:

...patiens vocari
Caesaris ultor.

Jako posłaniec bogów przynosi teraz Rzymowi rozgrzeszenie i pokój. Z tą chwilą znikają znaki cudowne, bogowie i mściciele. ‘Długo, cesarzu, i szczęśliwie pozostań między swoim ludem i odwróć swe ramię (od wrogów twego poprzednika i rodu, a raczej) przeciw wrogom Rzymu barbarzyńcom! To są wojny (inne niż te, któreś prowadził w imieniu bogów mścicieli: *bella non habitura triumphos,* lecz) takie, które mogą przynieść triumfy: wtedy będziesz ojcem swojej ojczyzny’. Jeżeli się nie mylę, to jest to ten ton, który panuje w całej odzie, a subtelność, z jaką zemstę za Caesara przypisuje bogom mściwym, a obecny spokój Rzymu oczyszczonego Caesarowi, jest poprostu wcieleniem rzymskiej gracji.

A teraz niech ktoś przyjdzie i wypisze całymi stronicami mitologiczny *locus communis*.

IV

Jego rozprawa *De felici audacia Horatii* (w *Opusc. var. argum.* s. 114) jest sklecona według przepisów kochanego Batteux[1]: jak przy odzie należy przestrzegać skoku, urwania, dygresji, początku, końca, itd., i jak je sobie wycyrklować tak, jak gdyby Horacy kiedykolwiek według takiej dyspozycji, niby nad zadaniem szkolnym, pracował. Samo w sobie takie rusztowanie, taka topika ody zawsze pożyteczna, jako że wyostrza zmysł spostrzegawczy przy poszczególnych odach. Skoro jednak staje się ona szkieletem i nieodzownym sposobem objaśniania, nie znoszę go. Wiem, że piszę tu przeciwko modzie, bo od pewnego czasu Niemcy nie biorą sobie pod cyrkiel żadnego poematu tak chętnie, jak ody, podobnie jak tylko Francuzi umieją odmierzyć dramat według wszelkich trzech jedności: i to się potem nazywa manierą Horacego. A przecież nie znam maniery, w której Horacego można by bardziej urywkowo i płytko naśladować, jak właśnie w tej.

1. *Abrupta carminum initia.* Tylko w nielicznych odach horatiańskich można zauważyć ten nagły urwany początek i wszędzie, gdzie się znajduje, ma on szczególną przyczynę. Tak często nadużyte: *quo me, Bacche, rapis?* nie jest ogólnym prawem, jest odosobnionym i, śmiem powiedzieć, rzadkim przykładem. Poeta pisze całą odę w prawdziwym upojeniu: pełen Bacchusa, gnany w lasy i jaskinie, sam nie wie, co się z nim dzieje; jego duch unosi się, albo raczej wyrywa się, aby nic małego, nic śmiertelnego nie śpiewać i — opiewa Augusta. Pięknie to przyodziana pochwała, podobnie jak Platon wkłada pochwałę swego Sokratesa w usta pijanego Alkibiadesa. Może więc pijany Flaccus dytyrambizować: zgadza się to z tonem całej ody. Tak rozumiany początek nie jest urwany, gdyż wszystko w odzie jest urwane, rzucone, pijane: ba, cała oda jest urwaną bryłą poetyckiego entuzjazmu. Jeśli teraz przyjdzie prozaiczny klasyfikator i zrobi z tego *locus communis* w następujący sposób (s. 131): „Poeta admi-

---

[1]) Charles B a t t e u x (1713—1780), francuski krytyk literacki, bardzo poczytny i wpływowy, także na literatów polskich.

ratus egregia facta Augusti, atque plenus hac cogitatione, Augustique magnitudine excitatus, a Baccho abripi videtur", to zniknie cała harmonia ody. Jakże to łączy się: przemyśliwać w podziwie nad czynami Augusta i dać się porwać Bacchusowi? Trzeźwe upojenie! Niehoratiański Horacy! Nie, mój Rzymianin nie upaja się prawidłowo, aby opiewać Augusta: opiewa Augusta, bo go Bacchus porywa ku temu; bo czuje się natchnionym. Pochwała cesarza traci wszystko, jeżeli jest wystudiowaną pochwałą: jest ona więc tylko rzuconą w natchnieniu, odczutą myślą i Horacy idzie dalej za Bacchusem, nie myśląc o Auguście.

Każdy niespodziewany początek wydaje się urwanym; gdy jednak ten urwany początek stanie się zbyt widocznym, i przekracza ton całej ody, to nie jest on już pięknością, bo stanie się błędem ody. Nie uderza już przyjemnie, lecz okropnie skrzypi w naszym uchu. Tak czynią często nasi Horatianiści — zaczynają, jak gdyby chcieli swoją odą wędrzeć się w Olymp, a oto — leżą w piasku. *„Zeus kicha, błyskawice!"* zaczął jeden z nich — a ja życzę mu, aby się wykichał dowoli.

Żaden początek więc nie może być rozważany w oderwaniu od całości: żaden urwany początek nie jest sam w sobie oznaką śmiałości, jeżeli nie jest przeprowadzony dalej i do końca. A zupełnie przeprowadzoną urywkowość myśli znajdziemy tylko w niewielu odach Horacego, może tam, gdzie jakiś poemat, oblicze, niespodziane zdarzenie, głos niebieski dają po temu sposobność, a takie ody różnią się w zupełności od reszty.

Pozatem nie czyni Horacy z takich krzyczących początków zasady. Największa część jego nawet wzniosłych pieśni zaczyna się z powolną statecznością: dydaktyczne jego ody są spokojne, a jego ody radosne najczęściej łagodne. Gdzieby był ten urwany początek w odzie: *quis desiderio sit pudor aut modus* etc., nie mogę dojrzeć. Podobnie najwznioślejsze i najśmielsze z pieśni Uza zaczynają się z umiarkowaniem; tylko wtedy początek jest urwany, kiedy ma nas spotkać coś w rodzaju napadu lirycznego, lirycznej iluminacji; i to jest najczęściej krótkie i urywkowe. Urwany hymn Kallimacha jest entuzjazmem, a najlepsze ody Pindara są, jeżeli chodzi o początek, stateczne i umiarkowane. Nie znam reguły, którą

jako *locus comunis* z Horacego wyprowadzona i bez połączenia do najwyższej zasady jego budowy lirycznej podniesiona, byłaby bardziej urywkowa, tzn. połowiczna i bardziej dwuznaczna niż to: „Wydaje urwany okrzyk, nie dobierając wyrazów“.

2. *Longae digressiones.* Nowa to zasada ody horatiańskiej, ale często bardzo nadużywana. Najczęściej ma Horacy przy takiej dygresji coś ważniejszego na myśli, co chciał nadmienić, ale nie dla zasady, tylko z powodu osobliwego charakteru danej ody; często nie jest żadną dygresją to, co my tak nazywamy. Horacy zachęca Thaliarcha do radości: ‘Bądź dobrej myśli i *permitte divis caetera, qui simul stravere ventos*’ etc. Jeżeli trzeba Thaliarcha zachęcić do radości, cóż jest bardziej zrozumiałym, niż to, że jest on niezadowolony i że spotykały go nieszczęścia? A jakże można bardziej poetycznie przedstawić nieszczęście, jak obrazem burzy morskiej? Jakiż obraz bardziej nadaje się do całości tej ody zimowej? Któż z podwójną niejako radością nie cieszy się ogniem na kominku, gdy wiatr bije o szyby, gdy myśli się o burzach morskich, gdy ktoś opowiada o niebezpieczeństwie żeglugi? Gdzież tu najmniejsza dygresja od tematu ody?

Nie jest też dygresją (s. 136), kiedy Horacy w odzie I 2 daje krótki opis czasów Deukaliona: bo w ten sposób można sobie łatwiej przedstawić okropną współczesność rzymską. Tam więc, gdzie nie mógł okazać grozy tych czasów przez przedstawienie ich samych, robi to przez szeroko przeprowadzone porównanie z dawnymi, zamierzchłymi, groźnymi epokami. Odczucie, ton ody wzmacniają się przez to wspomnienie dawnego chaosu; i to ma być dygresją?

I 22. *Ubi lupum, qui ipsi pepercerat, nominat.* Dygresja? Zdarzenie z wilkiem było właśnie pobudką do napisania ody. Tego właśnie dotyczy poetyckie rozważanie Horacego, które stanowi początek i właśnie dlatego powziął poetycką decyzję, która stanowi koniec. To przecie okropność chcieć zrobić w naszych oczach ze środowiska koła punkt styczny tangensu.

Kto zna czasy greckie i znaczenie, jakie miały igrzyska i zwycięzcy greccy dla narodu państwa, rodziny i dla poszczególnych osób, ten będzie uważać każdą odę Pindara za to, za

co ją podaje, za utwór indywidualny' a jakiż temat jest bogatszy, niż pochwała szlachetnego greckiego młodzieńca, bohatera-zwycięzcy, pochwała jego wszystkich zaszczytnych cech! I to pochwała pod każdym względem, za którą Grecy cenili człowieka! Tu pochwała narodowa, tu familijna, tu osobista. Któż może z tym, który najgłówniejszy w czasach Pindara i jego położeniu temat uważa za dziki, nieopanowany wybryk jego wzburzonego umysłu, któż może z tym dyskutować o dygresji? Badać poszczególne przykłady?

III. *Saltus in carmine ab alia re in aliam*. Ton całej ody I 7 znika, jeżeli czyta się parafrazę autora. Jakże to? Horacy chciał Plancusowi udowodnić, że napewno Rhodos, Mitylene, Korynt i cały szereg innych pięknych okolic nie mają tyle uroku, co tiburtyńska willa Plancusa: to chciał mój niedbały Horacy wykazać? Wprost przeciwnie! Pozostawia on każdemu miejscu jego zalety, pozwala każdemu chwalić, co chce. 'Mnie podoba się moja willa, a także ty bądź w swoim Tibur zadowolony. Jakoś to będzie: wszystko złe z czasem przemija'. Nie widzę tu żadnego poetyckiego przeskoku, żadnego wzlotu ody: jest to polityczne przejście, zręczny zwrot dworaka, który stosuje się do swoich czasów — któżby chciał robić z tego *locus comunis* właściwej odom śmiałości.

Dalej nie chcę badać; w ogóle, nie pozwolę sobie Horacego poklasyfikować według takich ogólnych działów, jakkolwiek moda teraz tego żąda. Od kiedyśmy w Niemczech tę kunsztowną formę ody z jej urwanym początkiem, z jej piękną dygresją, z jej kunsztownym przeskokiem, z jej misternym nieporządkiem, i z jej pięknymi przejściami od zwrotki z jej ładnymi przeskokami z linii do linii rzemieślniczo uformowali i odlali, odtąd mało nowości ukazało się w tym rodzaju poezji. Ładna to teoria o wzniosłej śmiałości poety, która w nas zabija własne poczucie dla takiej śmiałości!

V

Drugim manowcem przy czytaniu Horacego jest, jeśli staje się to główną przyprawą lektury, r o b i e n i e p a r a l l e l. Taka robota jest przy pewnym oczytaniu, przy używaniu spisów, antologii, florilegiów i jak jeszcze nazywają się te zbiory, dosyć łatwą. Może ona być pożyteczną dla początkujących lub też przy objaśnianiu ciemnych i niejasnych miejsc;

na ogół jest ona szkodliwa. Żal mi tej piękności, którą uznam za piękną dopiero na podstawie setki porównań. Żal mi urody, która mnie dopiero swym imieniem zachwyca, która mi się tylko wtedy podoba, gdy stoi obok innych. Rzut oka, wewnętrzne szybkie odczucie poetyckiego obrazu musi zachwycić serce. Kto tylko zapomocą porównań, zapomocą parallel doznaje uczuć, temu nie zaszkodzi, jeżeli zgoła ich nie dozna.

Najpiękniejszy obraz autora musi być pięknym przez te słowa, na tym miejscu gdzie go wypowiada ,gdzie się znajduje: kwiat, który jest na swojej grządce najpiękniejszym i najbardziej przyrodzonym. Jeżeli się go wykorzeni, jeżeli się go przesadzi między dziesięć innych gatunków z jego rodziny, ale nie z jego rodzaju, z jego klimatu i ziemi, to rabuje się przez to jego miejsce, jego naturę, jego najcenniejszą krasę. Nie tylko kolory i strój, ale każdy gatunek poezji, każdy odrębny cel dodaje obrazowi życia i ducha: jeżeli wyrwie się go z jego miejsca, z jego połączenia, z miejscowości jego działania, to pozostanie z niego cień. Zawsze było marnowaniem poezji zbieranie z niej antologii i prawie zawsze nadużyciem poety — wyskubywanie z niego poszczególnych piór, aby je obok innych ułożyć. Tu wedle starej klechdy najbrzydsze pióro orle zjada najbielsze pióro łabędzie.

Takie obrazki same w sobie są igraszką, miłą dla oczu. Gdy się jednak je tak uszereguje jeden za drugim, któż zechce je przeczytać? Epicki poeta nadaje swej myśli epicki liryzm, liryzm dramatyczny, dramatycznego pokostu. Każdy czas, każdy język, każdy cel nadaje obrazowi odrębną barwę. Teraz niech je wyskubie erudyta, nawet obdarzony smakiem, i niech je poustawia bez sensu i celu, — prawdziwy z tego łachman żebraka, strój arlekina! Rzadko też ta metoda objaśnia lub jest poetyczna. Mógłbym dać przykłady, jak daleko można nas ‘odkomentować’ z takim smakiem od tonu poety. Nigdy nie odczuje się całego poety, całego poematu, jeżeli się tkwi na poszczególnych miejscach. Na świetle słonecznym ślepnie się, jeżeli się przychodzi z wielką ilością lamp, pochodni, żagwi i świec pod pozorem, że jednak szereg takich illuminacyj bardzo pięknie wygląda.

Tem mniej może geniusz zadowolić się owym pełnym smaku sposobem objaśniania, który nazwę s m a k i e m dla g e n i i. Pochwalam ciche, zaszczytne zasługi Lipperta około

rozszerzenia zamiłowania dla starożytności w Niemczech; ale jakiż kram niepotrzebny znajdziemy u większości specjalistów od gemm! Rzadko uda im się w ten sposób objaśnić ważne miejsce; często jest on zupełnie zbyteczny — częściej chcielibyśmy się go pozbyć, bo oddala nas od poetycznego tonu całości.

Nie trzeba mi udowadniać wszechstronnej pożyteczności rytych kamieni i życzyłbym, aby pożyteczność *Daktylioteki* Lipperta tak ukazała się w niektórych próbach, jak Demokritos udowadniał ruch: poruszam się sam! Ale tego nam p. Klotz niech nie mówi, że przy czytaniu poetów oglądanie gemm daje nam prawdziwie poetyckie wzruszenie. Figurę, postawę, powiedzmy charakter, o ile się objawia cieleśnie — tyle może przedstawić sztuka plastyczna; ale poecie, którego spojrzenie kieruje się zawsze na całość, jak spojrzenie Junony, dla którego każdy poszczególny obraz jest tylko środkiem do wyładowywania energii głównej, który nie tworzy dla oczu ładnych śmiejących figurynek i kukieł, obrazów igraszek (co niestety czynią nasze czasy), ale chce przemawiać do duszy, do imaginacji, do rozumu, do uczuć — jemu porusza ona tylko rąbek jego sukni — a chce się mu narzucić. Czyż mam przy każdym obrazie Homera, Pindara, Horacego śledzić najpierw, jak ten albo tamten artysta starożytny tę figurynkę ukształtował? Co za uciążliwa przeszkoda. Zatrzymuje to poetę w pędzie i rozbija go swym komentarzem na części; albo też ten potężny szybkobiegacz wyrywa się i biegnie do swego celu niewstrzymanie, ale oto amator gemm — leży jak długi na plecach.

Zwłaszcza zanoszę prośbę w imieniu poetyckiego młodzieńca, który po raz pierwszy czyta z płomiennym zapałem swego poetę: żeby mu przecie nie przeszkadzać w poetycznym biegu jego imaginacji zapomocą tych pięknych objaśniań monet i myśli o gemmach, ażeby go nie zatrzymywać co chwila, by zwrócić uwagę na jakiś kamyk, ażeby go ze słodkiego kołyszącego rytmu jego snów nie budzić i nie hamować niewstrzymanego zapału jego duszy. Nie chce mieć Cailusa w ręce, kiedy czytam Homera, a jeszcze mniej życzyłbym był sobie mieć go w ręce, gdy czytałem Homera poraz pierwszy. P. Klotz niech się cieszy na myśl, jak pięknie możnaby czytać Vergilego z pomocą wszystkich objaśnień z rytych kamieni. Ja nie chcę go tak czytać. Czyż

nie nadszedł już czas, aby uczoność, oczytanie i znajomość sztuk plastycznych cenić coprawda, a jednak naznaczyć granice ich użyciu?

Ażebym nie uchodził za barbarzyńcę, ja, który mówię coś takiego, to niech przemówi Quintilianus niemiecki, uczony Gessner[1]) (Praef. in Livium): „Od kiedy uczoność czerpana ze samych źródeł zaczęła ubywać, a rzadszymi stali się ci, którzy każdy rodzaj pisarzy starożytnych sami naśladowali, ale pozostali jeszcze tacy, którzy jednego z nich mogli czytać i zrozumieć, odtąd narodziło się plemię komentatorów, które ze wszystkich miejsc, z pomników i z ksiąg, ściągało wszystko, co mogło służyć do jego objaśnienia: tak, że ci, którym brakło pozostałego zapasu uczoności, którzy sami nie mogli się w to wszystko zaopatrzyć, czego wymagało objaśnienie tekstu, znaleźli pomoc w pracy innych i nie odczuwali szczególnych braków... Po odrodzeniu nauk znaleźli się uczeni, którzy rozwlekłymi i, zgodnie ze smakiem ówczesnym szeroko i głęboko uczonymi, wykładami komentowali starożytnych pisarzy. Z wielką pilnością słuchano wykładów Mancinellego, Pomponiusa, Beroalda, Calderiniego, Ascensiusa i teraz jeszcze zapełniają ich tomy całe biblioteki. Nad inne jest znana pracowitość Mikołaja Perotto, który, aby objaśnić jedną księgę Martialisa, wysypał całe skarbce łacińskiej mowy i uczoności i stworzył *Cornu copiae,* z którego prawie wszystko można zebrać i z którego nawet słowniki niepomiernie się wzbogaciły... Potem dał Salmasius swoje olbrzymie dzieło o Solinusie; że jednak nie znał miary w uczoności ani w dygresjach... itd. Temu nałogowi ulegają często nauczyciele filologii, którzy dla objaśnienia jednej książki używają całego aparatu swej uczoności, i niczego nie pozostawiają niezacytowanym, coby, choć pod pewnym względem, choć by przez kołowanie, mogło tu należeć. Jeżeli im zabraknie środków pomocniczych — ech! to biorą komentarze innych, słowniki i innych takich pocieszycieli i umieją doprowadzić do tego, że ich prace uważa się za wielkie skarbnice. Niechże! *(neque carbones esse dixerim equidem,* mówi Gessner: kto chce

[1]) Johann Matthias Gesner (1691—1761), od r. 1734 prof. w Getyndze, reformator studium filologicznego i twórca seminariów (p. Przegl. Klas. I 1935, z. 1—2), wydał oprócz bardzo licznych innych dzieł cytowane powyżej Livii Historiarum libri qui supersunt cum praefatione, Lipsiae 1735, 3 voll.

niech to powtórzy za nim). Często jednak można sobie takie bogactwo zebrać z mniejszą stratą czasu". Zamiast komentować, cytuję dalej Gessnera: mówi on teraz o rozkawałkowaniu i rozdrabnianiu autora w szkole, ale szkoda jest wszędzie ta sama: „Przypomnijmy sobie teraz bajkę o rozszarpanym przez siostrę Apsyrtosie i przedstawmy ją sobie w ten sposób, że nie rozcina ona brata na członki, lecz na cząsteczki i tu rzuca pół oka (druga połowa leży gdzieś daleko!), tu połowę prawego ucha, tu trzecią część nosa, tu kawałek powieki itd. Jedno zdala od drugiego: jakże to? Czyż ojciec byłby mógł nawet przypuszczać, że to jest jego syn? Czyż nie jest jednak tak samo z dzisiejszą metodą objaśniania klasycznych pisarzy? Objaśnia się każde poszczególne słowo, zdania odrywa się jedno od drugiego, co 4 dni sieka się malutki ustępik w ten sposób na drobne okruchy. Jestże możliwe, by młodzieniec, nawet obdarzony zdolnościami i dobrą pamięcią, te przeładowane objaśnieniami i nabrzmiałe części tak zapamiętał, tak połączył, ażeby powstało z nich ciało — nie chcę powiedzieć piękne ciało, nie! ale w każdym razie jakieś ciało; by zatrzymał to, co czyta i zdał sobie z tego sprawę". Gessner daje przykłady, które właściwie nie należą do mnie, przypominam czytelnikowi o tem, jak jest łatwo pisarza tak stracić z oczu, że wkońcu równie dobrze cytuje się i objaśnia i zna jego, jak kogokolwiek innego. Oddaję głos Gessnerowi: „Stąd też, albo bardzo się mylę, stąd pochodzi między innymi ów *stupor paedagogicus*, który stał się prawie przysłowiowy: że mianowicie widzi się ludzi, którzy znaczną część swego życia spędzają między największymi duchami świata, a jednak nie znaleźli tam nic innego, jak tylko słowa; zamiast stać się im równymi, zamiast uczyć myśleć, argumentować, przemawiać jak oni... Tem mniej można przy takiej powolności czytania nabrać pojęcia o prawdziwej postaci i piękności książki: bo im żywszy jest młodzieniec, tym bardziej będzie go drażniło, że się porusza, a nie idzie naprzód *(se movere quidem, sed non promovere)*, zwłaszcza, że z powodu kołowań musiał wysłuchać jednego miejsca, jednego obrazu, dwa, trzy, cztery razy. Podobnie jak przy takim rozdrobnieniu ginie pojęcie rzeczy, podobnie słabnie albo gaśnie o c h o t a d o c z y t a n i a, która zwłaszcza wtedy utrzymuje się w pełnej sile, gdy śpieszymy się do końca, gdy chcemy znać cały przebieg rzeczy. Ten to powab sprawia, że ludzie, którzy poza tym nie

mają ochoty do czytania takiego *Telemacha, Robinsona Crusoe, Gullivera,* poprostu połykają i nie odkładają ich, zanim nie dojdą do końca. Homer natomiast, Vergilius, Plautus, Terentius, Ovidius, Suetonius, Curtius, pisarze równie przyjemni, budzą odrazę u młodzieży, bo nigdy nie czytają większej z nich całości jednym tchem, aby móc wydać osąd o całym ciele i aby ich niejako odświeżyło niecierpliwe oczekiwanie wyniku... I przez to, tak stateczne, tak mozolne i trwożliwe czytanie nie nauczy się on nigdy rozumieć starożytnych. Nie liczne słowa mają tak pewne i określone znaczenie, że wszędzie znaczą to samo. Od otoczenia, od łączności całego ustępu, od szeregu rzeczy otrzymują one swą wartość; gdzieindziej, w ustach innych osób znaczą one coś innego. Nie sposób dojść do zrozumienia tego, co jakieś słowo nie może znaczyć, ale rzeczywiście znaczy, inaczej, jak przez szerokie oczytanie we wielu książkach".

Gessner mówi dalej o szkole. Chcę tylko dorzucić, że, jeżeli z trudem osiąga się przy takich komentarzach i objaśnieniach zrozumienie słowa i zwyczajnego historycznego sensu, to cóż z pierwszym płomiennym spojrzeniem, które tu decyduje? Cóż z okiem poetyckim, które orlim spojrzeniem ogarnia całość, a potem dopiero części? Cóż ze szlachetnym, nienazwanym zmysłem, który wszelkie obce rupiecie odrzuca i śpieszy, by objąć nagi, pełny obraz ducha autora, kochać go, modlić się do niego? Cóż z...?

Niech młody czytelnik posłucha słodko ględzącego autora o gemmach: „Jeżeli się młodemu człowiekowi, którego natura obdarzyła czułą duszą i tkliwym sercem, pokazuje te kamienie, objaśnia i porównuje je z wierszami homeryckimi, jakichże owoców można oczekiwać po takiej nauce! Opowiadanie samo z siebie przechodzi w działanie. Nie czytamy już historii, lecz widzimy ją, jesteśmy obecni przy scenach, przenosimy się wyobraźnią do Troi, do obozu greckiego i spozieramy nieśmiertelnym bohaterom w twarz. W ten sposób odczuwamy wyrazistość, wzniosłość, piękność starożytnych poetów podwójnie, a tkliwe serce doznaje wrażenia, które zatrzyma na zawsze i które się objawia w najszlachetniejszych skutkach. Od kiedy ujrzałem Neptuna, tak jak go przedstawiła boska sztuka starożytnego złotnika, odtąd vergiliański Neptunus otrzymał w mojej imaginacji życie i duszę. Cztery konie...", o któż zniesie dalej ten ton słodkawy! To wszystko —

powie poetyczny młodzieniec, to wszystko dopiero wtedy, kiedyś ujrzał kamyczek? A więc vergiliański Neptunus nie miał przedtem życia ni duszy? A więc u ciebie homeryckie opowiadanie nie stawało się czynem? Nie widziałeś go sam? Nie byłeś obecny przy zdarzeniach? Nie byłeś w Troi? W obozie greckim? Nie znałeś greckich bohaterów nie tylko z oblicza? Ale z duszy, z duszy? Nie widziałeś, jak mówią, z uczuciem mówią, działają, szaleją — tego wszystkiego nie widziałeś przy czytaniu? Tylko z kamienia doznałeś wrażeń? O tyś nie powinien był czytać Homera. We mnie żyło, gdym czytał.... Lecz pocóż pozwolimy dalej mówić poetycznemu młodzieńcowi? Na kimże wywrą wrażenie obrazy z Homera, jeżeli się je będzie komentowało we wszystkich podstawach, uczuciach, mowach i czynach zapomocą poszczególnych, uzyskanych przez odbitkę, obrazków? I co się stanie wtedy z całą poetycką siłą Homera?

VI

Jeszcze raz powtarzam: przy komentowaniu poety należy bardzo chwalić sobie używanie, jak wszelkiej, tak i znajomości sztuki plastycznej tam, gdzie przychodzi ona na czas: ale że Iliada raczej w kamieniach niż we wierszach nadaje się do wywołania poetyckiego wrażenia, lub do wyszkolenia poety, albo że jej dorównuje w stworzeniu iluzji poetyckiej, tego mi nikt nie wmówi. Sztuka daje spojrzenie na sztukę; ale ono nie jest identyczne z rozwijającą się w czasie energią poety; nie da się nawet porównać.

Piszę o Horacym: kto chce, niech posłucha mojej gawędy o należytej metodzie objaśniania tego poety. Przede wszystkim jasnym jest, że żaden z moich horatianistów nie będzie się uczył z Horacego łaciny albo starożytności rzymskich. Raczej wyprzedzam każdego, raczej zapoznam go niepostrzeżenie ze światem, w który go chcę zaprowadzić; niepostrzeżenie podsunę mu całą sytuację, ukażę mu zdala ścieżkę myśli i obrazów, na której odnajdziemy poetę. Zaczynam i, bez zwracania uwagi na poszczególne piękności, piękne wyrażenia, wyszukane zdania, odwalam jego odę; lecę z nim albo płynę w dół tej rzeki jego śpiewu. Niedobrze byłoby, gdyby mię mój słuchacz hamował, niedobrze, gdyby zwracał uwagę na drobiazgi; bo wtedy zamącone byłoby złudzenie, w które ma mnie wprawić śpiew poety, a które jest jego

właściwym celem. Jestem oczarowany i jestem u końca: całość ody, wrażenie ogólne, w niewielu, lecz w potężnych rysach, żyje w mojej duszy. Sytuacja ody horatiańskiej stoi mi przed oczyma, i — książka moja jest zamknięta. Nie z papieru, lecz z najgłębszego dna mojej duszy zdobywam te nieliczne potężne wrażenia: dla mnie stała się oda całością uczuciową. To zachowam: nieliczne, rozpływające się kontury obrazów pozostaną w mej duszy; to jest ta energia, której Muza sukcesywnie mi dostarcza.

Znowu otwieram książkę, i teraz mam małe miejsca odpoczynku, ale nie sposobności do kołowań i ceregieli. Śledzę bieg poety i mówię sobie: to był jego punkt widzenia — jakże bogaty, jak wspaniały, jak pociągający! To wszystko wziął poeta pod uwagę. Tak musiał zacząć, a tak skończyć. To i tamto padło mu podczas biegu pod rękę i jak rzeka, z którą się łączą inne rzeki, toczy się jego pieśń coraz wspanialej. Oto sterczy skała: hucząc obrał inną drogę albo wił się kwiecistą doliną: wszędzie jednak widać Rzymianina, Rzymianina swego czasu jako — poetę. Jeśli teraz mówię sobie to wyraźniej, to nie myślę przy tym o ogólnych prawidłach! Ani o Longinie, ani o Batteux, ani o żadnych szufladkach fabryki poetyckiej. Ten Rzymianin, ten poeta, ta sytuacja i ta oda jest teraz dla mnie wszystkiem. Tak daleko posuwa się geniusz poetycki i...

Nie myśli się jeszcze o sposobności, nawet aby — co? Możeby uprawiać krytykę tekstu? Może nad takim Gessnerem z powodu małej omyłki przez długie stronice wzruszać ramionami? Może oczerniać Bentleyów[1]), Baxterów, Sanadonów?[2]) Ale któż o czymś podobnym pomyśli? Nie myśli się jeszcze nawet o — sposobności, ażeby tę odę naśladować i odtworzyć. „To jest wiele!" — powie. Tak to wiele. I doskonale, że o niczym takim nie myśli. Kiedyś niech go jakaś sytuacja pobudzi; niech Apollon go lirą podnieci: a będzie śpiewał po horatiańsku, albo może więcej, niż po horatiańsku; nie będzie jednak przynosił przychylnemu czytelnikowi strzępów purpury odartej z Rzymianina, ani nie będzie w ślad za nim paplał o *proelia virginum*, o *irae faciles*, o *mea virtute me involvo*.

---

[1]) Ryszard Bentley (1662—1742), prof. w Cambridge; jego epokowe wydanie Horatiusa wyszło w Cambridge 1711 i 1713 r.

[2]) Noël Etienne Sanadon S. J. (1676—1733), prof. w Paryżu.

Kto jednak nie jest geniuszem poetyckim, ten może przynajmniej stać się człowiekiem smaku. Tak śpiewał Rzymianin, to jest jego świat. My inaczej — kto stoi wyżej? Tak śpiewał Horacy: to jest jego składnia, jego ulubione tematy, jego najlepsze przejścia, najlepsza kompozycja jego obrazów, dostosowanie ich do tej lub tamtej miary: tę wybiera teraz, tamtę gdziendziej, a w końcu — jakież to wszystko wyszukane i wykwintne! Myśl, zwrot, wyrażenie, słowo. To jest jego maniera, to jest mój luby Horacy! A gdyby mój młodzieniec stał się krytykiem z zawodu, gdybym mu potem dał pełny krytyczny aparat do ręki, i ukazał mu najlepsze fortele krytyczne, to nigdy niech się nie oddali od toru zasadniczego, od wielkiej iluzji horatiańskiej ody. Tłum. A. SANDAUER

G. LEOPARDI, OSTATNI ŚPIEW SAPPHONY *).

Noc jest przeźrocza, promień jest wstydliwy
Uchodzącego miesiąca; ty wpływasz
Nad las zastygły w milczeniu, nad skały,
Srebrny dnia gończe. O słodkie i lube, —
Pókim Erynij nie znała i losu, —
Widzenia ócz mych!. Już się nie uśmiecha
Łagodny obraz uczuciom starganym,
Nam niecodzienna radość pierś roztrąca,
Kiedy przez płynną otchłań się przewala
I przez wylękłe połoniny czarny,
Kurzawą wzdęty orkan, a huczący
Jak morze rydwan Zeusa, rozwścieczone
Nad głową naszą przecina odmęty.
Nam nad wyżyny i przepastne jary
Miło w ulewach płynąć, nas weseli
Popłoch struchlałych stad, lub szalejącej
Rzeki o brzeg zerwany
Szturmy i rżące zwycięstwem bałwany.

Piękny jest płaszcz wasz, o boskie niebiosa,
Pięknáś jest ziemio rośna! Ach, lecz z owej
Nieogarnionej krasy cząstki jednej
Nieszczęsnej Sappho bogowie ni twarda
Dola nie zleli. W pyszne twe królestwo,
Przyrodo, nędzny-m ja przybysz, wzgardzona

*) Leopardi, przedstawiając Sapphonę jako brzydką i przez to nieszczęśliwą, dał w ten sposób wyraz swojemu pesymizmowi, wywołanemu w znacznej części kalectwem (był garbaty).

Jam miłośnica, ku twoim uroczym
Kształtom daremnie serce i źrenice
Wznoszę w błaganiu. Do mnie się nie wdzięczy
Stok ukwiecony, z powietrznianej bramy
Białość zarania, ani pieśń mię wita
Śpiewaków barwnopiórych, ni poszumy
Omszałych buków; w cienistej oprawie
Garbatych wierzbin strumyk nieskalanem
Perli się łonem; jeśli kiedy muśnie
Śliska ma stopa to płynne zwierciadło,
Cofa nurty wzgardliwe
I skroś majoną uchodzi mi niwę...

Jakaż przewina, jakiż błąd niegodny
Skaził mię, jeszcze światu niezrodzoną,
Że gniew mi schmurzył nieba i fortunę?
Czemże zgrzeszyłam dzieciną, niewiedne
Gdy jest złych czynów życie, że ubogie
W młodość, bezkwietne, potem się z wrzeciona
Parki wszechwładnej wysnulo przędziwo
Moje żelazne? Niebaczne wyrazy
Warga twa roni: odmierzone dzieje
Tajemny zsyła sąd. Wszystko tajemne
Prócz naszych cierpień. My, pasierbów plemię,
Na łzy się rodzim, a przyczyna w łonie
Niebian spoczywa. O wiary, nadzieje
Lat najpiękniejszych! Ułudom nasz Rodzic,
Wabnym ułudom wieczne królowanie
Dał pośród ludzi i przez męskie czyny,
Mądrość, czy śpiew wysoki,
Cnota nie zalśni z pod szpetnej powłoki.

Umrzem. Na ziemię spadnie zewłok lichy,
Nago do Disa dusza się uchroni,
A kres gościńca zbawi od ślepego
Losów szafarza. Ty zaś, com ci gwoli
Miłość daremną, długą wierność, próżny
Żar tęsknot niespełnionych w sercu niosła,
Żyj szczęsny, jeśli szczęsnym być na ziemi
Może, kto zrodzon śmiertelnym. Mnie słodkim
Nie spryskał płynem ze skąpego dzbana
Zeus, kiedy pierzchły złudy i marzenia
Dzieciństwa mego. Dni najradośniejsze
Naszego wieku znikają najchyżej,
Wsącza się starość i niemoc i cienie
Mrożącej śmierci. I oto miast śnionych
Wieńców zwycięstwa i urojeń czaru
Tartar się zbliża, myśl hardą władczyni
Pól tanaryjskich bierze
I noc bez końca i głuche wybrzeże.

tłum. J. WIELEŻYŃSKA

JERZY NADOLNY

ARCHITEKTURA ŚWIATYNI HELLEŃSKIEJ

Ἱερὸν ἄξιον τῆς θεᾶς, świątynia godna bogini — tym lapidarnym frazesem wyraził kiedyś pisarz hellenistyczny swój zachwyt nad Parthenonem, owym słynnym przybytkiem Atheny, znajdującym się na wzgórzu Akropoli atheńskiej. W tych najprostszych słowach kapitalnie podkreślone zostało pojęcie ściślejszego związku, który zachodzi między wyobrażeniem ludzkim o istocie bóstwa a obrazem architektonicznym świątyni, gdzie ta istota mieszka na ziemi. W pojęciu Hellenów bogowie olympijscy objawiali się oczom człowieka we wszystkim, co piękne i dobre, a zatem świątynie — mieszkania ziemskie tych bogów w obrębie środowisk ludzkich musiały formami wzbudzać uczucia głębokiej sympatii oraz dostarczać oku wrażeń podniosłych, które by mogły wywołać i potęgować kontemplację zogniskowaną w obserwacji budynku.

Architekci najciekawszych okresów, znamionujących stopnie rozwoju architektury, zwłaszcza ludzie Odrodzenia, realizowali na każdym kroku ten ważny postulat sztuki budowniczej, streszczający się w pięknej tendencji do nadania świątyni szlachetnego wyglądu, aby według słów wspomnianego pisarza była godna Boga Najwyższego. Jakimiż więc drogami poszedł architekt helleński, chcąc dzieło architektoniczne uczynić miłym bogini czy bogu i nie uronić niczego ze stanu swej duszy, która zapatrzona była w rejony Olympu i stamtąd czerpała pierwsze wrażenia, pierwszy, że tak powiem, materiał przeznaczony na budowę świątyni.

Nieomylna w problemach estetycznych intuicja helleńska prowadziła tym razem architekta do celu najlepszymi drogami, na których przyświecały mu jasno dwie kardynalne i piękne zasady nacechowane pogodną rozwagą w stosunku do zagadnień sztuki. Wiedza geometryczna pozwoliła architektowi rozwiązać problem przestrzeni przy użyciu liczby, a następnie kompozytorskie jego zdolności, poparte wykształceniem muzycznym dały mu możność subtelnego wnikania w najistotniejsze wartości artyzmu. Według doktryny pythagorejskiej, znajdującej się w ówczesnym świecie helleńskim licznych zwolenników, dwie zasady powyższe — geometryczna oraz muzyczna — dopełniały się wzajemnie na podstawowym

gruncie matematyki i organicznie związanych z nią stosunków liczbowych.

Μηδεὶς ἀγεωμέτρητος εἰσίτω — głosił naczelny postulat Akademii platońskiej, a przecież wiemy, że w tej słynnej szkole były rozwiązywane problemy matematyczno-muzyczne, dotyczące budowy wszechświata. Platon — zapalony sympatyk pythagoreizmu ukazuje nam Wielkiego Demiurga — Budowniczego wszechświata właśnie w tej chwili znamiennej, kiedy Ten, ucieleśniając ideę ładu, po grecku zwanego kosmosem, tworzy boską budowlę, zapatrzony we wzór idealny, istniejący odwiecznie w pokładach metafizycznych. Liczba w tym wypadku odegrała rolę wyjątkowo ważną. Ale ta właśnie liczba w matematycznym ściśle tego słowa znaczeniu nie była jeszcze czynnikiem protagonistycznym, rozwiązującym budowę wszechświata. Drugim podstawowym środkiem, uzupełniającym liczbę przy narodzinach kosmosu, była Apollonowa muzyka z jej strukturą teoretyczną, wspartą od czasów Pythagorasa na pojęciu liczby i stosunków liczbowych. Interwały muzyczne, określone stosunkiem matematycznym stanowiły przeto czynnik dominujący, podług którego zrealizowane zostało w ostatecznej redakcji kapitalne dzieło Budowniczego wszechświata. Odległości międzyplanetarne w systemie nowopowstałej budowli odpowiadały harmonijnym, aczkolwiek nieskomplikowanym proporcjom, składały się razem w otchłani kosmosu na kompleks doskonałych linij, geometrycznie i matematycznie wytkniętych, które biegły równo, jak motyw melodii, a przy tym czarowały prostotą i wdziękiem.

Nic więc dziwnego, że przy takiej architekturze kosmosu starożytni puszczali wodze najśmielszej fantazji, wyobrażając sobie wszechświat w postaci instrumentu muzycznego i mówiąc o muzyce światów, rozbrzmiewającej w nadziemskich obszarach. A jak dalece ludzie późniejsi pozostawali pod urokiem architektoniki pythagorejskiej dowodzą tego entuzjastyczne wzmianki Kopernika o myślicielach helleńskich, a zwłaszcza stanowisko astronoma Jana Kepplera, który pod wpływem wzlotów poetyckich szkoły pythagorejskiej, tworzy śliczne dzieła o charakterze raczej mistycznym: Mysterium kosmograficzne i Harmonikę świata. Dlatego również w natchnionej improwizacji Mickiewicza w części III *Dziadów* wszechświat cały przybiera w fantazji poety harmoniki, a poszczególne światy systemu planetarnego — harmoniki kręgów.

Oto są pokrótce streszczone najpiękniejsze fazy, przez które przebiegł pythagoreizm lotem meteoru, pozostawiając za sobą smugę świetlną, w myśli ludzkiej nie gasnącą dotychczas. Wspomniano o nim tutaj dlatego, że swego czasu nadał on umysłowości helleńskiej wychowawczy kierunek matematyczno-muzyczny, a twórczą inwencję architekta zapłodnił szlachetną wizją przyszłej świątyni, wizją że tak powiem, matematyczno-muzyczną.

Poszukując teraz na Akropoli atheńskiej ucieleśnionego obrazu ideałów szczytnej epoki Periklesowej odnajdziemy przede wszystkim w architekturze ‘miasta podniebnego’ najistotniejsze akcenty muzyczne, znaczące rytm harmonijny wysokiej kultury doby ówczesnej. Ta architektura bowiem wyrosła tak samo z bogatych pokładów ducha antycznego, jak wszystkie sztuki piękne Hellady a ponad to pełnym akordem dała ona wyraz tym niezgłębionym wartościom, które w sumie nazwać wypada sharmonizowaną kulturą umysłową społeczeństwa Hellenów. W architekturze świątyni artysta wyraził właściwą sobie panoramę głębokich przeżyć duchowych i zamknął w niej, jak w kręgu cudownym, wszystkie swoje uczucia radości, opromieniowując nimi każdy motyw i każdy fragment budowli. Nie zapominajmy, że artysta wznosząc ku niebu świątynię, składał bogom Olympu największą ofiarę: niepokalane piękno i wszechogarniające dobro duszy helleńskiej. Świątynia poczęta w pogodnej atmosferze, nasłonecznionej entuzjazmem i radością życia oraz budowana takimi środkami, jakie podszepnął architektowi nakreślony wyżej pythagoreizm muzyczny, musiała wchłonąć w siebie najpiękniejsze stadia twórczości artysty. Harmonia w znaczeniu zestrojenia wszystkich motywów i fragmentów boskiego przybytku — to faza szczytowa promieniowania piękna i dobra świątyni. Ale skonstatować tutaj możemy, że to piękno i dobro miało w świecie helleńskim, głębszy daleko, niż gdzieindziej, charakter. Na tych dwóch fundamentalnych ideach filozofii platońskiej wyrósł zarówno bogaty Renesans o znamiennych rysach klasycznych, jak również — nie wahajmy się dodać — wszystkie style najciekawszych okresów późniejszych, wykwitłe na gruncie Europy. Budownictwo orientalne ze swym odrębnym zamkniętym w sobie światem przesądów pozostaje w tym wypadku na szarym końcu. Jednak architekci z Hellady

odbywali niewątpliwie podróże do ziemi egipskiej i musieli wówczas obcować z zabytkami sztuki tamtejszej, ale, przeszczepiając na grunt Hellady niejeden motyw, zaobserwowany w kraju piramid, mieli wrodzone w tajnikach psychy odmienne kryteria, czyli inne poglądy na istotę artyzmu i nie poszli na szczęście utartymi ścieżkami kolegów z nad Nilu, a w rezultacie ustalili nowe zasady w pojmowaniu piękna i dobra, genetycznie związane z problemami architektury, która przyszła później.

Opierając się na twierdzeniach powyższych, wyciągniemy wnioski następujące. W zachowanej fragmentarycznie architekturze egipskiej doskonale zarysowywa się moment statyczny siły i trwałości murów, który, nadając tamtemu budownictwu niewątpliwe znamiona monumentalności, wysuwa na pierwszy plan masę i ciężar — czynniki *par excellence* charakteryzujące materię, ale w architekturze bynajmniej nie najważniejsze. Czy wobec tego w tych nadmiernie wybujałych formach świątyni egipskiej, w tym bezprzykładnym i charakterystycznym dla Wschodu stłoczeniu masy kamienia znalazła ukojenie psyche człowiecza, szukająca we wszelkim zjawisku i we wszelkim obrazie kopii własnej istoty? W każdym bądź razie nie psyche helleńska. Pogrążona w szlachetnej kontemplacji nad kształceniem i doskonaleniem ducha ludzkiego, rozkołysana wieczną tęsknotą do eterycznych sfer ideału, odwróciła się ona, rozczarowana architekturą wschodnią, od olbrzymich pylonów napęczniałych kolumn i ogromnych posągów — kolosów królewskich, aby po długiej wędrówce odpocząć w cieniu kolumnady świątyni na Akropoli i w miękkich kształtach Hermesa Praxitelesowego, jak w pieśni, dać wyraz owej tęsknocie, która była zawsze rysem zasadniczym w strukturze jej bogatej jaźni. I na tym właśnie krańcowym etapie jej perygrynacji dokonało się cudowne misterium rzeźbiarsko-architektoniczne: psyche helleńska po raz pierwszy w dziejach architektury dała światu najistotniejszy owoc swego natchnienia: w szlachetnym entuzjazmie poczęte, niezgłębione piękno.

W poważnym skupieniu zbliżamy się teraz do świątyni helleńskiej. Obserwując kompozycję elementów architektonicznych u podstaw budynku zauważymy bez trudności, że boki prostokątnego stylobatu są w przybliżeniu dwa razy dłuższe,

niż wymiary frontów, i że suma kolumn na jednym czy na drugim boku jest w ogóle dwa razy większa od ilości kolumn na stronie fasady. Stosunek liczbowy 1:2 wywoływał w umyśle architekta wrażenie najlepszej proporcji, a był to przecież stosunek, wyrażający w liczbach pythagorejską oktawę, ów najmilej wpadający w ucho interwał, diapasonem zwany w języku helleńskim. Tak to, od samych fundamentów począwszy, fantazja twórcza Hellena — artysty chwyta frazę muzyczną i, transponując ją pięknie na schemat ramowy budynku świątynnego, tworzy z niej podstawę dla całego przybytku, który stroi się teraz w efekty, niewidziane i niesłyszane dotychczas.

Kolumnada jest partią składową świątyni helleńskiej, jak zresztą w budownictwie egipskim, ale z góry zrezygnować możemy z poszukiwania genealogii jej na terenie Wschodu, chociaż nie będziemy kwestionować, że rodowód taki mimo słabych akcentów ma swoje pozytywne i logiczne przesłanki. Pomijając samą celowość kolumnady, mniej uzasadnioną w architekturze Wschodu, zwrócić uwagę należy, że między wschodnią, a helleńską kolumną zachodzi analogiczna różnica, jak między sztuką Egiptu, zasklepioną całkowicie w formalizmie kapłańskim, a pełnym nieograniczonym w fantazji artyzmem Hellady, odrzucającym bezduszny formalizm i szukającym wszędzie przejawów piękna. Tam masa i ciężar materii dają najwymowniejszą ilustrację tego formalizmu, zaś tutaj podobna materia, którą twórczy umysł architekta pozbawił fatalnego dla niej w architekturze ciężaru, rozpływa się w ładnym rysunku harmonijnych linii i roztapia się w atmosferze ogólnej pogody, jak słońcem prześwietlony obłok.

Wykształcenie matematyczno-muzyczne Hellena architekta było dla niego, jak powiedziałem, pierwiastkowym fundamentem w twórczości architektonicznej, a w kolumnadzie świątynnej pozwoliło mu odnaleźć i rozwinąć niestosowane dotąd pierwiastki, które opromieniły teraz architekturę świeżością i wdziękiem. Odrębna zresztą metoda harmonijnego łączenia fragmentów w poszczególnych partiach budowli i doskonała umiejętność ustalania znamion charakterystycznych dla kompleksu świątyni, jeśli chodzi o taki czy inny kierunek architektury helleńskiej — wprowadziło budownictwo świątynne Hellady w obręb pozytywnych wartości, wartości, które nic wspól-

nego nie mają z monotonią i formą skostniałą budownictwa na Wschodzie.

Jakże dźwięcznym echem musi odbić się teraz o naszą estetyczną wrażliwość ten trzon kolumny doryckiej, zrośnięty mocno z posadzką, który jednak nie traci pewnej lekkości i ślicznej linii architektonicznej, pomimo, że próbuje przekonać widza o nadmiernej pracy, wykonywanej przez siebie wśród murów świątyni. Lżejsza natomiast i zwinniejsza kolumna porządku jońskiego spoczęła na okrągłej trójczłonowej bazie i tą swoją przekorną lekkością filuternie wskazuje kontrastową różnicę, jaka zachodzi między nią samą, a obok stojącą krewniaczką dorycką. Tak to przy pierwszym zetknięciu się z kolumnadą helleńską spotykamy na wstępie dwa światy, związane ze sobą wspólną ideą dobra i słyszymy z ich strony dwa głosy, ilustrujące w harmonijnym duecie odmienne nastroje: jeden dorycki, to znaczy męski i drugi joński — kobiecy.

Efektowna tradycja helleńska powiada, że Ionowie wznieśli świątynie Apollona i Artemidy, zbudowawszy kolumny według postaci dorodnego młodzieńca i pięknej niewiasty, którzy posłużyli budowniczym za wdzięczne modele. Architekt honorował tę ładną tradycję i dlatego kolumna zbudowana przez niego na innych przesłankach architektonicznych zamknęła w sobie najgłębszą tajemnicę piękna, której rozwiązanie może sprawić prawdziwą rozkosz każdemu, kto widzi w tym tworze kamiennym nie tylko masę bezduszną, ale pragnie szukać w nim przede wszystkim obrazu ruchu i życia. A kolumna helleńska całą istotą opowiada swe dzieje i przemawia do słuchacza najśpiewniejszym akcentem, jak ładna melodia, zaklęta teraz w żyłach marmuru.

Malejące stopniowe obwody bębnów trzonowych w miarę posuwania się słupa ku górze mówią o wewnętrznym skupieniu organizmu kolumny, która przygotowuje się oto do podjęcia ciężaru i szerzej rozwija średnice dolnych pierścieni, pragnąc uzyskać w ten sposób większą równowagę i pewniejszą pozycję. Ów pęd pionowy kolumny, zahamowany nieoczekiwanie w górnych rejonach przez konstrukcję poziomą, przebiega gwałtownym nurtem w kierunku odwrotnym i rozsadza zlekka objętość trzonu w obwodzie tej partii, która stanowi środek wysokości słupa. Moment statyczny podchwy-

cony tutaj z nadzwyczajną finezją i podkreślony subtelnie z idealnym prawie artyzmem góruje bez wątpienia nad podobnym zabiegiem architektonicznym, pozbawionym jednak wszelkiego efektu w ciężkiej strukturze kolumny egipskiej. Całe następnie nieznaczne pochylenie kolumnady ku centrum świątyni ma głównie na celu oprócz strony praktycznej efekt estetyczny, ponieważ współdziała z okiem w perspektywicznym szeregowaniu linij kierunkowych, które określają zasadę równowagi statycznej i dążą ku górze do wspólnego środka.

Z kompleksem tych efektów architektonicznie wiążą się promienne kanele o brzegach spłaszczonych lub ostrych, stanowiących kapitalne miejsce dla gry światłocienia. To ładne żłobkowanie słupa z jednej strony wysmukla doskonale objętość trzonową kolumny, a z drugiej wskazuje delikatnie kierunek, w którym rozwija się inwencja artysty. Cała przeto świątynia od podstaw zdradza wyraźnie dążenie pionowe i taki niebiański, że tak powiem, charakter podnosi ją ku rejonom nieba. W tym śmiałym locie podniebnym budynku linie poziome są jak gdyby intermezzem przejściowym, które daje widzowi miłe wytchnienie po pierwszych akordach, rozedrganą falą cisnących się z pod batuty artysty. Przejrzysta zatem metoda architekta w operowaniu najprostszymi środkami osiąga rezultaty, wystarczające zupełnie, aby obserwacja świątyni nie zrobiła widzowi zawodu. A jak w utworze muzycznym kompozytor wyodrębnia motyw konstrukcyjny i dokoła niego grupuje barwną mozaikę tonów, tak tutaj architekt na linii prostej rozmieszcza całą partyturę architektoniczną świątyni i poszczególne partie układa na niej według zasad tej boskiej harmonii, którą podziwialiśmy w strukturze kosmosu. Linia pionowa, biegnąca strzelistym promieniem ku sklepieniu niebios, a następnie pozioma, delikatnie aczkolwiek stanowczo hamująca wzloty pionowej oraz ukośna, zajmująca miejsce pośrednie i wznosząca harmonijny umiar między dwie poprzednie — to właśnie w trzech charakterystycznych rodzajach podstawowy motyw konstrukcyjny, na którym architekt i kompozytor w jednej osobie buduje architekturę świątyni.

W strukturze kapitelu - głowicy widać największą troskę artysty, aby przejście od linii pionowej do rozpostartej nad nią poziomej odbyło się w najmilszych dla oka warunkach bez jakichkolwiek załamań i wstrząśnień raptownych. Pretensjonal-

ne kapitele egipskie w postaci kwiatu lotosu, dostosowane zresztą do budowy całej kolumny, zdradzają wprawdzie tę samą tendencję, chociaż gubią się w przesadnej ornamentyce i przedziwnej chęci imponowania kształtami. Kapitel zaś — to prawdziwa korona, zdobiąca kolumnę.

Najprostszą jego postacią będzie w stylu doryckim kwadratowa płyta, stanowiąca abacus, osadzona mocno na płaskiej podstawie wypukłego echinusa, zbliżonego kształtami do skorupy jeżowca, skąd ta partia kapitelu wzięła swą nazwę (ἐχῖνος jeżowiec). W epoce archaicznej echinus wygląda nazbyt spłaszczony, podobny do placka i przesadnie na bokach wydęty, ale już w wieku V przed Chr. przybiera szlachetną formę znanej z geometrii sferycznej bryły stożka ściętego, zwróconego tutaj większą podstawą ku górze, którego wysokość i cała rozpiętość odpowiada harmonijnie wymiarom abacusa-płyty, podtrzymującej partie wyższe budowli. Przekrój więc poziomy tej płyty będzie poprostu kwadratem opisanym na kole większej podstawy stożka ściętego, — będzie właśnie tą pospolitą w planimetrii figurą, którą tak często popisywali się w rachunkach starożytni Pythagorejczycy, używając jej do swoich matematycznych prób i doświadczeń. Jeżeli jesteśmy na Akropoli atheńskiej wystarczy uprzytomnić sobie kolumnadę małej świątyni Atheny-Niki*) lub zwrócić oko ku Erechtheionowi, żeby znaleźć trzeci a również ważny element kapitelu-woluty inaczej ślimacznicami pospolicie zwane, wsunięty między dolny echinus i górny o kształtach karniszu abacus. Tutaj oko, przyzwyczajone już do łagodnej i oddalającej się stopniowo od pionu linii echinusa, płynie spokojnie po miękkich liniach falistych, aby wreszcie na zręcznych wolutach przejść ruchem rytmicznym do linii poziomej, wytkniętej ponad rzędami kolumn. Te woluty stanowią jeszcze w architekturze element dwuwymiarowy, ponieważ wszystkie utrzymane są w jednej płaszczyźnie z wyjątkiem narożnych, które stykając się ze zwojami bocznymi występują razem z nimi na zewnątrz czyli wkraczają w granice wymiaru trzeciego.

*) Na skutek osłabienia ściany zachodniej południowo-zachodniego występu wzgórza Akropoli i przeprowadzenia koniecznej restauracji bastionu, musiano małą świątynię całkowicie rozebrać. Wkrótce jednak po odpowiednim wzmocnieniu bastionu stanie na nowo, na dawnym miejscu.

Taka ‘nieprawidłowość’ występuje znacznie wyraźniej w kapitelu koryncknim. Stylizowane z drobiazgową starannością liście akanthu odginają się tutaj łagodnie od trzonu kolumny, jak płatki kwiatu w stanie kwitnienia, zaś z wnętrza korony, utworzonej przez liście, biegną ku rogom kapitelu cztery duże woluty, wspierające abacus, a na każdej stronie ku środkowi skręcone dwa mniejsze zwoje podtrzymują palmetę, która wyrasta od poziomu wieka. Abacus posiada tutaj charakterystyczną budowę przypominającą partie gzymsowe, a jego boki wgięte do wnętrza głowicy i określone liniami krzywymi mają rogi w miejscach nad wolutami większymi ukośnie obcięte.

To są najgłówniejsze cechy, charakteryzujące kapitel w porządku koryncknim, które wnoszą odmienny nastrój do budowli antycznych. Elementy powyższe naruszają wprawdzie podstawowy kanon dwuwymiarowego obrazu świątyni, ale wzamian wprowadzają świeże wartości, strukturalnie bardzo wyraźne, kontrastami urozmaicając z najlepszym sukcesem architekturę budowli. Ten kapitel koryncki jest w dziejach budownictwa ewenementem nadzwyczaj ciekawym, praecursorem niejako rewolucyjnego baroku, który już w wieku XVI pod wpływem ostatnich dzieł Michała Anioła zarzuca klasyczne i w jednej na ogół płaszczyźnie utrzymane linie Renesansu, a całej budowli nadaje nerwowe tempo, wprowadzając ją w stan niepokoju i szybkiego ruchu.

Nadmierne bogactwo form ornamentacyjnych, wyróżniające budownictwo baroku, obce jest oczywiście świątyniom antycznym, chociaż podobnie obserwować w nich można szlachetny wysiłek architekta - artysty do indywidualizacji w traktowaniu ciekawych efektów architektonicznych i w oględnym stosowaniu momentów dekoracyjnych, których wpływy zresztą, jak twierdzi pobieżny nawet przegląd zabytków z rozmaitych epok, trwają bez przerwy dotychczas. Mowa w tym wypadku o świetnej w wykonaniu północnej stoi należącej do świątyni, zwanej Erechtheionem na wzgórzu Akropoli atheńskiej. Harmonijny korowód sześciu karyatyd pełni w przybudówce świątyni rolę kolumnady, a zatem podtrzymuje górne wiązania czworokątnej hali. Dziewice owe stanęły na cokole w swobodnej i łatwej pozycji, jakgdyby nie miały na sobie żadnego ciężaru, a pełniły tylko radosną misję ofiarną

w obrębie miejsca świętego. Trzy z nich wysunęły prawą, a lewą nogę trzy pozostałe — epizod niepozbawiony ważności, ponieważ nadaje tym postaciom piękne, pomyślane momenty życia i prawdy, a roli, którą im wyznaczono w architekturze budynku — równowagę statyczną. Pionowa draperia chitonów kobiecych jest mistrzowskim tutaj fragmentem rzeźbiarskim, harmonizując doskonale z kanelami kolumn obocznych, należących do zachodniej ściany wzmiankowanej świątyni. Na głowach posągów niewieścich, przystrojonych w piękną fryzurę, kapitele mają odmienną budowę, jak odmienna jest ta cała śpiewna choreia dziewczęca, jedyna w architekturze światowej. Ładne echinusy w kształcie koszyków, ozdobionych wolimi oczyma i misternym splotem perełek, nieskomplikowane abacusy przypominają co prawda dziewczętom o ich roli pod pułapem hali, ale tylko przypominają i nie zmuszają ich do nadmiernej pracy. Partie gzymsu i dachu unoszą się lekko ponad posągami tych niewiast, pozwalając im niejako na większą swobodę ruchów w obrębie wzmiankowanej stoi i nie powodując zbytniego nacisku. Jakże cierpieć musiałyby te panny, gdyby spojrzały przypadkiem na los nieszczęśliwy, jaki zgotowali niejednokrotnie ich siostrom przyrodnim architekci w budowlach współczesnych, gdzie ciężar np. dwóch pięter dławi niewiasty, wywierając na widzu dość przykre wrażenie. Architekt helleński był w takich wypadkach bardziej oględny i unikał przezornie wszelkiej nadwrażliwości, która by mogła zniekształcić panoramę architektoniczną budynku i zagubić czysty obraz świątyni w nienaturalnej symbolice, odbiegającej daleko od piękna i prawdy. Budowniczy ów pamiętał dobrze, że architektura musi wywoływać dreszcze rozkoszy i w tym wypadku powinna być, niby twór organiczny, obdarzona czynnikami życia, a zwłaszcza architektura świątynna, gdzie człowiek pod postacią formy, kutej w kamieniu, wypowiadał najgłębszą serca tęsknotę przed samym Bogiem. Dość przypomnieć sobie tutaj tzw. karyatydy Sargona II i zestawić je z owymi dziewicami Erechtheionu w Athenach, żeby właśnie zrozumieć różnicę między obcą Europejczykowi symboliką wschodnią, a bliską mu z natury ujmującą prostotą architektury helleńskiej.

Tę prostotę o pierwiastkach nieskazitelnie wyraźnych obserwujemy z największą ciekawością w partiach następnych budowli.

Ponad kolumnami rozpościera się oto, proporcjonalnie do długości wysoka, taśma architrawu, epistylionu, zwanego również nadsłupiem lub brusem, z podłużnych bloków marmurowych składana i jednostajnie płaska, jak to bywa w porządku doryckim lub lżejsza trójschodkowa z trzema poziomymi warstwami, jak w porządku jońskim i również jońsko-koryncki m. Ominąwszy wąską listewkę graniastą spojrzenie oka pada na drugą, odpowiednio do pierwszej rozwiniętą wstęgę, nazywaną fryzem, nadbrusiem, średnikiem, zaś przejście to stanowi dla widza epizod tym milszy, że tutaj wchodzi odrazu w bezpośredni kontakt z nastrojową gamą szlachetnych momentów rzeźbiarsko - architektonicznych, z których triglyphy — pryzmatyczne trójwręby, kapitalnie odpowiadają pionowym kanelom kolumny, a międzytriglyphowe metopy, pokryte rzeźbionym rysunkiem, stanowią szereg obrazów, ujętych ładnie w ramy triglyphów i rozmieszczonych z geometryczną symetrią.

Charakter strukturalny architrawu może przypomnieć widzowi, posiadającemu pewną kulturę muzyczną, ładną fermatę, wytrzymaną w tym miejscu przez architekta z wielką dbałością o estetykę linii. Po niej następuje bezpośrednio ciąg dalszy owej symfonii, która odzywa się najczystszym rytmem w kompozycji fryzu. Tutaj architekt ustępuje miejsca rzeźbiarzowi - artyście, który teraz zdobi ten poemat świątynny w śliczne strophy i antistrophy chóralne, układając je odpowiednio na czterech stronach świątyni.

Tam, gdzie nie ma triglyphów, jak w porządku jońskim, lub jońsko - koryncki m, rozciąga się nieprzerwane pasmo płaskorzeźb, ilustrujących tematy mythyczne związane z historią świątyni, jak w przybytku Niki - Atheny, albo zgoła odrębne o treści mythologicznej, jak zresztą na metopach doryckich w Parthenonie atheńskim. Zdobienie ścian płaskorzeźbami — to jeden z prostych aczkolwiek szlachetnych sposobów nawiązania kontaktu z widzami i zbliżenia ich do murów świątyni. Widzowie ci jednak mają do czynienia w tym miejscu z podstawowym rysem harmonii, tkwiącym głęboko w rozbudowie obrazu świątyni.

Kompozycja pozioma architrawu i fryzu rozwija się w miejscu najbardziej ciekawym, a najwrażliwszym dla oka ze względu na wysokość i całą rozpiętość świątyni. To miejsce

nie może być ani za wysoko, ani za nisko. Pamiętając zawsze o matematyczno-muzycznym wykształceniu architekta, skonstatować łatwo możemy, że owo miejsce wybrane zostało najodpowiedniej zgodnie z proporcją 'złotego 'podziału' i że dlatego oko nasze z taką rozkoszą syci się linią pionową, ponieważ widzi nieskalaną harmonię między jej pędem do góry, a łagodnym naciskiem, wykonywanym przez linię poziomą. Owa *proportio divina* wyczuta i genialnie zastosowana w architekturze przejawia się wszędzie w życiu przyrody, a jeżeli architekt bez pomocy liniału i cyrkla umiał intuicyjnie z jej prawa korzystać przy wznoszeniu świątyni, to jasno właśnie dowodzi, jak dusza jego była wrażliwa na wszelkie ruchy rytmiczne, jak cudownie chwytała, niby czuły kamerton, wszelkie odgłosy, idące z krainy piękna i dobra. W marzeniu filozoficznym Platona psyche człowiecza, zanim weszła w kształty doczesne, miała oglądać pierwowzory wszechrzeczy w nadzmysłowym królestwie Prawdy. Psyche architekta reagowała na nie szczególniej aktywnie, a jasnym dowodem tego jest cała architektura świątyni.

Nad fryzem wyskakuje lekko z murów budynku gzyms albo okap czy geison z kompleksem kwadratowych płytek, jak gdyby przybitych od dołu trzema rzędami kołeczków nad każdym triglyphem i każdą metopą odpowiednio do krótkich listewek, zaopatrzonych w podobne do poprzednich kołeczki i umieszczonych w miejscach pod trójwrębami na spodniej stronie listwy graniastej, oddzielającej, jak wiemy, architraw od fryzu. Gzyms ten w porządku doryckim posiada więc najprostszą konstrukcję, bogato profilowany jest w porządku jońskim, a zwłaszcza koryncki, karniszem rynny, uwieńczony u góry, a często podbity kostkami od dołu i zdobny w konsole — stroi się zatem we wszystkie efekty możliwe, mówiące o szlachetnym guście architektonicznym człowieka i pięknym dążeniu artysty do zapewnienia świątyni trwałej opinii.

Pragnąc zrozumieć genezę tych wszystkich 'nadprogramowych' ozdób architektonicznych trzeba zapuścić sondę badawczą w dawniejszą epokę — nazwijmy ją przedmarmurową, kiedy materiałem budulcowym było tylko drzewo. Z tego właśnie okresu konstrukcyj drewnianych pochodzą owe 'naddatki' potrzebne wówczas przy spajaniu belek w poszczególnych częściach budowli i podyktowane względami praktycz-

nymi, jak owe listwy, listewki, kwadratowe płytki, kołeczki i np. trójwarstwowy architraw jońsko-koryncki z trzech desek podłużnych składany, zachodzących jedna na drugą. A poza tym wysubtelniony zmysł piękna kazał Hellenom ubierać wystające części belkowania w najładniejszą formę i stąd również biorą początek takie efekty, jak triglyphy, metopy, kostki, konsole oraz inne szczegóły. Drzewo z czasem zastąpiono marmurem i wtedy wiele 'drobnostek' utraciło swe znaczenie praktyczne, ale został po nich efekt estetyczny i ten ostatecznie zadecydował o ich aktualności w architekturze antycznej.

Geison koronuje od góry prostokątną partię świątyni, jak kapitel kolumnę i dlatego architektura gzymsowa była dla budowniczego, jak to wynika z poprzedniego opisu, przedmiotem szczególniejszej troski i głębokiej refleksji. W tej atmosferze architektury, jak w ogóle w dziedzinie sztuki, oko pracuje dla mózgu, chwytając wszystkie obrazy na gorącym uczynku i w tym zarysie, niby w pierwszej redakcji, przekazuje je ośrodkom mózgowym. Na podstawie tego, co powiedziałem, à propos konstrukcyj drewnianych łatwo domyślać się można, dlaczego architekt pozostawił w geisonie, jak zresztą w innych partiach świątyni, te szczegóły, dekoracyjną raczej, niż praktyczną spełniające rolę i budzące w pamięci tamte dawne czasy, kiedy budowlę stawiano z drzewa. Oko, unikające wszędzie monotonii i nudy, musi mieć estetyczną zabawkę, pragnie czasami igrać beztrosko na płaszczyźnie lżejszych tematów, żeby później zatrzymać się w skoncentrowanym wysiłku na jakimś poważniejszym motywie i z niego wydobyć treściwy materiał, jako istotny pokarm, dla psychy. Te bardzo oględnie stosowane w architekturze wszystkie załamki, subtelne rozetki, palmetki, dekoracyjnie miłe kontury perełek lub wolich oczek są właśnie dla oka miłą przynętą i wywołują bezsprzecznie u widza tę pełną sympatię, która na zawsze go wiąże z architekturą helleńskiej świątyni w najistotniejszych jej partiach składowych.

Poziomo rozwinięta linia gzymsowa stanowi podstawę trójkąta równoramiennego, którego boki, utworzone przez gzymsy i rynny ściekowe, biegną rytmicznie pod kątami ostrymi ku szczytowi budowli, gdzie kąt przy wierzchołku rozwarty zamyka ostatni w ramach frontonu architekturę świątyni. Niby skrzydła orle, rozpostarły się dumnie owe gzymsy trójkąta nad całą prostopadłą budowlą i dlatego Helleni nazywali

pięknie szczytowe trójkąty ‘orłami’ (ἀετοί), honorując w ten sposób starą i świętą tradycję, w której orzeł jest ptakiem boga najwyższego Zeusa. Pole frontonu, tak zwane w jęz. helleńskim τύμπανον (= bęben), jest jeszcze jednym i tym razem ostatnim mocnym akordem w harmonijnie zbudowanej partyturze świątyni. Trudno sobie wyobrazić, żeby pole to w małej świątynce Atheny-Niki posiadało odpowiednie płaskorzeźby: zbyt niewiele było tam miejsca. Ale tympanon Parthenonu mogło dać rzeźbiarzowi-artyście pole do popisu. Dzisiaj nie ma już poza kolekcją zachowanych w muzeach nielicznych fragmentów ani ‘Narodzin Atheny’ na frontonie wschodnim ani na zachodnim ‘Sporu Poseidona z Atheną’, ale w Olympii w tamtejszym muzeum możemy zawsze oglądać oba frontony świątyni Zeusa: wschodni przedstawia przygotowania Pelopsa do walki rydwanowej o rękę Hippodamei, córki Oinomaosa a zachodni ilustruje walkę Lapithów z Kentaurami na weselu Peirithoosa. Takie artystyczne zdobienie frontonów, czy fryzów trwa ciągle przez całe wieki. Przypomnijmy sobie najbardziej pod tym względem charakterystyczne frontony Sainte Madeleine w Paryżu, a zwłaszcza tympanon portalu północnego fasady zachodniej w świątyni Notre-Dame paryskiej, gdzie rzeźbiarz-artysta, opierając się na tradycji chrześcijańskiej, przedstawił sceny z życia Marii-Dziewicy. Artysta helleński miał swoją tradycję zawartą w *Theogonii* Hesioda i *Iliadzie* Homera. Myśl zasadnicza powtarza się często, choć w odmiennych warunkach. I wreszcie kilka drobnych napozór, a nie mniej ciekawych fragmentów architektonicznych, umieszczonych na rogach i nad rozwartymi kątami frontonów świątyni. *Akroteria* — naszczytniki w postaci stylizowanej palmety, liry, gryfa, czy jakiejś figury rzeźbionej, np. Niki skrzydlatej, Gorgony, rozwiązują ładnie wszystkie kąty budowli, a swoją budową pionową odpowiadają doskonale wzlotom niebiańskim świątyni.

Obejmując teraz spojrzeniem całość zewnętrzną budynku, wzniesionego z białego marmuru, musimy wyobraźnią przenieść się w tamte czasy helleńskie, kiedy przed oczyma świata ówczesnego stanął w dostojnej powadze piękny twór architektury antycznej, któremu na imię Parthenon. Dzisiaj kolumny świątyni oraz inne zachowane jej partie pokryła ściemniona patyna — produkt samorzutnych procesów chemicznych, które dokonywały się z biegiem czasu na powierzchni kamienia

pod działaniem wpływów atmosferycznych. Zachodzi tutaj pytanie, czy artysta helleński respektował naturalną białość marmuru i czy nie nastręczała mu ona pewnych trudności, jako motyw, domagający się rozwiązania w sztuce. Żeby uplastycznić sobie wrażenie, w dużym stopniu rażące dla oka, trzeba zobaczyć stadion panathenajskie w Athenach z jego lśniącym wyglądem, podkreślonym jaskrawo przez promienie słońca Hellady. Białość marmuru nie mogłaby zadowolić Hellena - artysty, obdarzonego najczulszą mocą wykrywania Piękna w subtelnej grze świateł i cieni, wykształconego w misternym tonowaniu wszelkiej jaskrawości, w delikatnym niwelowaniu każdego przerostu i wprowadzeniu wszędzie harmonii. Hellenowie — to przede wszystkim ludzie nieba i morza. Lazurowe zazwyczaj niebo helleńskie, gdzie słońce zapala purpurę i złoto na przelotnych obłokach, jasnoniebieską okrywa się barwą w skwarze południa, barwami opali i ametystów gra w porze zachodu, stwarzając śliczną mozaikę pastelowych kolorów, których jasnym obrazem, załamanym w wodach, są seledyn i szafir, a zwłaszcza nieporównany granat zatok i morza. Niebo i woda odsłaniały przed malarzem - artystą helleńskim nieprzerwane pasmo wrażeń estetycznych, tęczowymi barwami, niby haftem cudownym, bogato dziergane. Od zrozumienia piękna kolorów niedaleka droga do zwyczaju malowania świątyni. Wspomnijmy sobie ponad to, że kosmos cały — dzieło tworzenia Boskiego — według poetyckiej opowieści Platona (Pol. X, 14), ma strefy barwione na różne kolory. Ta właśnie polychromia kosmosu była dla człowieka z Hellady mystycznym objawieniem, a koncepcja jej wypłynęła z rozumnego obcowania z bogatą przyrodą, w której naród helleński, reprezentowany przez najlepszych synów, odnalazł po raz pierwszy w dziejach kultury najistotniejsze walory sztuki plastycznej. Nie ma tych kolorów obecnie na murach świątyni. Szukają ich ciekawi w kanelach kolumny, w zagłębieniach triglyphów — wszędzie, gdzie mogły by jeszcze pozostawić po sobie jakiekolwiek ślady, ale, kto ciekawy poznać mistrzowską technikę malarską Hellenów, ten w muzeum na Akropoli atheńskiej może znaleźć jej najlepsze przykłady.

Tak wyglądała w ogólnym zarysie świątynia helleńska. Czy wywoływała ona i potęgowała kontemplację u widza i czy była istotnie godną bogini i boga? Wymowną nam daje odpowiedź *Timaios* Platona. Filozof helleński pisał wspo-

mniany dialog w tym czasie, kiedy długie już lata upłynęły od chwili inauguracji Parthenonu i niejedna procesja Panathenajska przewinęła się przed murami świątyni. Platon pythagorejczyk, mieszkający w Athenach, musiał często spoglądać entuzjastycznymi oczyma na boski przybytek Atheny — on zwłaszcza, który wyczarował piękno harmonii w architekturze kosmosu. Zresztą z nad brzegów Ilissu tak łatwo było poprzez konary platanu dojrzeć szlachetną sylwetkę architektoniczną świątyni na Akropoli. Jakkolwiek więc w *Timaiosie* Wielki Demiurgos - Budowniczy wszechświata, wznosząc boską mocą cudowną budowlę, która nazywa się pięknie w języku Hellenów kosmosem, zapatrzony jest w odwieczną ideę ładu, pierwowzór świątyni, to jednak nietrudno zrozumieć, że właśnie ów Budowniczy powołuje wszechświat do życia i buduje go na takich zasadach, jak gdyby patrzył na piękny i rytmiczny Parthenon. Wszystkie środki matematyczno - muzyczne, używane przez owego Demiurga, przy stwarzaniu duszy — źródła ruchu w kosmosie, i przy budowie całego wszechświata można by zastosować do architektury świątyni Atheny - Dziewicy. Te same harmonijne proporcje, te same interwały, znaczące rytm idealny w niebiańskiej chorei, wyczarowane zostały przez architekta w marmurze i stosowane przez Boga otrzymały przez to najlepszą opinię: są przecież pochodzenia boskiego.

Charakter muzyczny świątyni helleńskiej najlepiej określił jeden z muzyków doby współczesnej, który, zwiedzając pamiątki na Akropoli atheńskiej, trafnie powiedział w chwili refleksji, że architektura jej przypomina mu symfonję Beethovena. Kompozytor ten patrzał na świątynie helleńskie z pietyzmem i głęboką uwagą, jak na dzieło muzyczne o skończonej wartości, suggerując przy tym ciekawą opinię, że w architekturze Hellady dosłuchać się można subtelnych tonów symfonii muzycznej, którą twórca rozwinął pięknie w ramach budowli. Piękna instrumentacja i bogactwo formy muzyki beethovenowskiej odpowiadają najlepiej charakterowi architektonicznemu Akropoli atheńskiej. I dodajmy przy tym, że odpowiadają zarówno całości, jak poszczególnym budowlom. Te pierwiastki znamienne, charakteryzujące ogólnie architekturę helleńską, można znaleźć z łatwością w każdej świątyni, a tam na Akropoli atheńskiej przedstawiają się one bezspornie najlepiej, uwypuklając dobrze wszystkie wartości, które ustalają naszą wiedzę o budownictwie antycznym.

S. LAURENTA SKORSKA C. R.

OVIDIUS, DAIDALOS I IKAROS

Lotnik skrzydlaty władca świata bez granic
Ze śmierci drwi, w twarz się życiu głośno śmieje,
Drogę do nieba skraca, przestrzeń ma za nic,
Smutki mu z czoła pęd zwieje.
Jak równo silnik gra,
Jak śmiało śmigło tnie,
Już ginie pośród chmur najśmielszych orłów niebotyczny ślad!
Nie straszny mrok i mgła,
Nie straszny wiatr, co dmie,
Jesteśmy od Ikara mędrsi o tysiące lat!
Czasem silnika konie
Ogniem się rozpalą,
Przyczajone śmigło przetnie spadochronu śliską nić.
Męczy się mózg i dłonie,
Serca w piersiach walą,
Bośmy młodzi, chcemy zwycięstw, chcemy żyć!

(marsz lotników wedle kos. 1791).

Długie wygnanie i Kreta przeklęta już dawno mu zbrzydły.
Lecz — po swej ziemi kochanej tęsknotą zmożony — mistrz Daidal
Zamknion był morzem. „Niech lądy i wody zawiera przedemną,
Jednak niebiosa rozwarte napewno: ruszymy tamtędy!
Choćby wszystkiem zawładnął, nie władnie powietrzem król Minos!"
Rzecze i ducha kieruje w nieznanej twórczości dziedziny,
Zmienia człowieka istotę. Gdyż kładzie szeregiem pióreczka,
Zrazu zacząwszy najmniejszem, a długie po krótszem następne.
Rzekłbyś, że wzrosły na wzgórku. (Tak czasem z łodyżek trzcinowych,
Każdej coraz to dłużej, urasta fujarka woskowa)
Poczem środkowe mistrz spaja włókienkiem, a z krańca znów woskiem:
Tak ułożone wygina nareszcie łagodnem wygięciem,
Żeby prawdziwe ptaszęta mógł udać. Stał synek Ikaros
Obok, nieświadom, że swojem nieszczęściem własnem się bawi,
Z śmiechem na ustach to chwytał raz po raz pióreczka, któremi
Miotał był błędny wiaterek, — to znów rozmiękczał paluszkiem
Wosk żółtawy, i swoją igraszką wciąż bróździł cudnemu
Dziełu rodzica. Gdy ręka ostatni raz tknęła już pracy
Zgoła skończonej, mistrz własne rozbujał swe ciało na obu
Skrzydłach potężnych i zawisł w powietrzu, wstrząśniętem od wzlotu.
Uczy też syna: „Ikarze! środkową się unoś rubieżą;
Pomnij! bo jeśli zbyt nisko polecisz, to fale obciążą
Lotki twe wodą, a jeśli zbyt wgórę, to żar ci je spali:
Między obojgiem polatuj! I nie patrz — zabraniam! — ku gwiazdom,
Na Bootesa, Helice, na miecz wydobyty Oriona!
Wodzem ci ja: dąż za mną!" I jeszcze moc wskazań do lotu
Daje, a skrzydła niezwykle stosownie do ramion przytwierdza

Łzami spłynęły mu starcze policzki, wśród pracy i przestróg.
Ręce ojcowskie zadrżały. Całuje i tuli swe dziecię.
(Czyli przeczuwa, że raz to ostatni?) Na skrzydłach uniesion
Leci na przedzie, a trwożny o druha, jak ptak, co swe pisklę
Wątłe już wywiódł w powietrze z gniazdeczka na grani wysokiej,
Wzywa, by za nim podążył, sposobów go uczy nieszczęsnych.
Sam swymi skrzydły porusza, ku syna się skrzydłom ogląda.
Kiedy łup chwytający na drżącą wędkę rybitwa,
Albo pasterz oparty na kiju, czy oracz o sochę,
Ujrzał ich, — zdrętwiał! — Uwierzył, żeć bogi to, którzy zdołali
Fale powietrza pruć lotem. I już na lewo Junony
Miła Samos została i Delos i Paros już znikły,
W prawo Lebinthos widniała i miodem płynąca kalumne,
Kiedy chłopaczek radować się zaczął zuchwałym tym lotem,
Wodza porzucił i żądzą ujrzenia niebiosów pokonań,
Wyżej pofrunął i wyżej! Sąsiedni żar słońca upalny,
Topi płomieńmi te woski pachnące, wiązadła pióreczek,
Woski spłynęły. Nagiemi potrząsa ów zbladły ramiony,
Wiosel pozbawion, nie może pochwycić żadnego wietrzyka.
Usta, co ojca imienia rozgłośnie wzywają, — błękitnej
Toni stają się łupem; ich imię też wzięła im owa.
Ojciec zasię nieszczęsny, nie ojciec już, jęknął: „Ikarze!"
Wołał: „Ikarze! gdzieś jest? Synaczku! Ach, kędyż cię szukać?"
Wołał po stokroć „Ikarze!" Wtem piórka zobaczył na falach
Rzucił przekleństwo na sztukę swą boską. W mogile pochował
Ciało. Od miana zmarłego nazwano tę ziemię: Ikaria.

Już nie widzę was... Już was nie słyszę — — —
Tylko we mnie szum rośnie — do skroni,
Świat nademną, jak dzwon się kołysze...
Targa sercem mem... Tłucze i dzwoni!

Nie pamiętam już słów ani twarzy...
Myśli toną w bezkresie podróży — —
Wiem, jak będzie, — cokolwiek się zdarzy,
Gdy mnie eter wśródgwiezdny oburzy:

Oddech — rozkosz bolesna i słodka...
Płynę w wieczność — tam sunąc gondolę,
Gdzie ją światłość, lub cień tylko spotka...
Gwiazdy w górze — i gwiazdy na dole.

...Ciszo gwiezdna — Przez bezmiar twej toni
Płynę — żeglarz samotny — w nieznane — —
— Aż mi wszechbyt swą prawdę odsłoni...
...Aż sam ciszą zaświatów się stanę — —

(Jerzy Brzozowski, *Sen o stratosferze*).

W kolorowej grocie, w blaskach zielonych fal, Poseidon i Amphitrite. Wrócili z dalnych roztoczy. On opowiada o porze już zbliżających się nawałnic, ona przędzie srebrne przędziwo. Cudnie i cicho w całym królestwie Poseidona onej

godziny. I fale i mieszkańcy ich czują, że to godzina świętego milczenia — przycichli w sennym omdleniu, sycą się do nowej walki i życia. Jeno Helios zsypuje snopy światła na tonię, aż ludzkie oczy mrużą się od blasku, — jeno słodkie wiewy Zephyru, Afrika spotkawszy, opowiadają nowiny z dali:

Z. Patrz! w podwórze labyrinthu, patrz!
bo nie wiem, czyli mnie Helios nie poraził?!

A. Cóż to? Eros sposobi się do lotu? Ależ ten drugi — kto?

Z. Zlećmy niżej, zlećmy chyżej!

A. Szumnie wraz, szumnie wraz, zniknie mgła, złuda, czar...

Z. Słyszysz? Ten stary płacze, a chłopiec radosny, jak moje wietrzyki!

A. Widzisz? On mu skrzydła przypina —

Z. To zabawka, to pracownia artysty przecie! Ach, będzie zeń wzorował Erosa lub Adonisa.

A. Lecz czemuż sobie skrzydła też przypiął, — czemu płakał?

Z. Mówią — słuchajmy! —

A. „On chce do ojczyzny, on pragnie ojczyzny, wokoło morza odmęty",

Daidal. Lecz niebo napewno stoi otworem — pójdziem tamtędy!

(Africus i Zephyros wybuchnęli śmiechem, aż od nagłego powiewu sfrunęły rozrzucone piórka, a kurz z podwórza osłonił rzeźby i kolumny).

A. i Z. L u d z i e c h c ą l a t a ć!

Z. On się unosi! on zawisł w powietrzu, w powietrzu! on się waży, jak ptak na skrzydłach!

A. On uczy małego! Zephyrze! drżę! ciemo mi, to czary, to Persephony pieczęć na ich czołach.

Z. Nie — to prawda — i ja drżę — czy uniosą się? O! jeśli się uniosą, to nie przeklęci, lecz błogosławieni — ku słońcu wzlecą! — —

A. i Z. Hej — o hej! O Zeusie patrz! l u d z i e l e c ą — lecą!

Zeus *(spojrzał przepastnymi źrenicami, ściągnął brwi stalowe)* Prometheusa plemię zadrwiło z przeznaczeń! Lecą! Lecą — jak moje mocarne ptaki!

A. i Z. Lećmy w ślad — czy dolecą?

Z. O piękni, o silni, o Zeusie! to twórcy życia nowego!

A. Oni zdobywają niebo!

Z. Cóż ptacy wobec nich? — o! jak się boją — z jakim skwirem się płoszą — — —

A. Ale już wyspy — zlećmy nieco, — co ludzie, co ludzie na to? przecież to dla nich!

Z. O! jak ten rybak osłupiał, ręce ku nim wyciągnął!

A. A ten oracz! powionę za nim, co mówi?

Oracz Ludzie?! Powietrze zdobyli? — To bogowie!

A. Tak — boska to myśl nimi włada!

Z. O! Ikar już wyżej — widzisz, — już ojca daleko zostawił!

A. Jaki radosny, jaki promienny, a przecież i mnie już znużenie ogarnia!

Z. Hej! Gdzięśmy to już! lećmy wyżej za nim! za nim! On nam Heliosa przybliży!

Zeus 'Ἀνάγκη Hermesie leć! chyżo ku Heliosowi! Loto-kradcy śmierć!

(Błyskawica przecięła powietrze i spaliła się aż u brzegów tarczy słonecznej).

Z. O jej! Afriku! Ikaros już przy słońcu! tuż — och, — teraz — co za żar — o tchu! już nie mogę tam patrzeć — zlecę niżej —

A. I ja powionę okrężnie — patrz! tam w dali Daidalos tak cicho, tak spokojnie płynie — — —

Z. Och! bracie — pióra spadły na mnie. O! znowu —

A. Ach, on — spadł —

Z. O tam — prysła toń —

Gabriele D'Annunzio, Altius egit iter.

Cień Ikarowy po śródziemnomorskich
fal ciemnem łonie dotąd się zasnuwa,
łódki najbardziej lśniąca goni bruzdę
i najlotniejszym wichrom w biegu prosta.

Lubi rozkazu grzmiący głos w zawiei,
słyszy rozbitków ustawne wołanie
i ma je w wzgardzie, albowiem milczące
było runięcie jego w wieków dali.

Cień jego-m dostrzegł nisko na zachodzie.
Na czółnie byłem, ja z mojemi dwoma
wiosły. U dzioba siedział mój Despota
i, wpatrzon we mnie, śledził me zabiegi.

Pomiędzy sobą a nim, niespodzianie,
cień nagi wtedy-m obaczył Ikara,
Od morza ledwie odbijało ciało
kolorem, ale oczy miał słoneczne.

Przez pierś młodzieńczą jeszcze skrzyżowane
dwie smugi mu się znaczyły czerwienią:
ongi okowy skrzydeł przez ramiona,
jak dwa bezbronne pasy purpurowe.

„Słuchaj, Despoto, — rzekłem — ten ci dawny
brat jest mój. Jego pragnę wskrzesić próby
w nieznane. Ty zaś słuchaj — niezmożony —
mojej chciwości pędu i przestrzeni".

Przeł. JULIA WIELEŻYŃSKA

PRZEKŁADY

Ovidius, Heroid II. List Phyllidy do Demophoona.

Ta, co gościła cię, Demophoonie, Thraczynka Phyllida
Pisze ze skargą ten list: minął spotkania już czas!
W dzień, kiedy księżyc, zagiąwszy swe rogi, okrągłym się wyda,
Miałeś kotwicę na brzeg rzucić, by stanąć wśród nas.
Cztery już razy się księżyc ukrywał i cztery odrodził,
Nigdzie nie pruje zaś fal thrackich — atheńska Twa łódź.
Jeślibyś, jak zakochani, Ty dni się doliczał i godzin,
Dobrzebyś wiedział, że czas nadszedł, by skargi me snuć.
Z trudem odeszła nadzieja. Niełatwo uwierzyć w obrazę,
Winę niechętnie — o wiedz! — uznać miłości się chce.
Nieraz za Ciebie kłamałam: To burzy straszliwej obrazem
Zwłokę tłumacząc, że w biel żagli Twych Notus tak dmie;
To Theseusa przeklinam, że iść Ci od siebie nie daje
(Chociaż zapewne nie on zwłoki przyczyną tej był);
To znowuż trwożę się myślą, że w Hebra zabrnąwszy rozstaje
Okręt zatonął i wód białych pochłonął Cię wir.
Nieraz o zdrowie Twe — wiedz, wiarołomny — pokornie błagając,
Ołtarz święciłam bóstw, wonny spalając im dym;
Widząc, że wiatr dmie pomyślnie — to morze, to niebo muskając —
Szeptem mówiłam: „Gdy zdrów, płynie z okrętem tu swym!"
Wszystko, co może przeszkodzić w żegludze, jam w siebie wmawiała,
Miłość ma przyczyn tych moc z wszystkich znosiła mi stron!
Nie ma go jednak — i ani bogowie, ni miłość ma cała
Nic nie pomogą, by chciał powrót przyśpieszyć swój on!
Demophoonie, i żagle puściłeś Ty z wiatrem i słowo —
Powrót i wierność Twą — wraz — wiatry uniosły gdzieś w świat...
W czemże ma wina? — Czy w tem, żem w miłości swej zbyt uczuciową?
Cnota to raczej, co dać winna mi Ciebie od lat.
Gdzie Twe przysięgi i cześć? — Płomienne gdzie rąk zapewnienia? —
Ten, co nie schodził z Twych ust, gdzież on, zaklinań Twych bóg? —
Gdzie przyrzeczony mi Hymen — ręczyciel małżeństwa spełnienia,
On, co dowodem mi był trwałych miłości Twych dróg? —
Kląłeś się wtedy na morze, przez fale i wiatr kołysane,
Częstych wędrówek Twych szlak, wiecznie kuszących Cię w dal;
Dziada Tyś imię wymienił (czy tylko prawdziwym to mianem?),
Tego, co muśnięć ma dar, wiatry ciszących wśród fal.
Kląłeś się ty na Wenerę i broń jej tak dla mnie złowrogą:
Dalekosiężny jej łuk, wszechspalający jej żar —;

Kląłeś się i na Junonę, tę małżeństw patronkę tak srogą;
Na światłonośnych Ty bóstw kląłeś mistyczny się czar.
Jeśliby każde z tych bóstw do zemsty obraza wzywała,
Jednejby kary dla win Twoich nie było im dość!
Jamto rozbity Twój okręt — szalona! — naprawić kazała,
Sama wzmocniłam tę łódź, w której porzucił mię gość!
Ja odnowiłam Twe wiosła — byś prędzej odemnie odpłynął:
Gorze mi! — cierpię od ran, które od własnych są strzał.
Dałam pochlebstwom ja wiarę — a szczodrześ je wtedy rozwinął! —;
Przodkom wierzyłam Twym, w ród — imion potężny ten wał —;
Dałam ja wiarę Twym łzom... czyż i one zamiarom Twym służą?
Mająż i one tę moc — zgodnie z rachubą Twą ciec? —
Dałam przysięgom Twym wiarę. I pocóż rękojmi tak dużo?
Drobną ich cząstką Tyś mógł zdobyć mię — trzebaż to rzec? —
Nie, ja nie nad tem boleję, żem Ciebie z radością gościła,
Lecz, że radosny ten krok łask nie stanowił mych szczyt;
Żem w uwieńczenie gościny i łoże me z Tobą dzieliła,
Że cudzoziemca jam pierś piersią mą grzała — to wstyd!
Noc, która tę poprzedziła... och, czemuż nie była ostatnią?
Mogłaby Phillis przez śmierć jeszcze ocalić swą cześć!
Szczęście łudziło mię. Myśl o zasłudze mej była mi matnią;
Jeśli zasługi ma plon wiarę w pomyślność nam nieść.
Podbój nietrudny to — zwieźć łatwowierność naiwnej dziewczyny!
Czystej prostoty mej skarb godny był raczej Twych łask.
Słabej niewiasty miłość wydałeś słowami na drwiny;
Sławie Twej niechże ten krok da ostateczny już blask!
Niechże na rynku ustawią Twój posąg pomiędzy Aigidy;
Ojciec Twój pierwszy wśród nich czynów roztoczy swych treść:
Każdy przeczyta o karze Skyrona, Prokrusta — ohydy,
Jaki Sinisa był zgon, jak się — Minotaur dał zgnieść,
Każdy się dowie o rzezi Kentaurów, o Theb uśmierzeniu,
I — najstraszniejsze! — jak zszedł w mroczny Plutona on świat.
Za to na Twoim to jedno odnajdzie wyryte kamieniu:
„Ten, kto chytrością swą, cześć panny, wierzącej mu, skradł“.
Z czynów ojcowskich — jak widać — ten jeden Cię tylko zachwycił:
Jakto potrafił on raz uwieść Ariadnę i zbiec!
Ją jednak — cieszę się z tego! — godniejszy małżeństwem zaszczycił:
Dzikich tygrysów dziś rząd z dumą popędza wśród miedz.
Ze mną zaś związku nie pragnie ni jeden z niedawno wzgardzonych;
Szemrzą: „Przybysz jej był milszy, niż thracki nasz krąg“.
Słychać pomruki: „Niech teraz odjeżdża do Athen uczonych!
„Nędznej Thrakii zaś rząd, niech do godniejszych da rąk!
Wynik jest sędzią jej czynu!“ — Odmówcie, bogowie, spełnienia
Życzeń ludzi co w głos sądzą z wyników nasz czyn!
Niechby spieniły się fale od wioseł tu Twych uderzenia,
Każdyby miłość mą zwał mądrą i wolną od win.
Nie, bo i jakaż tu mądrość? — Nie ujrzą Cię zamku już mury!
Nigdy nie zmyje już Hebr z członków znużonych Twych znój!

Staje mi wciąż przed oczyma odjazdu obraz ponury:
Widzę okrętów rząd, port rzucających już mój;
Czuję, jak śmiało w objęcia mię bierzesz, do piersi mię tulisz,
Czuję na ustach wciąż długich całusów Twych szał;
Widzę, jak mieszasz Twe łzy z moimi, na los jak nieczuły
Gorżko narzekasz, że wiatr dobry okrętom Twym dał,
Słyszę ostatnie Twe słowa, którymiś rozstanie to skrócił:
„Wróci Demophoon Twój! Czekaj go Phyllis i wierz!“
Czekać na tego, co Ciebie bez myśli powrotu porzucił?
Czekać na żagiel, co wód Twoich nie pomni już, chcesz?
Czekać... A jednak — czekam. O wróć, chociaż późno, mój luby!
Niechby wierności Twej grzech tylko w spóźnieniu tym tkwił!
Poco ja błagam, nieszczęsna? — Toż z inną już łączą Cię śluby!
Eros was złączył, ten sam, który nieszczęściem mi był.
Tak zapomniałeś już o mnie, — że nie pomnisz Phyllidy imienia:
„Co? — Od Phyllidy ten list? — Kto ona? — Z jakichże stron? —“
Ta, Demophoonie, — u której szukałeś w tułaczce wytchnienia,
Ta, — co przyjąwszy Cię w port, dała gościnę i schron;
Ta, której pomoc Tyś wziął, gdy bogata biednemu zechciała
Darów przeróżnych dać moc, pragnąc mu dodać ich dość;
Ta — która wielkie mocarstwo Lykurga Twej władzy poddała,
Nieodpowiednią dla sił słabej kobiety tę włość,
Całą, od śnieżnej Rhodopy, po Haimu cieniste rozłogi,
Wszędzie, gdzie w święty nasz Hebr wód wszystkich zlewa się dar;
Ta — której krasę dziewiczą przy znakach zabrałeś złowrogich,
Ta, której czysty pas ręką zdradziecką Tyś zdarł.
Wyła jej tam Tysiphona, do ślubnej ją wiodąc komnaty,
Ptaka żałosny krzyk z dali usłyszeć się dał;
Druchną jej była Allekto z żmijami na szyi kosmatej;
Ślubnej pochodni blask z żagwi żałobnej się chwiał...
Smutek po dzikich skałach, nadbrzeżnych pustkowiach mię wodzi,
Wszędzie, gdzie chwyta mój wzrok, widok rozległy na brzeg;
Topi się ziemia od słońca, czy w gwiazd zimnym blasku się chłodzi,
Zawsze wyglądam, czy wiatr wód mych nie mąci gdzieś bieg?
Żagiel-li ujrzę w oddali, zwrócony do thrackich wybrzeży,
Serce goreje: Czy z nim szczęścia nie zsyła mi los? —
Wbiegam do morza i walczę z falami, co pierwszych rubieży
Lądu sięgają, gdy w ruch wprawia przypływu je głos;
Biegnę wciąż dalej, — aż wód mię już napór zalewać zaczyna,
Padam, wyzbywszy się sił — chwyta służebny mię dłoń...
Znam ja zatokę, co w ziemię łukiem swym równym się wrzyna,
Cyple spadzistych jej stron w fal zapadają się toń;
Skoczyć stąd w fal takich toń już nieraz mi się dawniej zachciało:
Jeśli oszukasz mię — wiedz! — pewnie uczynię ten krok.
Fale zaniosą do Twoich wybrzeży nieżywe już ciało,
Niepogrzebany mój trup zaraz rozpozna Twój wzrok;
Powiesz — chociażbyś był twardszy od stali, żelaza, krzemienia —:
„Biedna Phyllido, nie tak miałaś Ty w ślady me biec!“

Nieraz pragnienie trucizny, aż w silną udrękę się zmienia,
Nieraz znów pragnę ja pierś przebić, od miecza chcę lec;
Nieraz i szyję, co rąk wiarołomnych pieszczocie wierzyła,
W pętli pieszczotę ja dać chciałam, upieścić ją tak...
Cześci utratę swą krwią zapłacić jam postanowiła;
Wybór mej śmierci — to rzecz drobnej minuty jest wszak.
Żżalą się ludzie poznawszy, że śmierć mię z Twej winy spotkała;
Płyty grobowej treść sławą uwieńczy Twą skroń:
„Zgubił Phyllidę Demophoon — gość, choć go czule kochała;
Śmierci przyczynę dał on, — ona sięgnęła po broń".

Fr. Schiller, Kassandra.

Radość wielka w Troi całej,
Nim wysokie padły mury,
Gromkie hymny się mieszały
Ze złotymi luteń wtóry.
Dość już wojny, szczodrej w troski!
Dość już! pokój! serca w górę!
Bo dziś Priamową córę
Ślubi syn Peleja boski.

Wszyscy, rzesza tuż za rzeszą,
Postrojeni w laury spieszą,
Uroczysty śpiew zawodzą,
Do tymbryjskich bram się schodzą.
Z wrzawą wielką ulicami,
Bakchanalskie ciągną grona,
Dziwna wszystkich radość mami —
Jedna dusza z bólu kona — —

Z dala od uczt, od kielicha,
Zapomniana, opuszczona,
Szła Kassandra smutna, cicha,
W gaj laurowy Apollona
W najgęściejsze mknie zaciemie,
Tam przepaskę z czoła zrywa,
Z gniewem ciska ją na ziemię
I w te słowa się odzywa:

„Wszyscy cieszą się rodacy,
Rodziciele radzi tacy,
W bieli siostra moja luba.
Ja się jedna tylko smucę,
Bo ja widzę, gdzie się zwrócę,
Ciągle widzę, że już zguba
Do tych murów się przybliża,
Że już leci ku nam chyża.

Widzę blask! pochodnia świeci,
Ale nie w Hymena ręku!

Widzę dym! ku niebu leci,
Lecz nie z ofiarnego pęku!
Święcą gody swej królewny,
Ciesząc się, nie słyszą, głusi,
Że już bóg się zbliża gniewny,
Co w nich radość tę zadusi.

Łają mnie wciąż za te jęki,
Albo śmieją się z mej męki;
W niedostępne kędyś głusze
Chronić się przed nimi muszę!
Wesół zmyka, czując trwogę,
Szczęsny ścierpieć mnie nie może;
Ciężkąś mi wyznaczył drogę,
Pythyjczyku, srogi boże!

Po coś mię tu rzucił, po co?
Tu w to miasto wiecznie ślepych,
Zmysły ich zmroczone nocą;
Tam, gdzie nędza, widzą przepych!
Czemuż patrzeć muszę na to,
Co mię dręczy, co mię dusi?
Nie ujdziemy przed zatratą:
Przeznaczone stać się musi.

Po cóż zdzierać mam zasłonę,
Gdzie się grozy tają one?
Kłamstwo tylko życiu sprzyja,
Nie zaś prawda! ta zabija!
Weź mi oczy, weź! czyż zawdy
Patrzeć na to muszę? Giniem —
Jakże strasznie, twojej prawdy
Tym śmiertelnym być naczyniem!

Gdzież ślepoty mojej cienie
I ten zmysł radości pusty?
Nie wiem, co wesołe pienie,
Odkąd twemi jestem usty.
Przyszłość dałeś mi, lecz w zadość
Czas zabrałeś mi obecny,
Życia mi odjąłeś radość —
Weź z powrotem dar twój niecny.

Ni mię stroje, ni mię róże,
Ni zabawa nie rozmarzy,
Odkąd tobie tutaj służę
U posępnych tych ołtarzy.
We łzach młodość ma uchodzi,
Życie — ciągłej poniewierce,
Cios, co w mych rodaków godzi,
W moje najpierw trafia serce.

Widzę wkoło szczęścia tyle,
Wszystko dziwnie się raduje!
Lecz me serce i w tę chwilę
Jad goryczy jeno czuje.
Darmo mi się z wiosną jawi
Ziemia w szacie tak uroczej,
Życiem już się nie zabawi,
Kto raz głębie jego zoczy.

Polyxeno, och, niebogo!
Och, nadzieję żywisz błogą,
Że obejmiesz go w ramiona,
Najlepszego z Greków żona!
Dumą pierś się twoja prości,
Ledwie szczęścia zmieści tyle,
Bogom nawet nie zazdrości,
Tak jej błogo, tak jej mile!

I ja także znam młodziana,
Co go dusza ma wybrała,
I on też miłością pała,
Byłam mu już wyswatana.
Lecz, niestety, duch styksowy
Między nasze staje głowy
I na wieki nas rozdziela,
Nie! nie zaznam już wesela!

Wszystkie larwy swoje blade
Prozerpina ku mnie żenie,
Czy gdzie idę, czy się kładę,
Wszędzie stają przy mnie cienie.
Nawet kiedy zbieram kwiecie,
W każdą za mną schodzą grzędę,
Niemasz dla mnie szczęścia w świecie,
Nigdy śmiać się już nie będę!

Widzę stal mordercy krwawą,
Oczy jego spłomienione,
Ujść nie mogę przed tą zjawą,
Ani w tę, ni w tamtą stronę.
Ha! nadarmo się mozolę,
Czuję, słyszę, gdzie się ruszę,
Widzę straszną swoją dolę:
Na obczyźnie zginąć muszę!“

Jeszcze słowa te jej brzmiały —
Nagle — krzyk się straszny szerzy —
U wrót świątyń, we krwi cały,
Wielki syn Thetidy leży.
Eris z wężów trzęsie sznury,
Bogi wszystkie w niebo zbiegły,
I ogromne czarne chmury
Ciężko nad Ilionem legły.

Fr. Schiller, Gody zwycięzców.

W gruzach gród Priamów legł,
Z Troi zgliszczów jego kupy
A zwycięstwem pjany Grek,
Sute zagarnąwszy łupy,
W krąg zasiada już pokłady
Hellesponckich brzegów wzdłuż,
Do powrotu gotów już,
Do uroczej swej Hellady.
  Brzmijcie więc radosne pieśni!
  Na ojczysty bowiem ląd
  Wraca statków naszych rząd!
  Oby wrócił jak najwcześniej!

W długich rzędach, płacząc, wyjąc,
Z rozpuszczonym włosem, blada,
W piersi się z rozpaczy bijąc,
Siedzi trojskich cór gromada,
I w tę dziką pieśń radości
Miesza gorzkich biadań głos,
W zgubie swych ojczystych włości
Własny opłakując los.
  Bywaj zdrowa, ziemio miła!
  My za obcym panem w ślad
  Idziem w dal, z ojczystych chat:
  Szczęsny, kogo śmierć zmorzyła.

Dym ze stosów już się kurzy,
Kalchas żertwy bogom składa;
Więc Palladzie, co zakłada
Miasta, albo też je burzy;
Neptunowi, co olbrzymie
Fale ciska o skał próg,
I Zeusowi, siewcy trwóg,
Gdy aigidę w gniewie imie.
  Cel dopięty! koniec wojny,
  Koniec długich, ciężkich mąk,
  Wypełniony czasów krąg
  I zwyciężon gród dostojny.

Syn Atreusa, wódz gromady,
Przebiegł okiem swe szeregi,
Co tu razem z nim w te ślady
Nad Skamandra przyszły brzegi,
I ponurej troski mrok
Sćmił królewski jego wzrok,
Bo z nich wszystkich pozostała
Garstka ledwie jeno mała..

Niech więc śpiewa z całą zgrają
Ten, co dzisaj żyw i zdrów,
Do ojczyzny wraca znów
Bo nie wszyscy powracają.

I nie każdy się ucieszy,
Choć do domu wróci już,
Wszak i wśród najbliższych rzeszy
Może ktoś nań ostrzy nóż.
Nieraz już się tak zdarzało —
Z krwawej bitwy wyszedł cało
A przez druha zdradę legł!
Tak Odysseus mądry rzekł.
Szczęsny, komu z dobrej chęci
Wierna żona strzeże wrót,
Bo kobieta zły to ród,
Złą zaś zawsze nowość nęci.

Dumny z odzyskanej żony,
Płonąc Atreid duszą całą,
Stęsknionymi wpół ramiony
Objął jej rozkoszne ciało.
Zły czyn zawsze sam się grzebie,
Chyża zemsta zbrodnię ściga,
Sprawiedliwie bowiem w niebie
Sprawy wszelkie Zeus rozstrzyga.
Złemu kres się znaczy zły —
Prędzej, później zemsta czeka
Kronionowa tego człeka,
Co gościnne prawa lży.

Szczęsny może się w to bawić —
Tych, co światem rządzą sławić —
Rzekł Oileusa dzielny syn —
Karzą ludzi bez ich win,
Bez wyboru kładą dary,
To zbyt skąpo, to bez miary.
Wszak Patroklos, padł szlachetny,
Wraca jednak Thersit szpetny.
Gdyż naoślep Szczęście dzieli
Zło i dobro ze swych miar,
Kto więc życia dostał dar,
Niech się cieszy i weseli!

Tak! najlepszych wojna bierze!
Lecz twa pamięć na wiek wieków,
Bracie, będzie trwać u Greków,
Boś im w bitwie był za wieżę.

Gdy okręty nam gorzały,
Tyś ocalił je, ty chwat!
Lecz nie tyś wziął dar wspaniały,
Chytrzec go przebiegły skradł.
  Pokój tobie, bracie luby,
  Nie pokonał ciebie wróg,
  Aias li Aiasa zmógł —
  Gniew, ach, przywiódł cię do zguby!

W cześć wielkiego Rodziciela
Neoptolem wino lał:
Pośród ziemskich losów wiela
Twój się los najlepszym stał.
Bo ze wszystkich dóbr na ziemi
Sława jest najwyższym wszak;
Gdy się ciało w proch rozplemi,
Żyje po nim imię, znak.
  Bohaterze, sława twa
  W pieśni zawsze słynąć będzie;
  Byt się ziemski wnet wyprzędzie,
  Pamięć zmarłych wiecznie trwa.

Skoro milczą pieśni te
O zgnębionym bohaterze,
Wspomnieć o Hektorze chcę —
Syn Tydeusa głos zabierze
On w obronie swych ołtarzy
Śmierci walcząc zgarnął plon;
Wielka nam się sława darzy,
Lecz piękniejszy jego zgon.
  Kto w obronie swych ołtarzy,
  Krwią swą śmierci spłacił dług,
  Tego imię nawet bóg
  W chwałę wieczną wyposaży.

Nestor teraz powstał siwy,
Co trzy pokolenia znał
I Hekabie nieszczęśliwej
Puchar w liść owity dał:
Pij ten napój, pij z tej czary,
O swym bólu nie myśl już!
Cudne są Bakchosa dary,
Balsam dla rozdartych dusz.
  Pij ten napój, pij z tej czary,
  O swym bólu nie myśl już!
  Balsam dla rozdartych dusz
  To cudowne Bakcha dary.

Wszak i Niobe, co ją bogi
W sposób tak skarały srogi,

Pomógł stłumić owoc z pól,
Choć na chwilę w sercu ból.
Bo dopóki się na wargach
Pieni ten żywota cud,
Zapominasz o swych skargach,
Jakbyś pił z lethejskich wód.
Bo dopóki się na wargach
Pieni ten żywota cud,
Jakbyś pił z lethejskich wód,
Zapominasz o swych skargach.

Wstaje teraz prorokini,
Bóg ją chwyta, zwrok się błyszczy,
Widzi, jak się z dala sini
Dym, co wznosi się ze zgliszczy:
Ziemskie życie marna rzecz!
Jako dymu słup czarniawy,
Nikną wszelkie ziemskie sławy,
Bogi tylko trwają precz!
Troska i na okręt wsiada,
I na konia z jeźdźcem wraz:
Żyjmy zatem, póki czas,
Bo co jutro, to niewiada!

tłum. STANISŁAW KACZOWSKI

August Wilhelm von Schlegel (1767—1846), Heksametr.

Jako się przed żeglarzem na morza otwartej przestrzeni
Wokół widnokrąg roztacza, wzrok nie spotyka zapory,
Iże sklepienie niebieskie gwiazd niezliczonych gromadę
W tchnieniu przeczystym przestworzy odbija w błękitnej toni:
Tak i heksametr duszę ponosi; spokojnem objęciem
Epiki Olymp przyjmuje, obraz potężny, na łono
Fali krążącej, prarodzic rytmów pokoleń wszelakich,
Jak się z Okeana zdroju, dalekobieżnego władyki,
Wody wszelakie na ziemi rodzą, co szemrzą lub szumią.
Jakże często wprzód iść nie chce okręt i z trudem
Wiosła ledwie go pchną, gdy nagle wodne odmęty
Wzburzy wiatr i na fal kłębowisku już statek kołysze:
Tak z powagą spocząć, to znów umie chyżo pomykać
Albo jak śmiało w rozpędzie! heksametr, zawsze jednaki,
Czy to się w bój bohaterskich pień niestrudzenie uzbraja,
Czyli mądrości pełen nauk słuchaczom udziela,
Czyli zalotnych pasterzy sielanki w szept słodki otula.

Cześć ci piastunie Homera! czcigodna wymowo wyroczni!
Pomny chcę ciebie być nadal, z innymi śpiewy pospołu.

Przeł. PAULINA KLARFELDÓWNA

BIBLJOGRAFJA

Birt Theodor, Frauen der Antike, Leipzig 1933, S. X+300, Małe 8⁰.

Książka niewielka i przed kilku już laty wydana, jednak oświetlenie różnych zagadnień ciekawe i sama jej treść żywa i interesująca. Autor zaznacza we wstępie, że chce podać szereg przykładów ze świata kobiecego jasno i wyraziście tam, gdzie nie brak źródeł, względnie w zarysach tam, gdzie źródła zawodzą. Wybór tu niezbyt wielki, gdyż pisarze tak odległych czasów podają prawie wyłącznie tylko portrety mężczyzn; strategów i demagogów w Grecji, senatorów, wodzów, królów i cesarzy w Rzymie. Nie lepiej przedstawia się również sprawa w średniowieczu z jego prałatami, założycielami zakonów i scholastykami. Kobiety greckie ukazują się w starożytności tylko jako jakieś powiewne cienie lub światełka na chmurami pokrytym niebie, albo jak jakiś błysk reflektoru, którego snop światła zabłąka się czasem niedyskretnie do alkowy niewieściej. Przecież sam Perikles powiedział, że „najlepszą kobietą jest ta, o której się nie mówi". Co prawda z Rzymiankami przedstawia się sprawa trochę inaczej i Agrippiny czy Messaliny występują w pełniejszych konturach. Jakkolwiek dla takich historyków jak Tacitus czy nawet Suetonius historia jest dziełem i działalnością mężczyzn, to jednak jako intermezzo w tej historii mężczyzn dają oni nadzwyczaj wyraziste i straszne obrazy cesarzowych rzymskich.

Pisząc o kobietach starożytnych, zwłaszcza Greczynkach, musimy — my ludzie północy — mieć zawsze na uwadze, że to postacie południa, których temperament jest inny od naszego, a ponadto nie zapominać o tem, że Grecy nie tylko sąsiadowali z ludami Wschodu azjatyckiego, lecz co więcej jeszcze — sami przecież żyli w wielkich skupieniach na wybrzeżach Azji Mniejszej w bezpośrednich i jak najżywszych stosunkach ze Wschodem, który ogromny wpływ wywarł. Dzisiejszej kwestii kobiecej emancypacji i walki kobiet o chleb — w starożytności nie znano niemal zupełnie. Starożytność myślała radykalnie i więcej po barbarzyńsku, wyrywała wszystko z korzeniem i według woli ojca o córki ułomne, a więc zbyteczne już od urodzenia nie troszczono się, nieraz je wprost wyrzucano, jak dzieci w Sparcie. Było to, rozumie się, z naszego chrześcijańskiego punktu widzenia barbarzyństwo. Starożytność była w tym względzie mniej sentymentalna. Stąd też wiele dziewcząt dostawało się w ręce handlarzy żywym towarem i zapełniało domy publiczne. A nawet sprzedawano córki wprost właścicielom domów publicznych. Zdarzało się

nieraz, że jakaś biedna a zbyteczna kuzynka musiała wychodzić za mąż czy to — jeżeli w rodzinie — za jakiegoś wuja, czy to za starego kawalera. Było to tak naturalne, że prawie nie słyszymy o jakichś głosach krytycznych, czy też głosach protestu. Nic też nie słyszymy o zabiegach ulżenia niedoli kobiet bez zawodu ze strony starożytnych instytucyj jak państwowych tak też społecznych.

Odróżniamy kobiety, które występują w poezji od kobiet z życia i świata codziennego. Kto patrzy na Greków okiem Schillera lub Goethego, ten widzi tylko jedno piękno, typ piękności, której symbolem jest Helena. Idealny obraz kobiety starożytnej, jeżeli już nie w symbolu Heleny, to w swych Alkestach i Antigonach dali nam Grecy; nawet Stary i Nowy Testament zdaniem autora (12) nie nakreślił tak wyraziście idealnego obrazu kobiety jak Grecy.

Jeżeli chodzi o życie rodzinne, rzeczywiste, jest, nam ono prawie nieznane. Tylko sztuka poetycka daje obrazy z tego życia, lecz ona wyszukuje zawsze jakieś kontrasty. Takie mamy kobiety w marmurze i w sztuce. Zresztą sam świat bogów, chociażby Homera, to nic innego jak tylko Grecy, w żyłach których płynie krew bogów i którzy śmierci nie znają. Grecy umieli patrzeć pobłażliwym okiem na wybryki bogów i wielce cieszyli się z tego, że w bogach, których im Homer przedstawił, widzieli siebie samych.

Słusznie podkreśla autor, że przystępując do charakterystyki greckiej pani domu — gospodyni w najszerszym i powszednim tego słowa znaczeniu, wyczuwa się pewne zakłopotanie (18). Rozumie się, że jak dzisiaj, tak też i niegdyś były tutaj różne postacie i typy. Czy dużo jednak słyszymy dobrych słów o greckiej gospodyni — pani domu? Bardzo mało, prawie nic, gdyż powszechna opinia o niej była jak najgorsza. Najgorzej i najostrzej wyrażają się o niej satyrycy i epigramatycy greccy. Takie określenia jak suka, świnia, małpa itp., były na porządku dziennym. Rzadko kiedy o gospodyni greckiej słyszymy słowa, że jest ona pszczółką. Małżonka jest przede wszystkim panią domu i według praw Solona równą mężowi. Tylko niestety kobieta była zawsze zamknięta w domu, kiedy natomiast mąż żył prawie zawsze poza domem, na ulicy, na rynku, ustawicznie w ruchu. Nic dziwnego, że żona tylko władała w domu, który bez niej uległby był całkowitej zagładzie. Toteż żona ma pełno w domu pracy, a zatem i odpowiedzialności. Ileż trudów i goryczy przenosiła gospodyni domu chociażby np. z utrzymaniem w karbach służby domowej. Wogóle kobieta-gospodyni grecka była panią domu tylko w czterech ścianach, a poza nimi niczym. Cały dom na jej plecach spoczywał. W domu już z naturalnego porządku rzeczy synowie trzymają więcej stronę matki, córki zaś ojca. Z tych więc względów wynika całkiem jasno, że grecka pani domu bardzo wiele zrobiła dla dobra narodu. Ona była niejako tym ogniem Prometheusa, skradzionego bogom, ona wlewała w chłodny dom grecki ciepło i światło, zwłaszcza że stosunkowo dość rzadko kojarzyły się w Grecji małżeństwa z miłości. Małżeństwo greckie było kontraktem a stąd też miłość w tym małżeństwie była czymś wyjątkowym. Wzorem greckiej gospodyni domu może być dla nas Xanthippa, żona Sokratesa;

tak czarno w literaturze przedstawiona. Nie wiem na jakiej podstawie autor twierdzi (30), że „seine (Sokratesa) Xanthippe war schuld; das ist nicht zu verkennen“. Czy dlatego, że dbała ona o dzieci, starała się o dom zapobiegliwie, by było co zjeść i w co się ubrać właśnie wtedy, kiedy jej małżonek Sokrates, w gruncie rzeczy — bądźmy szczerzy — nieroba, zapominał często o domu i włóczył się tylko po mieście brudny i wstrętny, że żonie trzeba było się wstydzić. Xanthippa to nie była jakaś kobieta zjadliwa i upiorna, ale to typ kobiety, prawdziwej gospodyni, może czasem ostrej, której wobec twardej konieczności życiowej dalekimi były mrzonki męża. Rozumie to częściowo autor, jakkolwiek wstydzi się jasno zdanie swoje wypowiedzieć. „Ich (autor) aber unbedingter Bewunderer des Sokrates, kann nur mit einigem Respekt von ihr (Xanthippe) Abschied nehmen“ (34).

Wskutek tak pojętego małżeństwa, nieraz trafiały się tutaj wykroczenia, podobnie jak i dzisiaj. Najgorszym złem była zdrada małżeńska. W Grecji wolno było panu domu zabić mężczyznę, który uwiódł mu żonę, a zaś ustawa karała uwodziciela karą śmierci. Autor podaje taki wypadek z r. 400 prz. Chr. w Athenach, kiedy to Euphiletes zabił Eratosthenesa za uwiedzenie żony swojej, jakkolwiek ten należał do 30-tu tyranów.

Nie zawsze jednak kobieta grecka ograniczała się do pracy wyłącznie tylko w czterech ścianach domu. Nie brak było też kobiet, biorących aktywny udział w życiu politycznym. Często kobieta grecka zagrzewała mężczyzn do walki, albo nawet i sama brała udział w boju. Na tym tle powstają różne legendy, chociażby legenda o Amazonkach. A że kobiety greckie brały bezpośredni udział w polityce, mamy chociażby taki przykład, jak Artemisia, królowa Halikarnasu, ta grecka Semiramida, co występuje na początku V w. prz. Chr. I właśnie Artemisia była tą osobą, która spowodowała ogromny zwrot w tym pojedynku bojowym pomiędzy Europą i Azją. Ona bowiem poradziła Xerxesowi wracać do Azji, by Grecy nie odcięli mu odwrotu. Znamy i inną Artemisię, królowę Kyrenaiki około r. 520 pd. Ch. Albo znowu Elpinika, siostra Kimona.

Osobne stanowisko w historii Athen zajmuje Aspasia, żona Peryklesa. Periklesowi wystarczało to, że Aspasja była wolnomyślna i poglądów demokratycznych, by wkrótce już po zapoznaniu się z nią zrobić ją swoją współpracowniczką, a około r. 450 pd. Chr., nawet się z nią ożenić. W jej ręce oddał Perikles sprawę krzewienia oświaty we wszystkich warstwach społeczeństwa greckiego. Nie chodziło tu, rozumie się, o szkoły, gdyż te były w Grecji prywatne, lecz zadaniem Aspasji było raczej krzewienie oświaty i podniesienie duchowych zainteresowań wśród kobiet. Ona wielce przyczyniła się do wyrobienia wykształcenia się wymowy atheńskiej. Aspasja była bezprzecznie wielkim i wykształconym mistrzem słowa już w swym rodzinnym mieście, Milecie, jakkolwiek sama jako taka nie mogła występować na zgromadzeniach publicznych. Nic też dziwnego, że jako żona Periklesa wywierała silny wpływ na wymowę męża, a znana jego mowa nad grobem poległych w pierwszym roku wojny peloponeskiej, zapewne pod jej wpływem powstała. Lecz wpływ Aspasji w polityce sięgał znacznie dalej. Zorganizowano nawet naukę dla wszyst-

kich tych, którzy pragnęli zostać w przyszłości przywódcami ludu lub poświęcić się służbie państwowej. Sam Sokrates chętnie przysłuchiwał się mowie Aspasji. Perikles oddał również w jej ręce taką sprawę, jak opieka nad młodymi dziewczętami, wyrzuconymi na bruk, które czekał straszny los w domach rozpusty. W ręce zatem Aspasji oddano sprawę handlu żywym towarem. To też grecka tradycja w tym względzie nie oszczędziła Aspasji, wszystkie zaś dziewczęta, uratowane przed domami rozpusty, uważano za jej własność i z tego powodu robiono jej ogromne trudności i przykrości. I to chyba jedyny grzech Aspasji — jakto z sarkazmem autor o starożytnych się wyraża (74) — stawiany jej przez starożytność. Grecy starożytni niesprawiedliwie osądzali Aspasję, jakkolwiek ona wielce przyczyniła się do podniesienia się poziomu duchowego kobiet.

Inny typ kobiety greckiej — to poetka. Uosobieniem jej tutaj jest słynna Sapphona. Jest ona twórczynią poezji czysto egocentrycznej, z bóstw zaś w niej prawie żadne inne nie występują jak tylko Aphrodita, Eros i Muzy.

Inny znowu typ to grecka kobieta — towarzyszka, hetera. Tu zwłaszcza występuje Diotima i Platon. Takich kobiet - towarzyszek było wiele typów — wyłączywszy prostytutki — przeważnie zbyteczne w domu córki, które nie mogły wyjść za mąż. One szukały sobie towarzysza mężczyzny, zwłaszcza bogatego, z którym można byłoby się ważyć na wszystko. Ale na taką ryzykowną drogę życiową mogły się odważać tylko kobiety nadzwyczaj utalentowane i piękne. Przede wszystkim jednak i obraz takiej kobiety w starożytności w Grecji mamy w słynnej Phryne. Ich dziełem było chwytanie mężczyzn, lecz nie w tym celu, aby się w nich zakochać. Wybitna piękność i świetny dowcip — to pchało takie kobiety dalej na nieznaną drogę życia. Takie kobiety wyznawały się dokładnie w literaturze. To są słynne hetery (nią była także i Aspasja) i one wywarły ogromny wprost epokowy wpływ na rozwój sztuki starożytnej. One nie malowały i nie ryły dłutem w kamieniu, ale one wpływały bezapelacyjnie na rozwój sztuki greckiej właśnie dzięki swej egzystencji. One dawały z siebie model. I słusznie autor zauważa, że zwycięstwo nagości w plastyce i malarstwie było wielkim zwycięstwem (120). Tworzenie nagich postaci męskich było od dawna rzeczą powszednią. Teraz zechciano tworzyć nagie ciała kobiece. Grecy zapragnęli widzieć kobietę w jej wiecznej młodości. Motyw zaś wyszedł z kąpieli na wolnym powietrzu. Od teraz idealną kobietą jest kobieta naga, kobieta jako taka, kobieta w sobie — Ewa w raju. Ten prąd opanował później całą starożytność, odrodził się w epoce Renesansu i działa do dzisiaj. A wszystkiemu „winną" była — Phryne.

Wśród kobiet-towarzyszek nie brakło poprzedniczek madame Pompadour i innych. A ponieważ było ich bardzo wiele, to też wpływ ich był niekorzystny. W każdym razie hetery stały się potęgą nawet na dworach królewskich zwłaszcza na Wschodzie, gdzie po śmierci Alexandra Wielkiego na gruzach jego monarchii zasiadło szereg nadzwyczaj zdolnych władców, silnej woli mężów z krwi makedońskiej, twórców królestw Syrii, Egiptu, Pergamonu itd. Lecz z biegiem czasu krew tych

władców zdegenerowała się w ich potomkach przez rozluźnienie obyczajów. Przyczyną były „towarzyszki“ — hetery, które za młodu sięgały nieraz po koronę królewską, na starość zaś szły z kijem żebraczym zarabiać na kawałek chleba lub umierały pod płotem z głodu.

Jakkolwiek królowie Wschodu po Alexandrze Wielkim ustawicznie ze sobą walczyli i nie tworzyli wspólnego frontu, to mimo wszystko jednak kulturalny dorobek wszystkich krajów planowo oszczędzano, żadnego miasta nie zburzono. Kwitło bogactwo na Wschodzie, na co pożądliwym okiem zaczął patrzeć Rzym, który po pierwszej i drugiej wojnie punickiej zaczął ogromnie wzrastać w potęgę. Metoda postępowania Rzymian była taka, ażeby wmieszać się w sprawy obce jako sprzymierzeniec którejś ze stron. Ale biada sprzymierzeńcowi, któremu Rzym pomagał, gdyż pośród objawów radości i wdzięczności dla Rzymu — ten sprzymierzeniec był już ujarzmiony, a jednocześnie wspólny wróg całkowicie wyczerpany ze swoich sił. Takie było zawsze postępowanie Rzymu. Posłowie rzymscy występowali na dworach makedońskich królów Wschodu jak królowie, a ich każde słowo była to otwarta albo ukryta groźba. Wschód przeszedł do defenzywy. Autor podaje szereg bardzo ciekawych obrazów z życia Demetriosa Poliorketesa, i jego heter (chociażby Lamia), oraz z życia i działalności księżniczek makedońskich i żon potomków generałów Alexandra Wielkiego.

Księżniczką z krwi makedońskiej była również i sławna w historii Kleopatra, królowa Egiptu. Była ona ostatnią z rodu Ptolemaiosów, ale trzeba przyznać, że najgenialniejszą. Nie można jednak nie zaznaczyć, że Birt kreśląc sylwetkę Kleopatry a następnie razem z nią i Antoniusa, poszedł za starą oklepaną, peripatetycko-augustowską tradycją i dał nam w szeregu wypadków obraz tych dwojga osób niewierny, nieistotny, nieprawdziwy. Bo historia w ogromnej swej części aż prosi się o odbronzowienie i obalenie starych bogów, którym do dzisiaj prawie wszyscy jeszcze hołdują. Tutaj podamy główne rysy Kleopatry i Antoniusa, jak ich nakreślił autor, a gdzieniegdzie tylko z braku miejsca ograniczymy się do podkreślenia fałszywych poglądów Birta. Mimo wszystko jednak najciekawszym w książce Birta jest rozdział pt. „Kleopatra und Rom.“ Postaramy się podać tutaj główne poglądy autora.

Jeden z największych dramatów historii rzymskiej odegrał się zdaniem Birta (s. 136) dzięki Kleopatrze i jej woli. Kobieta, która rządzi władcami, może się ważyć na wszystko. Połowa świata starożytnego padła do jej stóp, lecz Kleopatra chciała zdaniem autora jeszcze więcej. Ona prowadziła i stoczyła ostatni wielki pojedynek pomiędzy Wschodem i Zachodem. Intrygi, czary miłosne, bohaterstwo, brak wszelkich skrupułów a zarazem lekkomyślność, to wszystko nie wystarczało do osiągnięcia celu. Kleopatra musiała za wszelką cenę pozbyć się posłów rzymskich, którzy rozgościwszy się na dobre już od lat dziesiątków w Egipcie i udając doradców ostatnich zniewieściałych królów egipskich Ptolemaiosów właściwie sami rządzili Egiptem i hamowali wszelką akcję każdego energiczniejszego króla egipskiego celem wydobycia się z pod „opieki“ Rzymu. Doszło nawet do tego, że w 81 r. przed. Chr. król Ptolemaios Alexander robi Rzym na wypadek śmierci swojej spadkobiercą Egiptu. Kleopatra nie mogła się z tą myślą po-

godzić i gdy w r. 48 prz. Chr. okazał się w Egipcie Caesar, ta go tak opanowała, że dla osiągnięcia celu swego nie zawahała się mieć z nim syna Caesariona, którego uznał Caesar za swego syna i za spadkobiercę dziedzictwa swego. To był więc pierwszy triumf Kleopatry.

Nasuwa się pytanie, czego chciała Kleopatra od Rzymu. Autor odpowiada, że celem Kleopatry było zobaczenie Caesara — wbrew woli Rzymu — królem, o czem rzeczywiście bardzo poważnie myśleli głównie wojskowi, skoro Marcus Antonius, stronnik Caesara i jeden z jego najlepszych generałów, chciał mu na Forum Romanum włożyć na głowę diadem królewski i pozdrowić jako króla (153). Caesar nie pozwolił ogłosić siebie królem, gdyż zauważył ogromne wzburzenie i niezadowolenie publiczności rzymskiej na forum. Caesar jednak zdaniem naszym wyczuwał doskonale, że na władzę monarchiczną w Rzymie jeszcze nie pora.

Autor stawia śmiałe twierdzenie, jakoby Kleopatra była winowajczynią śmierci Caesara (s. 154). Gdyby atentat na Caesara nie był się udał, to on byłby wskrzesicielem monarchii światowej Alexandra Wielkiego, a Kleopatra córka pierwszych wielkich Ptolemaiosów zostałaby była panią świata. A zatem Kleopatra parła do tego, by Caesar został królem, a ona królową.

Takie poglądy na motywy zamordowania Caesara są niczem nieuzasadnione i wprost niedorzeczne. Im dano już dawno należną odprawę. Gdyby Caesar miał do czynienia z pokoleniem, które pamiętało królów rzymskich, to dla utwierdzenia władzy swojej i położenia kresu chwiejnym stosunkom rzeczypospolitej, mógłby się uciec do władzy królewskiej, którą wówczas jeszcze szanowano i do której przywykł naród. Ale Caesar żył przecież wśród ludu, który od pięciu prawie stuleci nie znał innych powag oprócz konsulów, praetorów, tribunów ludowych, czy wreszcie dictatorów. Tytuł królewski był w Rzymie w największej pogardzie, a sella curulis daleko większe miała znaczenie niż tron. Rzymianie przecież przywykli widzieć w swoich vestibulach królów żebrzących łaski, lub kroczących w kajdanach w pochodach triumfalnych imperatorów rzymskich. A na jakim tronie mógł zasiąść Caesar? Czy może na tronie królów rzymskich, których władza ograniczała się do kilkudziesięciu czy wreszcie z biegiem czasu najwyżej do kilku tysięcy kilometrów kwadratowych, a zatem do obwodu miejskiego wielkości mniej więcej jednego wielkiego naszego powiatu? Czy może na tronie królów azjatyckich lub afrykańskich, których Rzymianie tak ciężko upokorzyli i ze swymi niewolnikami zrównali?

Z pewnością ktoś powie, że Caesar chciał zostać królem nie w Rzymie, lecz poza Rzymem — na prowincji. Wyglądałoby tak, że ludy Grecji, Azji Mniejszej, Syrii i innych państw z większym szacunkiem patrzyły na obalone trony Perseusa, Antiochosa, Attalosa, Ptolemaiosów jak na sella curulis Lucullusa, Sulli, Pompeiusa i samego wreszcie Caesara. A przecież Caesar do ostatnich chwil życia swego trzymał się form republikańskich (chociaż w gruncie rzeczy nimi pogardzał) i nigdy inaczej nie wydawał rozkazów jak tylko przez dekrety senatu, do którego co prawda nie miał nigdy wielkiego zaufania i szacunku jako do wielkiej bandy łotrów. Urzędników wybierano na

comitia. Co więcej! Caesar nawet nie miał straży przybocznej i nie chciał jej przybrać mimo nalegań przyjaciół, a dom jego nie znał przepychu i niczym nie różnił się od domów zwykłych obywateli. Wiemy, że strącone posągi Pompeiusa kazał Caesar uroczyście na nowo poustawiać. Ducha armii zostawił Caesar nietkniętym a usposobiona ona była po republikańsku oraz oddana stronnictwu ludowemu i demokracji. Gdyby Caesar był uważał, że objęcie tronu wzmocni jego potęgę, bądźmy przekonani, że zasiadłby był na nim wśród oklasków wojska i senatu jeszcze przed wprowadzeniem do senatu stronnictwa pompejańskiego. Caesar miał zbyt wiele sposobów, by wmówić w wojsko i senat, że koniecznym jest wprowadzenie nowej formy rządów. A tymczasem Caesar tego nie zrobił i jakkolwiek był pełnym zwycięzcą (i zapewne pogardzał demokracją), jednak rządził jako konsul, dictator i tribun ludowy i wcale nie zrywał ze starymi formami. Zamordowanie Caesara było ze strony Brutusa wynikiem nabytego w szkołach greckich przesądu. Brutus bowiem i jego współtowarzysze stawiali Caesara na równi z tuzinkowymi i nędznymi tyranami miast peloponeskich, którzy opierając się na garstce intrygantów, zagarnęli najwyższą władzę w swoich miastach. Jak Cicero, tak też i Brutus i wielu jeszcze innych arystokratów rzymskich nie mogło zrozumieć ducha czasów swoich i patrzyli na świat w I w. prz. Chr. kategoriami wieku V prz. Chr. *Rozwiązanie zagadki śmierci Caesara leży w tym, że on zbyt mało jeszcze puścił był krwi italskiej. Zbyt wielu żyło jeszcze tych, którzy chcieli zawrócić koło historii przynajmniej o 300—400 lat wstecz. Sama Kleopatra i jej bliskie stosunki z Caesarem były jak najmniej winne jego śmierci.*

Po zawarciu 2-go triumviratu dostały się prowincje Wschodu Antoniusowi. Po pogromie republikanów pod Philippi w 42 r. prz. Chr. udaje się Antonius przez Atheny na Wschód do Azji Mniejszej i daje rozkaz Kleopatrze stawić się w Tarsos i usprawiedliwić się, dlaczego nie dość należycie popierała triumvirów w ich wojnie z republikanami. I rzeczywiście w r. 40 prz. Chr. zjawia się w Tarsos 28-letnia Kleopatra z całym wschodnim przepychem przed 40-letnim Antoniusem. I tutaj Birt powtarza przestarzałą piosenkę, że Antonius zakochał się od razu w Kleopatrze i z jego strony „es war, heißt es, eine Liebe, auf den ersten Blick“ (s. 163) i była to miłość wyłącznie tylko z jego strony. On stracił głowę, ale ona tylko chciała być kochaną, nie zaś kochać. „Sie wollte nur geliebt sein; das brauchte sie für ihre hochgegriffene Ziele“ (s. 163). Jej postępowanie z Antoniusem, który stracił dla niej — zdaniem autora — wszystkie zmysły, było na każdym kroku i we wszystkim obliczone, ona posiadła pełną sztukę ukrywania głęboko myśli swoich, umysł jej był wyostrzony i we wszystkich sprawach politycznych biegły. „Aber anders als er (= Antonius), war sie (= Kleopatra) in allem planvoll und berechnend mit der Kunst in aller Anmut zu verbergen, was sie dachte, von geschärftem Verstande und in allen politischen Dingen versiert“. A chociaż Kleopatrze nie było obcym uczucie miłości, to względem Antoniusa miała ona jeden cel i to cel polityczny: Egipt musi się zemścić na Rzymie, a co więcej Rzym sam powinien jej

w tem pomóc „Aegypten an Rom zu rächen. Rom selbst sollte ihr (= Kleopatrze) dazu helfen" (s. 163).

Autor sam wyczuwa, że opisując rolę Kleopatry i Antoniusa znajduje się na bardzo śliskim gruncie — qui locus est sane lubricus, żeby się wyrazić słowami Cicerona — gdyż źródła o tej sprawie pochodzą tylko od wrogów Kleopatry; byłoby zatem wprost niedorzecznością idąc za nimi wyrobić sobie należyty sąd o niej. „Übrigens ist es klar, daß die Berichte — o Kleopatrze i Antoniuszu — aus den Kreisen der Kleopatra - Feinde stammen. Es wäre als töricht sich hiernach ein Urteil über Kleopatra zu bilden" (s. 168). Mimo to jednak w całkiem dobrej wierze opowiada Birt wszystko, co źródła stronników Augusta mówią o Kleopatrze. Z naszej strony musimy jedno zaznaczyć, że dopóki nie będzie „audiatur et altera pars", a tego pewnie nigdy nie będzie, gdyż August doskonale przypilnował sprawy, by zniszczyć dzieła literackie swoich przeciwników — wszelkie relacje o tych przełomowych wypadkach z historii Rzymu muszą stać pod wielkim znakiem pytania.

Idźmy dalej za tym, co Birt, wierząc relacjom pisarzy — stronników Augusta, snuje o Kleopatrze i Antoniuszu.

Przede wszystkim Antonius, jak sądzi autor rozrzucał pieniądze, gdyż pozwalały mu na to daniny i podatki, wyciągane z miast małoazjatyckich. Lecz pod wpływem różnych wypadków musi wracać do Italii w r. 40 prz. Chr., gdzie umiera mu żona Fulvia. Następuje wyrównanie nieporozumień pomiędzy Octavianem i Antoniusem w układzie w Brundisium w r. 40. Związek obu mężów wzmocniono małżeństwem tak, że stali się szwagrami. Albowiem Octavię, piękną, skromną i szlachetną siostrę Octaviana wydano za Antoniusa; związki krwi miały zacieśnić przymierze polityczne. I tutaj ze zdumieniem autor notuje (s. 170), że Antonius nie był jeszcze uległ całkowicie Kleopatrze, skoro ożenił się z Octavią. A rzecz to całkiem zwykła, gdyż mimo olśniewającego czaru, jaki roztoczyła Kleopatra przed Antoniusem w Tarsos, nie zdołała go zakuć w kajdany miłości ku sobie, mimo że ten przyjął jej wytłumaczenie i uczynił zadość jej woli, udając się do Aleksandrii, gdzie spędził z nią sporo czasu na ucztach i zabawach. Antonius wcale nie był chłystkiem i nigdy nie spuszczał z oczu celów politycznych, jakkolwiek był słabszym graczem politycznym od Octaviana. Zresztą przed spotkaniem się w Tarsos widywał Antonius już nieraz Kleopatrę w domu Caesara, w Rzymie tak, że ona nie była dla niego czymś nowym. Można wreszcie sobie wyobrazić, jak „gorącą i ślepą" była miłość Antoniusa do Kleopatry, skoro ten po odjeździe od niej w r. 40 prz. Chr. przez trzy lata aż do r. 37 nie widział jej i wcale nawet nie starał się ją widzieć i nie mamy nawet dowodów, żeby jakąś bliższą i serdeczniejszą korespondencję z nią utrzymywał. A napewne byłaby to historiografia rzymska, przychylna Augustowi, wykorzystała dla oczernienia wroga swego chlebodawcy. Tego nie mamy. Samo przez się jest jasne, że Antonius, nie był nieczuły na wdzięki Kleopatry, lecz, ta rzekoma jego „miłość od pierwszego wejrzenia" i „psie do niej przywiązanie" jak to źródła starożytne przychylne Antoniusowi powiadają, to baśń i wymysły, a ogół do dzisiaj jeszcze w tę baśń i wymysły wierzy.

Antonius zatem i Octavianus zostali szwagrami. Octavia mocno kochała Antoniusa, on zaś odpłacał się jej takim samym uczuciem. Tymczasem Rzym postanowił prowadzić wojnę z Parthami, gdyż żyć bez wojny nie mógł. Dzieje się to w r. 37 prz. Chr. Całą akcję bierze w swe ręce Antonius, rozstaje się z Ostavią i zostawia ją w Italii, sam zaś udaje się na Wschód do Syrii. Na wojnę trzeba było pieniędzy tych zaś nie miał ani Antonius ani Octavianus. Pieniądze natomiast były w Egipcie i miała je Kleopatra. Trzeba było je jakoś wydostać i trzeba było tutaj działać. Kleopatra przybywa do Antoniusa w Antiochii. I tutaj rzekomo — jak twierdzi Birt (s. 171) — „ein Blick, ein Hauch von ihr (Kleopatry), und er (Antonius) ist ihr jetzt ganz verfallen". Następuje małżeństwo Antoniusa z Kleopatrą. Nie przeszkodziła temu Octavia, gdyż była zbyt łagodna i całkiem odmienna od pierwszej żony Antoniusa Fulvii. Octavia mimo wszystko nie zmienia swego uczucia do Antoniusa, który tymczasem spędza zimę r. 37/36 wraz z Kleopatrą w Antiochii.

Wynikałoby zatem ze słów Birta, że Antonius wcale nie miał własnej woli, a szalejąc za Kleopatrą tak dalece stracił zmysły, że nawet popełnił kolosalne głupstwo, bo będąc już żonaty, z nią się ożenił. Takie poglądy na sedno sprawy należy wyrzucić do składu rupieci, gdyż brak im wszelkiego logicznego uzasadnienia. Swoje poglądy streszczamy krótko: Małżeństwo z Kleopatrą było czystym wyrachowaniem jak z jednej tak też i z drugiej strony; sentyment grał tu rolę żadną albo prawie żadną. Antonius potrzebował Kleopatry, a Kleopatra Antoniusa. Antoniusowi trzeba było pieniędzy na dalszą wojnę z Parthami, te zaś miała Kleopatra, Kleopatrze natomiast trzeba było pomocy orężnej dla wzmocnienia i podtrzymania jej chwiejącego się tronu w Egipcie (ludność, zwłaszcza możni byli wielce z jej rządów niezadowoleni); pomocy mógł użyczyć Antonius w postaci swoich legionów. Stąd też polityczne linie obojga zbiegały się razem. Przyszło do wspólnego sojuszu. Ten wspólny sojusz wzmocniono małżeństwem, najpowszechniejszą formą takich sojuszów, zwłaszcza na Wschodzie. Takie były motywy postępowania i jednej i drugiej strony. A dalej, trudno przypuszczać, by Antonius, który Octavię naprawdę kochał, ożenił się z Kleopatrą tylko dlatego, że uległ jej czarowi. Małżeństwo Antoniusa i Kleopatry było ściśle polityczne i we wszystkich szczegółach rozumowo i na chłodno obliczone.

Idźmy dalej za poglądami Birta tak samo jak powyżej w szeregu wypadków niezgodnymi z prawdziwym stanem rzeczy. Prawda, Octavia nie zmieniła swego uczucia do Antoniusa, lecz zato inaczej postąpił brat jej Octavianus. Dla Rzymu przynosi Antonius wstyd, gdyż odstępuje prowincje rzymskie Kleopatrze. Antonius gotuje się do pochodu na Parthów. Lecz — zdaniem autora — przeciwną była temu Kleopatra, ponieważ wzmocnienie Rzymu nie miało dla niej żadnego interesu. „Ihr Geiz — jak to twierdzi autor (173) — blickte nach Westen und nicht nach Osten, und dem Octavian und der Octavia galt ihre Feindschaft". Niepowodzenie zamiast zwycięstwa łamie Antonius i jego prestiż, a silnie wzmacnia Octaviana. Octavianus namawią Antoniusa do drugiej wyprawy na Parthów, daje mu pieniądze i prosi

go, by ten przyjechał do Athen celem porozumienia się. Nie dopuszcza do tego Kleopatra i od tej chwili zaczyna się końcowy akt wielkiego dramatu. Referujemy dalej poglądy autora.

Antonius zrozumiał zmianę położenia politycznego. On chce podzielić imperium na dwie połowy, wschodnią i zachodnią ze stolicami w Rzymie i Aleksandrii, i jedynie tylko związek osób panujących ma łączyć obie połowy w jedną całość. Jest to zatem unia personalna. Antonius odnawia stary plan Caesara. I w tych właśnie poczynaniach kryje się zdaniem naszym niepowodzenie całej akcji Antoniusa i jego ostateczna katastrofa. Antonius wystąpił z swoim planem, o całe przynajmniej trzysta lat za wcześnie. Plany Antoniusa zrozumiała dobrze Kleopatra i zrozumiał dobrze Rzym. Antonius dzieli prowincje wschodnio-rzymskie pomiędzy dzieci swoje od Kleopatry. i Caesariona, syna Kleopatry od Caesara. Rzym oburzony na Kleopatrę rozsiewa o niej straszne plotki. Dzieje się to głównie za sprawą Octaviana, który działa i również rozpuszcza niestworzone rzeczy i plotki, oczerniające Antoniusa. Przede wszystkim szerzy sprytnie Octavianus plotki o wyuzdaniu Antoniusa w Egipcie. Stąd też całkiem słusznie zauważa autor (181), że „der Krieg begann also mit einem Lügenkrieg". Wielka krwiożercza bestia Rzym, co żywił się dotychczas tylko cudzym, chce połknąć teraz Egipt. Lecz Kleopatra chce zemścić się na Rzymie, a ten sam ma jej pomóc w tej sprawie swymi legionami i samym Rzymianinem Antoniusem. „Chcę wymierzać sprawiedliwość na Kapitolu" było jej przysięgą (Cassius Dio L 5, 4; por. Propert. III 11, 31: pretium poposcit moenia Romae"). Przygotowania do wojny prowadzi osobiście Kleopatra, gdyż to jej wojna. Antonius przysyła Octavii list rozwodowy, co było równoczesne z wypowiedzeniem wojny. Rzym boi się Kleopatry, Kleopatra zaś Rzymu. Przychodzi klęska Kleopatry pod Actium w r. 31 przed Chr., desperacja Antoniusa i przerażenie Kleopatry. „Kopflos als Flüchtling, folgte ihr (za Kleopatrą Antonius) wie vom Schlepptau gezogen, mitten aus der noch währenden Schlacht" (pod Actium). — O bitwie pod Actium, jej przebiegu, roli w niej Antoniusa i Kleopatry, o słynnym testamencie Antoniusa, złożonym rzekomo w świątyni Vesty w Rzymie itd. itd. dałoby się bardzo dużo powiedzieć, coś zupełnie odmiennego od tego, co dotychczas słyszeliśmy i jeszcze słyszymy. Tutaj nad wszystkim trzeba postawić wielki znak pytania. Z góry zatem zaznaczyć należy, że to, co obecnie da się powiedzieć o tej bitwie i wszystkim, co jej dotyczy, bardzo a bardzo odbiega od jej opisu, dokonanego przez pisarzy — stronników Octaviana.

Octavianus zbliża się do Egiptu i tak w r. 30 przed Chr. przychodzi koniec tragedii. Autor nadzwyczaj dramatycznie opisuje ostatnie chwile Antoniusa i Kleopatry, jej spotkanie się z Octavianem, a wreszcie jej śmierć, której dotychczas nikt nie zdołał wyjaśnić w jaki sposób nastąpiła. Rzym zalewa się od ogromnej radości, wprost triumfuje. Poeci rzymscy przedstawiają Kleopatrę jako straszną zmorę. Egipt przyłączono do Rzymu .Po jakimś czasie powraca z Indyj syn Kleopatry Caesarion, dokąd go matka wysłała, by życie jego ratować, lecz Octavianus rozkazuje go zamordować. Dzieci Antoniusa i Kleopatry zabiera Octavia i wychowuje razem ze swymi. W ogóle Octavia

przedstawia się jako nadzwyczaj szlachetna niewiasta, która strasznie ubolewa nad mężczyzną, co ją porzucił, by pójść na spotkanie zgubie swojej.

My umyślnie zastanowiliśmy się dłużej nad Kleopatrą raz dlatego, że autor najwięcej poświęcił jej miejsca w dziele swoim, a po drugie, że Kleopatra jest jeszcze dotychczas fałszywie w historii ujęta. Z naszej strony powiemy jeszcze raz jedno tylko, że „prasa“ rzymska, inspirowana przez Augusta, poprowadziła przeciw nieszczęśliwej królowej tak udatną „kampanię“, że jej ślady dotychczas wszechwładnie panują u historyków. Tylko taką „kampanią“, przeprowadzoną z określonym celem dla podtrzymania wojny, prowadzonej przez Octaviana przeciw Antoniusowi i Kleopatrze, można wyjaśnić fakt, że wytworzyła się legenda, w gruncie rzeczy na niczym nie oparta o jakiejś „strasznej rozpuście i okrucieństwie“ Kleopatry, legendą oparta jedynie tylko na jakichś fantazjach o „królach Wschodu“ i ich „krwiożerczości“. Żurnalistyka rzymska zawzięcie wbijała w głowy swoich czytelników takie opowieści, mając na oku wojenno-polityczną propagandę. — Tyle o Antoniuszu i Kleopatrze.

Bardzo ciekawy jest rozdział, zatytułowany przez autora „Römische Kaiserinnen“. Przechodzi w nim autor najważniejsze władczynie-cesarzowe Rzymu. Kobiety właściwego Rzymu nic nowego nam nie przynoszą, gdyż prawdziwego Rzymu już dawno nie ma. Jest tylko Rzym hellenistyczny, a stąd też kobiety rzymskie to dalszy ciąg omówionych przez nas przykładów. Kleopatra jakkolwiek w innej postaci i formie zawładnęła Rzymem. Z cesarzowych zasługuje na uwagę żona Augusta Livia. Nie chce ona mieć dzieci w swym drugim małżeństwie, a pod maską cnotliwości ukrywa się zbrodniarka. Wsadza na tron syna swego Tiberiusa, naturalnie szlakiem zbrodni usuwając skrycie potomków Augusta. — Piękna Messalina, żona Claudiusa, nie miała w polityce wpływu, ale natomiast znaną jest z intryg dworskich. Jeszcze za życia małżonka wychodzi ona drugi raz za mąż. — Agrippina, matka Nerona, kobieta wyrachowana i bez skrupułów, żądna jest władzy i potęgi. Za niej jakby się przedłużało w Rzymie życie Ptolemaiosów. Ona zmusza Claudiusa, by wziął ją za żonę po Messalinie. Intrygantka, zakłada miasto Colonię nad Renem, morduje męża, osadza na tronie syna Nerona, a ten — jak źródła mówią — z bojaźni przed nią morduje ją (205). Nam się wydaje, że twierdzenie źródeł jest zbyt kategoryczne. Prawdopodobnie Nero nie był matkobójcą. — Przeszło sto lat nie słyszymy o większej działalności cesarzowych rzymskich. Dopiero pociągająca Faustina, żona Marcusa Aureliusa, była naprawdę oddaną mątką dzieci, rzecz niesłychana na dworze cesarskim. Wszędzie jest ona z mężem, nawet w wojsku, które ją lubi, jednak sama wcale polityką się nie zajmuje. Tymczasem zbliża się Wschód Kleopatry. Titus daje się opłątać księżniczce żydowskiej Berenike, siostrze króla judajskiego Agrippy. Ta po zdobyciu Jerozolimy jedzie do Rzymu, by opanować Titusa i zostać cesarzową. Jednak tak się nie stało. Titus zdobył Jerozolimę, lecz Jerozolima jego nie. Wreszcie po stu przeszło latach zasiada duch Kleopatry na tronie rzymskim. Przychodzą księżniczki syryjskie z Remezy w latach 200—235 po Chr. od Septimiusa Severusa. Rzym

wyrodził się i stał się miastem Wschodu. Lecz los tych cesarzowych, zaczynając od Julii Domny był tragiczny z rąk własnych dzieci. Zwłaszcza ważną jest na tronie rzymskim, Mammaea, matka Alexandra Severusa. Oboje zostają zamordowani przez wojsko i tak się kończą cesarzowe syryjskie na tronie rzymskim. Przychodzą zamieszki w państwie, następują rządy sołdateski i cesarzy od wojska zależnych. Język grecki opuszcza Rzym na zawsze, chrześcijaństwo staje się łacińskim, a Zachodnia Europa zaczyna oddzielać się od greckiego Wschodu. Wreszcie zjawia się w III. w. po Chr. Zenobia królowa Palmyry z hasłem: „Precz z Rzymem, Azja dla Azjatów". W Zenobii odżyły na nowo tendencje Mithridatesa i Kleopatry. Lecz Rzym zwyciężył, a Zenobia błysnęła w historii jak meteor. — Następuje podział państwa rzymskiego. Rzym prawdziwy przechodzi do Konstantynopola, a w Rzymie rezyduje papież. Serię starożytnych cesarzowych rzymskich kończy Theodora, żona Justyniana I. w. VI. w. po Chr.

„Die Römerin". Czy Rzymianki — zwykle kobiety dadzą nam coś nowego? Niewiele! O prawdziwych Rzymiankach z rodu latyńskiego lub sabińskiego prawie żadnych wiadomości nie mamy. Dopiero od III. w. przed Chr. mamy niejakie wiadomości o Rzymiankach, ale warstwy miejskie są już wtedy silnie zgrecyzowane. Na ogół, kobiety rzymskie w tych dawnych wiekach przedstawiają się dość wyraziście i mocno, jak ich mężowie, których znamieniem było „robur". Są to do pewnej miary — wilczyce. Od czasów Hannibala kiedy Rzymowi już nikt nie zagradzał, kobiety stają się inne, wchodzi żądza błyskotek, duma rodowa i intrygi. Mało w nich serca, jakieś zimno od nich wieje i brak uczucia, co zresztą stwierdzają. Zajęcia umysłowe jakby nigdy dla nich nie istniały. To zdaniem ich nie licowało. Teatr, muzyka, śpiew, tańce itp., to należało do niewolników. Wogóle w kobietach rzymskich, znanych nam ze źródeł, brak przeważnie kobiecości — das Ewig Weibliche. Stąd też powstało przysłowie: Rzymianie panują nad światem, a nad Rzymianami kobiety.

W rozdziale pt. „Cornelia und Fulvia" omawia autor główne typy Rzymianek. Typ starej Rzymianki to Cornelia, matka Gracchów z II. w. przed Chr. Jest to wzór cnotliwości kobiety rzymskiej. Mężnie przenosi ona największe nieszczęścia i tragizmy życia swego. Była na wskróś przejęta hellenizmem. Z ciężkim sercem przebolała ona śmierć syna Tiberiusa w r. 133 przed Chr. i usunęła się w zacisze. Po niej zachowały się — niesłychana rzadkość — oryginalne listy jedyne nam znane listy kobiety starożytnej. Z listów, pisanych do syna Caiusa widać, że pisze to matka przyzwyczajona do rządzenia. Śmierci Caiusa nie okazała na twarzy swojej, ale Rzym znienawidziła jak nikt inny. Okazała się dumną córką Scipiona w swym nieszczęściu. — O ile w życiu państwowym Cornelia matka Gracchów, była na ogół bierna, to inaczej przedstawia się sprawa w sto lat później z Fulvią, żoną triumvira Marcusa Antoniusa. Już od wczesnej młodości weszła ona w życie polityczne. Wychodziła ona trzy razy za mąż za tribunów. Po śmierci Caesara stoi ona przy ramieniu męża swego Antoniusa, jakiś czas wszechpotężna w Rzymie, odważna, żądna walki i władzy. Ona w r. 40 przed Chr. prowadzi na własną rękę wojnę przeciw Octavianowi, tzw. wojnę peruzyńską. Z mieczem w ręku wiedzie ona wojsko do boju. Cel jej

to — usunięcie Octaviana, ma panować Antonius i razem z nim ona. Jest to kobieta rzymska, co całą duszą weszła w politykę. Nadzwyczaj ciekawe zjawisko.

W sprawach małżeńskich nie było w Rzymie lepiej, niż jak to mamy w dobie obecnej. Pomijając majątek męża, kobieta miała swój własny majątek i była samodzielną. Wydaje się na pozór jakby nie było głębszego uczucia pomiędzy małżonkami. Ale nie zawsze tak bywało. Kobieta wychowuje dzieci — synów i córki. To jej duma, zwłaszcza mądrzy i dzielni synowie. Ona stara się o męża i o dom.Stąd też nie mamy w Rzymie tyle naigrywań i naśmiewań nad rodzajem niewieścim, jak to widzimy w Grecji. Jedynie starym kobiecym amorom i czarownicom nie żałowano sątyry i zjadliwości. Ekwiwalentem męskiej virtus jest u kobiet pudicitia. Młodzież rzymska męska i żeńska obcowała ze sobą dość swobodnie a w szkołach była koedukacja. Bywała w życiu małżeńskim i wielka szczęśliwa miłość. Rysy tego mamy zachowane w pomnikach literackich. Lecz z czasem życie małżeńskie zaczyna podupadać, mnożą się bardzo liczne rozwody. Powody do tego bywały bardzo różne i czysto gospodarcze i czysto polityczne. Ale w tym były też winne i kobiety .W takich warunkach i stosunkach „przyjaciel" domu staje się zjawiskiem bardzo częstym. Moralność bardzo podupada, przychodzi ucieczka od małżeństw. Nie pomagają tutaj żadne zarządzenia Augusta, by podtrzymać powagę małżeństwa.

Wielka poezja miłosna zakwitła dopiero naprawdę za Augusta, lecz idzie ona całkiem za wzorami greckimi, i jak poezja grecka, tak i ona opiewa hetery, Autor nadzwyczaj plastycznie kreśli obraz Cynthii, kochanki Propertiusa, którą ten poeta w nadzwyczaj wyrazistych rysach opiewał. Tak się przedstawia treść dzieła Birta.

A teraz kilka uwag ogólnych.

Czym jest dzieło Birta? Odpowiedź krótka. Jest to wprost romans, piękna i zachwycająca powieść, w której nam autor kreśli obrazy najbardziej znanych starożytnych kobiet greckich i rzymskich. Książkę czyta się jednym tchem od początku do końca. Styl, żywość opowiadania, głębokie wniknięcie w psychikę kobiety, to są ogólne rysy dzieła Birta. Jakkolwiek nie we wszystkim można pogodzić się z autorem w wypowiadanych przez niego poglądach politycznych i innych — chociażby co się tyczy Antoniusa i Kleopatry — to przecież dzieło, nie traci na wartości. Słowem, kto się zapozna z tym dziełem, nie pożałuje trudów. Forma zewnętrzna jeszcze więcej przyczynia się do wartości dzieła. Recenzent niemiecki na papierowej okładce do dzieła pisze, że jest to nadzwyczaj piękna książka, która odkrywa dziwy świata starożytnego z innej strony, jak to dotychczas zwykle bywało. Tylko taki artysta jak Birt, który patrzy na wszystko i okiem artysty i okiem uczonego mógł wydobyć z dziedziny życia kobiet starożytnych fascynujące postacie. W książce Birta ukrywa się wdzięk i gracja Greczynek nawet tam, gdzie przychodzi się autorowi otwarcie i olśniewającym talentem mówić o ciemnych stronach starożytnego świata kobiecego. Świat starożytny zmartwychwstaje przed nami. Charakterystyka takiej Aspasji, Sapphony, Kleopatry, Fulvii i tysiącznych ich sióstr, o których czynach i cierpieniach historia nam opowiada, wywierają na nas wrażenie silne i głębokie.

N. DUMKA

Przegląd historyczny. Zeszyt drugi, serii drugiej, tom XIII. Warszawa 1936, s. 276.

Cały zeszyt poświęcony rozprawom z dziejów starożytnych. Rozpoczyna go Kazimierz Michałowski rozprawą pt. *Architekt w starożytnym Egipcie,* w której omawia położenie stanu rzemieślniczego w Egipcie, głównie architektów. Egipcjanie nie odróżniali sztuki od rzemiosła. Stąd też artyści zawsze wraz z rzemieślnikami tworzyli jedną wspólną grupę pracowników, a zaś swoją umiejętność kontynuowali w rodzinie nieraz przez szereg pokoleń. Większość artystów pochodziła z niskich i ubogich warstw. Z biegiem czasu wytworzyło się również i tutaj poczucie dumy rodowej, zwłaszcza u architektów; tworzy się niejako osobny cech - kasta 'braci artystycznej'. Bogiem opiekuńczym rzemieślników i artystów był Ptah, egipski Hephaistos. Inicjatywa do budownictwa państwowego, zwłaszcza monumentalnego, wychodziła z reguły od faraona, nadzór zaś naczelny nad nim sprawował w imieniu faraona przeważnie wezyr, chociaż bywał i osobny minister robót publicznych, tzw. 'naczelnik robót'. Na przykładach takich osobistości, jak słynny architekt Imhotep, najwyższy dostojnik na dworze faraona Dżosera z III dyn. (2887—2789 przed Chr.), Amenofis (Amenkotep) syn Hapu, wielki budowniczy Amenofisa III i inni, co za życia doszli do najwyższych zaszczytów i czci boskiej, autor wykazuje jak wielkie znaczenie miał architekta - budowniczy w starożytnym Egipcie bez względu na swe pochodzenie i jak dalece górował ten zawód ponad innymi. Na to składał się nie tylko talent, ale też odpowiednie, wszechstronne przygotowanie fachowe. Tak wysokie stanowisko w Egipcie zawdzięczali jednak architekci temu, że budując wspaniałe grobowce, dokładnie zabezpieczali zwłoki nie tylko władcy, ale też i wysokich dygnitarzy przed zbezczeszczeniem, ograbieniem, a głównie zachowywali tajemnicę właściwego wejścia do grobu. „Od architekta więc zależało w dużej mierze czy wiekuista droga życia pośmiertnego odbywać się będzie w warunkach sprzyjających" (s. 11). Stąd też konieczność należytego wynagrodzenia i traktowania architekta. — Autor wykazuje w tym krótkim przyczynku, że nigdzie i nigdy w starożytności znaczenie architekta nie było tak wielkie, jak w Egipcie. — Drugi z kolei zbioru artykuł Marii Ludwiki Bernhard pt. *Skyphos czerwonofigurowy w zbiorach E. Majewskiego w Warszawie* analizuje postać wojownika na koniu na danym skyphosie, którego pochodzenie odnosi do miasta Falerii w Italii w okresie upadku tego ośrodka wyrobów keramicznych, tj. w pierwszej połowie III w. przed Chr., i wykazuje przenikanie prądów artystycznych południowej Italii do środkowych i północnych jej części na przełomie IV/III w. przed Chr.

W artykule pt. *Trzy ostraka ze zbiorów warszawskich* autor Jerzy Manteuffel omawiając niektóre ostraka z Seminarium filologii klas. U. J. P. w Warszawie, pochodzące z II w. przed Chr. daje na podstawie ich treści kilka cennych uwag do podatków w Egipcie od pszczelarstwa (μελισσουργία), sadownictwa (ἀκόδρυον = drzewo owocowe), i systemu wydzierżawiania podatków (dzierżawcy podatków = τελῶναι) w państwie Ptolemaiosów.

Bardzo ciekawy jest artykuł ks. Franciszka Sokołowskiego

Delfy wobec inwazji perskiej (s. 1—14). Communis opinio w świecie naukowym twierdzi, że Delphy nie odpowiedziały wymogom chwili w czasie najazdu perskiego na Grecję. Jest wiele poszlak, że Delphy nie wiedząc, jakie zająć stanowisko 'medyzowały'. Autor podkreśla, że Delphy świeciły zawsze patriotyzmem i wielkim doświadczeniem w sprawach polityki, one kierowały całym ruchem kolonizacyjnym, państwa greckie zawsze zasięgały u nich rady, a fakt, że Delphy wyszły z pożogi wojennej cało, wcale nie przemawia — zdaniem autora — za tym, by interesom wrogów służyły, tym bardziej, że Persowie wykazywali w polityce religijnej nadzwyczajną na te czasy tolerancję i szanowali świętości greckie. Już z tych względów mogły Delphy liczyć na pewne względy. Autor twierdzi, że Delphy odegrały poważną rolę w koalicji helleńskiej, a bezstronna analiza źródeł Herodota wykazuje, że w czasie najazdu perskiego zachowały się godnie i patriotycznie. Rozprawa autora jest — biorąc ogólnie — próbą rehabilitacji dwuznacznej polityki Delph w czasie najgroźniejszym dla Grecji. Jak długo Persom dobrze się wiodło, Delphy 'medyzowały', gdy zaś szczęście odwróciło się od Persów, stanęły one po stronie greckiej. Naszym zdaniem, Delphom chodziło o czysty interes, o ocalenie skarbów swoich, o ocalenie swego 'banku'. Dowody autora w niejednym są mało przekonywujące, a niekiedy wprost dziwne, jak np. że „Gelon, zagrożony na Sycylii wojną z Kartaginą wysłał skarby do Delf z myślą, że korzystniej dlań będzie, jeśli w najgorszym wypadku wpadną w ręce Persów, niżby miały być łupem Kartaginy" (s. 5/398). Jest to właśnie dowód, że Delphy mocno 'medyzowały', bo możemy zgóry przypuścić, że Gelon zbyt dobrze był poinformowany o stanowisku Delph, skoro nie wahał się powierzyć skarbów swoich na przechowanie w ich 'banku'. — Kazimierz Rozenberg w rozprawie *Mniemana klęska Kassandra,* opierając się na rozdziale III *Charakterów* Theophrastą, w którym plotkarz (λογοποιός) opowiada, że Polisperchon i król zwyciężył w bitwie, a Kassander dostał się do niewoli, daje przyczynek do walk diadochów w r. 316 przed Chr., a zatem do czasów, gdy na widowni politycznej działała jeszcze cała rodzina Alexandra Wielkiego.

Stosunkom społeczno-gospodarczym w Rzymie poświęca dłuższą rozprawę Kazimierz Zakrzewski pt. *Rewolucja rzymska — jej przesłanki polityczne i społeczno-gospodarcze* (1—42). Przedstawiwszy krótko ewolucję warstwy rządzącej w Rzymie, zrazu samego tylko patrycjatu, który w czasach późniejszych zlał się z bogatymi plebejuszami w jedną całość w sobie zamkniętą — *nobilitas,* co jedynie tylko sama sprawowała rządy, autor podkreśla, że państwo rzymskie wkroczyło w okres oligarchii. Stosunki społeczne owych czasów w Rzymie charakteryzuje instytucja *klienteli,* poddanych *gentes* patrycjuszowskich, w pierwszym rzędzie szerokiej warstwy włościańskiej. Wolna, rzemieślnicza ludność miasta — to *plebs. Nobilitas* zamyka się w sobie i jest zupełnie ekskluzywna. Czasem — i to z wielkimi trudnościami wchodzi do niej *homo novus.* Klientela zdaniem autora zamknęła rozwój demokracji rzymskiej, instytucja klienteli umożliwiła zamknięcie się elity rządzącej i eliminację szerokich mas ludności z życia państwowego (s. 4). Stało się to faktem dokonanym już w II w. przed Chr. — W ciągu II w. przed Chr. następuje prawdziwy przewrót społeczny i gospodarczy w ca-

łym państwie rzymskim. Powstają przede wszystkim wskutek różnych okoliczności ogromne latifundia — wielkie domeny i one tworzą podłoże dla kapitalizmu rzymskiego, eksploatującego teren, zwłaszcza *ager publicus*. Rozrasta się w II w. ogromnie proletariat niewolniczy, konieczny do uprawy roli. Z czasem uprawa roli schodzi całkowicie na drugi plan, a zaczyna się głównie uprawa wina, oliwki, wypasanie bydła itp., słowem przechodzi gospodarstwo rolne na eksploatorskie. Bodźca rozwojowi kapitalizmu na tle gospodarki rabunkowej dodają warunki polityczne, przede wszystkim zwycięskie wojny, które prowadzi Rzym w III i II w. przed Chr. Stopniowo zaczyna się orgia spekulacyjna. Struktura społeczeństwa rzymskiego przekształca się. Dawna rzymska demokracja gospodarcza ginie. Następuje napływ ludności wiejskiej do miast, jakkolwiek w pierwszej połowie II w. przed Chr. polityka rzymska liczy się jeszcze z potrzebami włościaństwa. Na kulturze rzymskiej wyciska swoje piętno urbanizacja. Wieś italska nie może konkurować z tańszymi produktami, prowincji. W miastach, a zwłaszcza w Rzymie tworzy się ogromna masa drobnych spekulantów — *negotiatores*, którzy rozsypują się po całym państwie i wysysają prowincje. Ilość tych *negotiatores*, rozsianych po całym obszarze śródziemnomorskim, idzie w miliony i ten właśnie fakt zdaniem autora (s. 25) wyjaśnia, co stało się z ludnością włościańską, która opuściła wieś italską. *Negotiatores* tworzą opozycję, dążącą do obalenia rządów elity senackiej; a są to zwykle wieśniacy, co potracili swoje majątki. Nie wszyscy jednak *negotiatores* mają powodzenie w życiu, zwłaszcza, że element grecki, zdolniejszy tworzy warstwę przemysłowców italskich; wielu *negotiatores* spada do roli zwykłego, nędznego proletariatu, głównie w stolicy. Musi przyjść do walki pomiędzy biednymi i bogatymi, do rewolucji. Jakie było położenie tego proletariatu widzimy najlepiej ze słów Tiberiusa Gracchusa, który twierdzi, że życie biednego ludu gorsze jest niż życie dzikich zwierząt. Jednak rewolucje polityczne i socjalne w państwie rzymskim nie wypłynęły same z siebie, tylko pozostają w ścisłym związku z rozkładem orientalnych państw diadochów; już bowiem w II w. przed Chr. cały ówczesny świat przeżywa wielki kryzys społeczny, państwa diadochów są w rozkładzie. Klika kapitalistyczna koncentruje w ręku swoim wszystkie bogactwa. Natomiast ogromne masy zadłużonej ludności nie mogąc wybrnąć z długów, nastrojone są rewolucyjnie, nie mają jednak tyle siły, by dokonać przewrotu społecznego. Życie staje się nieznośne, po morzach hulają piraci, a handlarz żywym towarem święci swoje triumfy. W tym właśnie czasie Rzym podbija zachodnie połacie świata hellenistycznego. To też nic dziwnego, że stosunki w państwach hellenistycznych musiały wpłynąć na stosunki w Rzymie. Zaczyna się wojna pomiędzy bogatymi i biednymi, która wypełnia długie dziesiątki lat u schyłku republiki rzymskiej, aż do przyjścia Augusta.

W artykule *Istota prawna relegacji obywatela rzymskiego* Zdzisław Żmigryder-Konopka omawiając naturę prawną relegacji w ustawodastwie rzymskim, poruszoną niedawno przez H. Volkmanna w dziele *Zur Rechtsprechung im Prinzipat des Augustus*, Historische Beiträge, Monachium 1935, i opierając się na przykładach relegacji z historii rzymskiej, a zwłaszcza uwzględniając relegację Ovidiusa, wypowiada twierdzenie, że „relegacja opierała się na wynikającym z przy-

sięgi stawiennictwa uprawnieniu do powoływania i następnie odkomenderowania bądź też samego tylko odkomenderowania już powołanych poprzednio do armii obywateli rzymskich, względnie innych mieszkańców imperium; stanowiła ona przeto karę *via facti*, lecz nie była karą w znaczeniu prawnym" (s. 31/32). Autor wypowiada przypuszczenie, że Ovidius był *relegatus*, jednak formalnie powołany był do służby wojskowej jako — *miles* (s. 30), jakkolwiek był już stary. To też Augustus mógł go posłać aż do Tomi wcale nie obawiając się o to, by ten, będąc w takim stanie prawnym, mógł uciec do barbarii. — Profesor T. W a ł e k - C z a r n e c k i w artykule *O metodzie badania przyczyn upadku świata starożytnego*, podkreśla fakt, że jakkolwiek zagadnieniu upadku świata starożytnego poświęcono ogrom literatury, to w gruncie rzeczy w tej sprawie nauka dzisiejsza nie wyszła poza czasy Monteskiusza i Gibbona. Ponieważ to zagadnienie jest nadzwyczaj skomplikowane, autor podaje szereg uwag metodycznych, które tu z braku miejsca pominąć musimy. Zdaniem autora, jedynie metoda ściśle indukcyjna, wychodząca wszędzie od ustalonych faktów konkretnych oraz związków przyczynowych pomiędzy nimi zachodzących, może dać wyniki pozytywne i uchronić od manowców spekulacji (s 4). Wyłonią się zawsze pewne przyczyny ogólne, częściowo natury czysto psychologicznej, częściowo zaś wiążących się z warunkami politycznymi. Wszystko trzeba poddać analizie, a konfrontacja jej wyników ma tworzyć punkt wyjścia do syntezy. Taka konfrontacja pozwoli odróżnić czynniki partykularne od ogólnych, na które synteza przede wszystkim powinna zwrócić uwagę, nie pomijając jednak partykularnych. Postać Octavianusa Augusta, który zdaniem autora (s. 5) w pełni zasługuje na miano budowniczego katastrofy świata starożytnego, musi stanąć w obrazie syntetycznym przyczyn upadku świata starożytnego na pierwszym planie i być oświetloną jak najdokładniej. Synteza historyczna musi wprowadzić pewien ład możliwie obiektywny w formie hierarchii przyczyn, a te przyczyny należy wyprowadzić z jednej lub przynajmniej z bardzo nielicznych przyczyn zasadniczych. Taka jest z grubsza treść wywodów.

Ostatni artykuł I r e n y N i e w o j s k i e j pt. *Pytheas z Marsylii w ujęciu Gosselina i Lelewela* (s. 1—28). Jak wiadomo Pytheas, wielki uczony i podróżnik a zarazem odkrywca z IV w. przed Chr., pochodzący z Marsylii (Massalia), odbył dwie względnie trzy podróże i przywiózł z nich znajomość dalekich krain zachodniej i północnej Europy aż do Tanaisu — zdaniem autorki Łaby, Brytanii i dalekiej Thule, najprawdopodobniej zdaniem naszym Islandii. Pytheas opisał te podróże w dziełach, które się do nas nie zachowały z wyjątkiem nielicznych fragmentów u Diodora, Strabona i Pliniusa. — Już starożytni nie wierzyli słowom Pytheasa i nazywali go wprost szarlatanem i kłamcą (ἀνὴρ γόης εἴ τις ἄλλος u Strabona). Również nowożytni często nie wierzyli mu w tym względzie. Do takich należy między innymi uczony francuski Gosselin (XVIII/XIX w.). Ten idąc ślepo za Strabonem uznał Pytheasa również za kłamcę, który nigdy nie podróżował; słowa jego są wymysłem, nie reprezentował wiedzy geograficznej swoich czasów. Natomiast Lelewel uznaje w Pytheasie wielki autorytet naukowy i przyznaje mu prawdziwość jego relacyj. Sprawie tej właśnie, że poglądy Gosselina są fałszywe,

a znowu Lelewela są niekiedy przesadzone na korzyść Pytheasa, autorka poświęciła swoją rozprawkę. NIKITA DUMKA

L e n z e O s c a r, *Die Satrapieneinteilung in Syrien und im Zweistromlande von 520—320*. Schriften der Königsberger Gelehrten Gesellschaft (11 Jahr.Geisteswissenschaftliche Klasse, Heft 4). Halle (Saale) 1935. S. X + 320 (156—476). 8⁰.

Główną treść dzieła poprzedza autor krótkim wstępem, w którym omawia położenie geograficzne terenu, będącego tematem pracy, oraz stanem badań naukowych w dziedzinie podanej w tytule dzieła. Teren ten obejmował olbrzymie przestrzenie państwa perskiego, na zachodzie od morza Śródziemnego, i Aigajskiego, na wschodzie po Baktrię i inne prowincje aż do Indyj, na północy do morza Kaspijskiego, na południu zaś do Zatoki Perskiej. Rozumie się, że rozległość całego terenu trudno należycie ustalić, już chociażby dlatego, że zmieniała się ona w różnych czasach stosownie do pomyślnego, czy mniej pomyślnego położenia politycznego państwa perskiego. Stan badań naukowych w tej dziedzinie jakkolwiek ma już bardzo poważny dorobek, nie jest jeszcze dotychczas uzgodniony w swoich wynikach, gdyż zapatrywania uczonych w tej dziedzinie są bardzo odmienne, jakkolwiek tą sprawą zajmowali się najwięksi uczeni. Co się zaś tyczy źródeł, z których czerpiemy wiadomości odnoszące się do podziału państwa perskiego na odpowiednią ilość satrapij, to są to przeważnie źródła greckie, a tylko w nieznacznych ilościach czysto perskie oraz łacińskie. Najważniejszymi źródłami w tej dziedzinie są Herodotos, Xenophon, Diodoros, Strabo, Arrianos, Curtius Rufus, Iustinus oraz napis Bisutun (Behistan) itp. (Dokładnie opracował ten napis —, i inne — F. H. Weissbach, *Die Keilinschriften der Achämeniden*, Leipzig 1911, s. 8 nn.). Niestety jednak źródła nie dają nam w każdej sprawie dostatecznych wiadomości tak, że szereg kwestyj nie wszędzie da się bez reszty rozwiązać.

Wielkie potęgi wschodnie powstawały w ten sposób, że jakiś wojowniczy szczep czy naród pod dowództwem zdolnego kierownika zdobywał sobie władzę nad innymi szczepami i narodami: Pokonane szczepy i narody stawały się albo płacącymi daninę wasalami pod rządami włąsnych książąt, albo znowu, jeśli rodzime dynastię usuwano, prowincjami pod zarządem urzędników z narodu panującego. Istnienie państw wasalnych, a obok nich i prowincyj, mamy w państwie assyryjskim, medyjskim i innych. Takim wasalem króla medyjskiego był książę perski Kyros, który zbuntował się przeciw swemu suzerenowi, obalił jego rządy i zrobił Persów narodem panującym na miejsce Medów. Rozszerzając swoje państwo i zdobywając obce kraje Kyros przeważnie usuwał dotychczasowych królów i władców (pozostawiał tylko tych, którzy mu się dobrowolnie poddali), gdyż przy ogromie państwa trzymanie władców-wasalów było zbyt niebezpieczne, a zdobyte kraje zamieniał na prowincje, zarządzane przez własnych urzędników. Ilości prowincyj państwa perskiego za czasów Kyrosa i Kambyzesa nie znamy dokładnie dlatego, że wiadomości Xenophona, zawarte w *Kyrupaidei* (VIII 6), odnoszące się do tej sprawy, nie wzbudzają zbyt wielkiego zaufania co do swej wiarogodności, ponieważ samo dzieło nie jest dziełem historycznym, jak to słusznie L e n z e przeciw Lehmann-Hauptowi P. W. K. E. I. Bd. 2 Reihe,

s. v. Satrap § 5—6) twierdzi, lecz tylko pedagogiczno-politycznym romansem w quasi-historycznej szacie [1]), a zaś wiadomości perskie i inne są tak niedostępne, że tylko niektóre satrapie w źródłach są wymienione.

Dopiero następca Kambyzesa, Dareios I (521—485) po stłumieniu wszystkich powstań i buntów przeciw sobie skierowanych, zajął się całkowitą reorganizacją państwa. Był to władca bardzo dzielny, stanowczy, nadzwyczaj sprężysty i rozważny, a takiego właśnie państwo perskie, złożone z różnych żywiołów, spojonych przemocą i złączonych siłą oręża potrzebowało. Przede wszystkim Dareios zaprowadził w ogromnym państwie swoim silne rządy centralistyczne przez podział państwa na liczniejsze, lecz za to mniejsze, niż dotychczasowe prowincje, tzw. satrapie, która to nazwa staje się dopiero odtąd nazwą urzędową, jakkolwiek była już znana powszechnie przedtem, na co wskazuje nazwa w napisie z Behistanu. Wszystkich satrapij było według Herodota (III 89 i inne) 20, które płaciły podatek — φόρος, zaprowadzony prawdopodobnie już za Kyrosa i Kambyzesa. Rozumie się, że ten podział nie jest ściśle wierny, gdyż w skład państwa Dareiosa wchodziły prowincje wolne całkowicie od podatków (np. właściwa Persja) oraz takie, które rządziły się same i nie miały satrapów, a płaciły tylko δῶρα — podarki, czy raczej daniny. Były to więc państwa wasalne. O ile poprzednicy Dareiosa zaprowadzili φόρος, to ten w trzech punktach wprowadził wielkie nowości: 1. System podarunków — δῶρα, zamieniał stopniowo na system — φόρος, czyli, że państwa wasalne włączał do całości i tworzył z nich satrapie; 2. zarządził,

---

[1]) S. 6: „Die Kyrupädie ist kein geschichtliches Werk, sondern ein pädagogisch-politischer Tendenzroman in quasi geschichtlicher Einkleidung. Manche Züge sind historisch, anderes aber ist den Absichten des Werkes entsprechend sehr frei umgestaltet oder ganz erfunden. Kyros wird als Schöpfer der Einrichtungen des Perserreiches hingestellt, wobei ihm manches zugeschrieben wird, was erst später eingeführt wurde. Bei diesem Charakter der Schrift muß man scheinbar geschichtlichen Angaben gegenüber sehr vorsichtig und wenn sie nicht anderweitig bestätigt werden, sehr mißtrauisch sein. Deshalb sind auch die Angaben über die Satrapernennungen in VIII 6, 7 von den Historikern meist als unzuverlässig betrachtet worden“. — S. 9: „Wie er (Xenophon) aber auch sonst nicht scheute von Herodot abzuweichen, so hat er ad maiorem gloriam Cyri die Sache in Kyros Zeit verlegt und die Gelegenheit, bei der die freiwillige Waffenhilfe erfolgt sein soll, frei erfunden, wobei es ihm begegnete, daß ihm seine Phantasie an der späteren Stelle (VIII 6, 8) etwas anderes eingab als an der früheren (VII 4, 2)... Es legt sich der Gedanke nahe, daß Xenophon, der wie so vieles andere, so auch die Einrichtung der Satrapien auf Kyros zurückführen wollte, über die tatsächliche Verwaltungseinteilung des Kyros nichts Authentisches wußte, sondern in der Hauptsache die zu seiner Zeit bestehende Einteilung Kleinasiens in die Zeit des Kyros zurückprojizierte und einiges frei erdichtete, wie die Satrapie Arabien, die Angaben über Kypros und Paphlagonien und die Namen der angeblich von Kyros ernannten Satrapen“.

by φόρος wpłacały prowincje - satrapie w pieniądzach i szlachetnych kruszcach, a wreszcie 3. dla każdej prowincji wyznaczył dokładną ilość φόρος w talentach. Jest też bardzo możliwe, że także wysokość δῶρα wpływających od wasalów, określił Dareios w cyfrach stałych, jednak nie w pieniądzach, tylko w naturaliach. Rozumie się, że nie wszystko możemy wiedzieć dokładnie gdyż w wielu wypadkach starożytna terminologia urzędników oraz nazwy krain - prowincyj, nie jest ścisła. Jest to jedna z najtrudniejszych rzeczy, skoro nazwy σατράπης, ἄρχων, ὕπαρχος itp. w świadectwach autorów starożytnych, z których musimy korzystać, nie są konsekwentnie i w tym samym znaczeniu używane (greckie σατράπης jest to perskie *kš-atrapâuau* 'Schirmer der Herrschaft' względnie 'Schirmer eines Herrschaftsgebiets'.)

Omówiwszy dokładniej stan administracyjny państwa perskiego za poprzedników Dareiosa I (s. 25—42), bardzo szeroko i szczegółowo omawia autor podział państwa perskiego na satrapie, przeprowadzony przez Dareiosa, który mamy u Herodota (III 89 nn.). Przy tym autor bardzo dokładnie roztrząsa poglądy innych uczonych i w wielu wypadkach z nimi polemizuje. Zastaniawiając się szczegółowo nad kwestią, czy Herodotos podaje nam faktycznie podział państwa perskiego na satrapie z czasów Dareiosa I. czy z późniejszych, przechodzi autor do przekonania, że lista satrapij u Herodota odzwierciedla czasy, mniej więcej około r. 450 przed Chr., a zatem czasy, w których on sam osobiście był w Persji. Jakkolwiek ta lista przedstawia w ogólnym zarysie podział państwa perskiego z czasów Dareiosa I, to jednak śmiało rzec można, że Herodotos uwzględnił już także wszystkie ważniejsze zmiany terytorialne w Persji przed r. 450 przed. Chr., który to rok należy uznać za terminus ante quem tzw. 'listy satrapij Dareiosa' (s. 80/81). Informacje dotyczące podziału państwa perskiego zaczerpnął Herodotos, zdaniem autora (s. 87), osobiście na miejscu w Persji, nie wziął zaś ich z jakiegoś źródła czy z cudzych informacyj. Do analizy danych Herodota stosuje autor również szeroko analizę źródeł perskich, jak napis w Behistanie, napis w Persepolis i napis z Nasz-i-Rustan, powstałe w latach mniej więcej 517—485 przed Chr., w których znajdują się spisy krain, należących do państwa perskiego. Te jednak nie zawsze zgadzają się z danymi Herodota, gdyż albo podają mniej danych niż on, albo znowu więcej. Zresztą nie mają one nic wspólnego z podziałem na satrapie. O samej zaś liście satrapij Herodota możemy to powiedzieć, że nie obejmuje ona całości państwa perskiego.

Stan administracyjny państwa perskiego z r. 401 przed Chr. podaje Xenophon w swojej *Anabasis*. Opisując pochód armii greckiej z Sardes aż do Kunaxy wylicza Xenophon szereg prowincyj, przez które ta armia przechodziła. Jednak te prowincje - krainy nie mają nic wspólnego z podziałem na satrapie. Zresztą Xenophonowi nie chodziło o podział administracyjny, tylko geograficzny. Ponieważ wiarogodność danych Xenophona nie zawsze jest pewna, dlatego autor stara się przez szeroką analizę dotrzeć do sedna prawdy, do jakich satrapij należały, względnie mogły należeć krainy państwa perskiego, wyliczone przez pisarza. Bardzo szeroko omawia Lenze stan państwa perskiego z lat 350—333 przed Chr., o którym dowiadujemy się głównie z Diodora (XVI 42, 1),

z Periplus Pseudo-Skylaxa, monet satrapy Syrii Masaiosa, posiadającego prawo bicia monety, Arrianosa i Curtiusa Rufusa.

Bardzo wiele miejsca poświęca autor ustrojowi państwa perskiego po pobiciu go przez Alexandra Wielkiego (s. 251—309). Głównym źródłem są tutaj Arrianos i Curtius Rufus, którzy jednak nie wszędzie z sobą się zgadzają. Jak wiadomo Alexandros Wielki obsadzał prowincje nie tylko swoimi ludźmi, lecz później pociągał także do służby państwowej i samych Persów, w czym miał daleko idące plany i cele polityczne. Na ogół jednak Persowie jako zarządcy itp. zawodzili jego nadzieje. Ustrojowi swego ogromnego państwa poświęcił Alexandros najwięcej czasu i uwagi w ostatnich latach życia swego. Dzieła jednak swego nie dokończył wskutek bardzo wczesnej śmierci. Rzutem oka na stan monarchii Alexandra po jego śmierci (na podstawie Diodora XVIII 5 n.) kończy Lenze pracę swoją.

Lenze zajmuje się ustrojem dawnego państwa perskiego w zachodnich częściach jego z Mesopotamią włącznie, jak to zresztą sam tytuł dzieła wskazuje. Wschodnich prowincyj nie omawia, a jak je porusza, to tylko przypadkowo i bardzo pobieżnie. Jest to bardzo wyczerpująca praca, dotycząca ustroju administracyjnego państwa perskiego w zachodnich częściach jego od samych jego początków, aż do podbicia go przez Alexandra Wielkiego. Układ dzieła jest przejrzysty. Autor uwzględnia bardzo szeroko literaturę przedmiotu, nie lekceważy wcale zdania innych uczonych, lecz owszem — co jest właśnie bardzo wielką zaletą dzieła — liczy się z nim na każdym kroku, analizuje dokładnie i źródła i poglądy innych uczonych, chociaż nie waha się wypowiedzieć zdania swego, ilekroć mu się wydaje, że doszedł do trafnego sądu. Trzeba podkreślić jeszcze jeden fakt bardzo ważny, a mianowicie, że autor daje bardzo dużo cennych uwag o logografach greckich i historykach, jak o Herodocie a zwłaszcza Xenophonie (por. s. 163—192), które musi wykorzystać każdy uczony, o ile zechce pisać dzieło w rodzaju *Historiografii* Witkowskiego. Dzieło bardzo poważne, niezbędne dla każdego, kto zechce zająć się dziejami państwa perskiego, zwłaszcza jego ustrojem i administracją. NIKITA DUMKA

K s e n o f o n t, *Greczeskaja istoria.* Tłumaczenie, wstęp i komentarz S. Łurie, Leningrad 1935, S. XV + 380, 8°.

Jakkolwiek w Sowietach minimalne są możliwości dla studiów humanistycznych, zwłaszcza zaś klasycznych — to przecież niekiedy ukazuje się tam coś także ze świata starożytnego. Stosunkowo najwięcej jeszcze z tej dziedziny wydaje akademia leningradzka w swoich *Izwiestiach,* lecz jak widać z nazwisk autorów, są to przeważnie ludzie już starsi, po największej części przedwojenni. Do takich należy i wspomniany tłumacz Xenophona.

Zabarwienie tendencyjne nie ominęło tłumaczenia Xenophona. Widać to najlepiej ze słowa wstępu (s. II), że Xenophon „współczesny opisywanym wypadkom, aktywny działacz polityczny i dlatego też ta księga daje nie tylko faktyczną historię wypadków, ale też i żywy obraz ideologii politycznej. Księga obliczona na szerokie warstwy pracującej inteligencji, mającej przygotowanie w zakresie szkoły średniej; lecz główny jej cel —

pomoc dla studentów ogólnokształcących szkół wyższych (Wuzy), chociaż może być podstawą zajęć w seminarium historycznym". Mimo tendencji w samym wstępie, to jednak autor — trzeba przyznać — daje sporo bardzo cennych uwag do zrozumienia ówczesnych czasów greckich, a zwłaszcza do zrozumienia samego Xenophona i jego działalności literackiej.

Xenophon urodził się przed 430 r. przed Chr., a samo pochodzenie miało go zdaniem autora (c. V) pchnąć w ramiona obozu arystokratycznego. Stąd też jest on wielkim stronnikiem Sparty i poszedł do niej na służbę. Xenophon posiada wyjątkowy umysł i nadzwyczajny talent dyplomatyczny, prawdę zaś powiada tylko wtedy, kiedy jest mu potrzebna do dzieła jego. Nic też dziwnego, że jego *Historia grecka* jest wybitnie jednostronna na korzyść Sparty i ma wyraźny charakter tendencyjny. Tłumacz podaje szereg przykładów jednostronności i tendencyjności Xenophona. Xenophon jest już niejako zwiastunem hellenizmu. Główną zaś cechę historiografii hellenistycznej jest uwielbienie wielkich osobistości. Zdaniem autora (s. XIII), wychodzącego ze stanowiska nauki czysto materialistycznej, Xenophon nie widzi, że wszyscy jego ulubieni bohaterowie, nie wyłączając króla spartańskiego Agesilaosa, są tylko narzędziem swojej epoki, i swego otoczenia, że oni robią tylko to, do czego ich zmusza tok wypadków. Xenophon jest przekonany, że dane osobistości kształtują historię wedle własnego upodobania, Xenophon tai wady tych osobistości, patrzy na nie przez palce, i urabia z nich herosów i tytanów. Zresztą Lysandros, Agesilaos, Klearchos i inni, ci poprzednicy władców hellenistycznych, byli święcie przekonani o swej nadludzkości i dlatego właśnie szukali swoich historiografów. Zresztą współcześni i potomność za takich ich uważała. Słusznym jest, zdaniem naszym, sąd tłumacza (s. XV), że *Historia grecka* Xenophona to właściwie *żadna historia*, tylko pamiętniki historyczne, napisane przez jednego z najbardziej aktywnych działaczy danej epoki historycznej. Choć dzieło to ma bardzo wiele wad, nie brak mu też i zalet, z których najważniejsza, że jest to właściwie jedno wielkie źródło do czasów 411—362 przed Chr., napisane przez naocznego świadka wypadków. Ponieważ Xenophon stoi na przełomie dwóch epok, z jednej strony epoki helleńskiej z jej maleńkimi miastami-państwami, z drugiej zaś epoki hellenistycznej z jej ogromnymi monarchiami kosmopolitycznymi i kultem wielkich osobistości, dzieło jego nabiera znaczenia jako jedno z najważniejszych źródeł dla rozwiązania trudnego zagadnienia powstania hellenizmu.

Nakreśliwszy w obszernym wstępie postać Xenophona jako osobistości i jako pisarza na tle ówczesnej mu epoki, przechodzi autor do samego tłumaczenia. Jest ono wierne. Mimo że utrzymane w stylu i formie literackiej, oddaje jak najwierniej myśl oryginału. Dodane jest również tłumaczenie Hellenica Oxyrhynchia. Na każdej prawie stronicy u dołu dał autor tłumaczenia szereg przypisków, a do przekładu dołączył bardzo obszerny i możliwie najbardziej wyczerpujący komentarz. Gdzieniegdzie wprowadza tłumacz uzasadnione koniektury w tekście greckim, który tłumaczy. Do tłumaczenia jest dodany indeks oraz cztery mapki. Forma zewnętrzna dzieła byłaby wcale zadowalająca, gdyby nie prosty papier gazeciarski, który psuje całe wrażenie. NIKITA DUMKA

The Following of Christ, the Spiritual Diary of Gerard Groote (1340—1384), Founder of the Brethren and Sisters of the Common Life, translated into English from original Netherlandish texts as edited by James van Ginneken, S. J., of the Catholic University of Nymegen, by Joseph Malaise, S. J., America Press, New York MCM XXXVII, s. 273.

Po Biblii najpoczytniejszą zapewne książką świata, a w każdym razie najpoczytniejszą książką religijną jest *Naśladowanie Chrystusa,* dziełko przypisywane Tomaszowi van Kempen (a Kempis), żyjącemu w pierwszej połowie XV wieku. Nazwisko Tomasza à Kempis tak zrosło się z pojęciem tej książki, że stało się niejako skrótem czy surogatem jej tytułu. Na kazaniach, w mowie potocznej, w książkach spotyka się niejednokrotnie wyrażenia: „czytaj Tomasza à Kempis", „jak mówi Tomasz à Kempis", „według Tomasza à Kempis" itd.

Autorstwo Tomasza, choć niekiedy pokątnie podawane w wątpliwość, przeważnie jednak było pewnikiem dla ogółu ludzi zarówno prostych jak uczonych, nawet dla specjalistów - badaczy średniowiecza, zwłaszcza, że poważnych ani uporczywych argumentów przeciwko niemu prawie nie podnoszono. Aż dopiero czasy najnowsze, które można nazwać czasami rozkwitu badań nad literaturą średniowiecza, zburzyły tę długoletnią tradycję. Nietylko odnalazły innego, właściwego autora owej księgi, ale cofnęły jej powstanie wstecz o całe stulecie, do wieku XIV. Tomasz à Kempis, uważany dotąd za jej twórcę, zszedł do roli jej tłumacza, kompilatora i propagatora.

Autorem zaś uznano jednego z najciekawszych ludzi średniowiecza, Gerarda Groote (Wielkiego), założyciela tzw. Braci i Sióstr Wspólnego Życia. W przeciwieństwie do bladej naogół, mało indywidualnej postaci Tomasza à Kempis, w którym zwykliśmy widzieć zamyślonego, cichego mnicha, postać Gerarda jest pełna życia, tętniąca żądzą czynu i walki. Niezwykle wykształcony, obeznany z wieloma gałęziami wiedzy, uważany za jednego z najuczeńszych ludzi swego czasu, nie dał się ponieść żądzy sławy i zaszczytów; pod wpływem swego przyjaciela, przeora Henryka van Kalkar, oraz mistyka Jana van Ruysbrocka, wyrzekł się światowych ponęt i zatopił się w życiu duchowym. Nie przyjąwszy godności presbytera i nie złożywszy ostatnich ślubów zakonnych, jako prosty diakon wyruszył w świat, by głosić ewangelię, zwalczać rozluźnienie karności kościelnej, nawoływać do nabożności i do wspólnoty w duchu pierwszych chrześcijan. Wymowność jego kazań podbijała słuchaczy, którzy tłumnie cisnęli się do kościołów, by go słuchać. To było powodem prześladowań, jakie dosięgły Gerarda. Zabroniono mu wygłaszania kazań, jako diakonowi; odsunięty od pola swej dotychczasowej działalności w zaciszu klasztoru Wondrichem zapisywał w języku holenderskim swe medytacje i duchowe przeżycia — i one to właśnie złożyły się na dziełko pod nazwą *Naśladowanie Chrystusa.* W tym pierwotnym tekście jest ten utwór obrazem silnych wewnętrznych zmagań i z tego względu niezmiernie przypomina *Confessiones* św. Augustyna.

Jeden z wychowanków szkoły Grootego, kierowanej przez „Bractwo wspólnego życia" w Deventer, Tomasz van Kempen, wziął owe zapiski

swego mistrza i począł je tłumaczyć, a raczej przerabiać na łacinę, aż w r. 1441 zamknął manuskrypt dopiskiem, iż skończył i dopełnił swą robotę, ten dopisek wzięto mylnie za jego podpis autorski.

Tymczasem w r. 1921 Paweł Hagan, bibliotekarz w Lubece, odnalazł manuskrypt ks. II, który stał się punktem wyjścia do właściwego ujęcia sprawy. Okazało się, że ów starszy rękopis daje klucz do układu *Naśladowania,* a zarazem do życia samego jego właściwego autora. Tomasz, tłumacząc dzieło, nie tylko nadawał mu polerowaną szatę łacińską, nie tylko zmieniał układ ksiąg i rozdziałów, ale też usuwał lub zacierał wszelkie indywidualne, osobiste rysy i wspomnienia. W ten sposób z pamiętnika duszy, z obrazu duchowego jednostki, uczynił księgę rad, upomnień, i podniet duchowych, zwierciadło i wzór życia uduchowionego dla ludzkiego ogółu, dla każdego człowieka.

Wydawca pierwotnego tekstu książki Grootego, ks. J. Ginneken, bardzo skrupulatnie porównał ten tekst z przeróbkami Tomasza Kempena, wykazując, co przestawiono, co opuszczono, a co dodał sam tłumacz z własnej inicjatywy. Na podstawie tych porównań możemy stwierdzić, może nieco wbrew intencjom wydawcy, że są właściwie dwa *Naśladowania,* które przy całej wspólnocie swego podłoża tekstowego różnią się i stylem i intencją. *Naśladowanie* Grootego to zdławiony krzyk duszy zbolałej. *Naśladowanie* Tomasza à Kempis to miękka i cicha ręka dobrego człowieka, która koi ból swym dotknięciem.

Madison, Wisconsin University. JÓZEF BIRKENMAJER

Herodotos, Skythia, Hist. IV, 1—142, tłum. T. Kostruba, ze wstępem O. Dombrowskiego. Wyd. Bat'kiwszczyna, Lwów 1937.

Pierwsze kompletne tłumaczenie epizodu skythyjskiego Herodota w języku ukraińskim należy powitać z radością. Jak zaznacza tłumacz w przypisku, tłumaczenie jego prócz tendencji popularyzatorskiej ma zachować też wszystkie cechy tłumaczenia dosłownego o wartości naukowej, ażeby mogli korzystać z niego ci, którzy nie umieją po grecku. Czytając jednak uważnie rozdział jeden za drugim zauważymy, że tłumacz dopiero z czasem daje sobie radę z dość trudnym do tłumaczenia tekstem. Podczas gdy pierwsze rozdziały są dość niezręcznie tłumaczone — np. r. 1 zd. 2., r. 2 zd. 1, 2., r. 7 zd. 1., r. 16 zd. 1, itd. — to po dalszych i końcowych rozdziałach zauważamy jak tłumacz opanowuje technikę tłumaczenia i daje sobie radę prawie z każdym zdaniem. Do gruntowniejszego zrozumienia tekstu H. nie przyczyniają się też z grubsza objaśnienia tekstu, podawane w nawiasie, choć czasem są one niezbędne, to jednak za częste używanie ich nadmiernie zaciemnia styl H. Dla łatwiejszego zorientowania się w tekście, jak także dla nadania całości pewnej przejrzystości, należałoby pewne partie tekstu zaopatrzyć w tytuły i podtytuły, zwłaszcza gdy tłumaczenie ma spełnić swe popularyzatorskie zadanie. Bo jeżeli do ok. 36 rozdz. jest mowa o terytorium i mythycznej historii Skythów, a dalej H. traktuje o krajach Azji i Afryki, a potem znowu wraca do kwestii nawodnienia kraju i zwyczajów krajowców, a od 83 rozdz. przystępuje dopiero do omówienia wyprawy Dareiosa, to pewna nomenklatura dla poszczególnych partyj epizodu, nawet ze względów naukowych, wydaje mi się konieczną.

Uwagi te są podyktowane szczerą sympatią do poczynań K., który zapowiada też jeszcze inne prace z tej dziedziny. Tłumaczenie jako całość ma przede wszystkim też tę ważną zaletę, że jest ono wogóle pierwszym tłumaczeniem kompletnym. Lecz na jedno nie można się absolutnie pogodzić — na 'wstęp' do tłumaczenia, który uważam za mniej udany i niejasny. Napewno są ludzie, którzy chętnie i z przyjemnością byli by się podjęli tego zadania — mógł to zresztą uczynić łatwo sam tłumacz.

T. Paczowśkyj, Do pytannia pro perszi perekłady Horacija (Ukr. Knyha, 7—8, 1937, s. 174 n.).

P. ujmuje w syntetycznej formie wywody M. Sonewickiego i E. Hrycaka, traktujące o wpływie Horacego na literaturę ukraińską, a ponadto dodaje wyniki swych badań w tej dziedzinie. Utwory Horacego, Wergilego i Owidiusa znajdowały się w Bibliotece stauropigjalnej już 1601 r., z których korzystali uczniowie szkoły brackiej. Kaznodzieje XVII w. wykazują bardzo wielką znajomość, obok innych autorów klasycznych, także Horacego. Z wielkim zamiłowaniem studiom Horacego oddawał się G. Skorowoda, jeden z ostatnich uczniów kijowskiej Akademii Mogilańskiej. Ten nie tylko tłumaczył wierszem Horacego, ale też równocześnie podawał parafrazy tych wierszy.

M .Sonewyćkyj, Caesar Augustus (Żyttia i źnannia, 11, 1937, s. 313 n.).

Podawszy obszerną charakterystykę dziejów Rzymu w I w. przed Chr. S. zastanawia się nad istotą geniuszu Augusta, który potrafił po latach zawieruchy wojennej tak odrestaurować monarchię rzymską, że stała się ona nieprzeciętnym wzorem dla wszystkich organizmów państwowych do dzisiejszego dnia. Augustus przyczynił się do rozwoju życia rzymskiego w każdej dziedzinie, dlatego też zdobył sobie serca wszystkich obywateli.

W. Simowycz-A. Artymowycz, Aischylos, Z trylogii 'Oresteia' (Nazustricz 92, Lwów 1937).

Wydrukowane są wyjątki z poetyckiego tłumaczenia *Orestei* Aischylosa, do której to pracy W. Simowycza, część grecką, tj. oryginał, krytykę tekstu i scholie ułożył Artymowycz. Tłumaczenia dokonano wzorując się na rytmice oryginału, przy tendencji wyzyskania metryki greckiej dla ukr. poezji rytmicznej. Takiemu znawcy języka, jakim jest S., tłumaczenie się doskonale udało, chociaż nie każdemu przypadnie do gustu metryka oryginału zastosowana w tłumaczeniu. Lecz ktoby zamierzał zwrócić ostrze krytyki przeciw tłumaczeniom S., ten powinien przede wszystkim porównać oryginał z tłumaczeniem, a zauważy, jak mało odbiegło tłumaczenie od oryginału, a jak wiele cech arcydzieła zachowało.

J. Muszak, Postać Prometheusa w literaturze światowej i ukr. (Dzwony, 9—10. Lwów 1937).

W artykule M. ciekawsze są ustępy odnoszące się do prometheizmu w literaturze ukr., gdyż literaturę światową traktuje M. zbyt powierzchownie. Na specjalne podkreślenie zasługują tłumaczenia wyjątków z *Prometheusa* Aischylosa, chociaż niektóre wiersze wymagałyby gruntownej

przeróbki. Lecz drobne te usterki nie zacierają tego uroku, jaki wywiera czytanie większych partyj. Motyw prometheizmu znajduje M. nie tylko u poetów tej miary co I. Franko i L. Ukrainka, ale także u tych, którzy dynamizmem i jasnością myśli, choć jeszcze jako poeci młodzi porywają czytelnika, tj. Ł. Mosendz i M. Matiiw-Melnyk. J. D.

Oskar Aleksandrowicz, Cezar Augustus. (W dwutysięczną rocznicę urodzin), [Nasza Opinia, Nr. 114, (241). S. 5.].

Autor widzi w Octavianie „zarodek zła, które po nim przyszło", i uważa za „jedyną jego zasługę to, że nie prowadził wojen". Porównując Octaviana i jego działalność pokojową do dyktatorów współczesnych, patrzy w przyszłość Europy z niepewnością i niepokojem. Artykuł roi się od błędnych wiadomości z historii i historii literatury. F. K.

J. Handel, Feliks Solmsen. (Z cyklu: Sylwetki Językoznawców-Żydów). Nasza Opinia, Nr. 114 (241).

Autor zwięzłego a wyczerpującego podręcznika *Dzieje językoznawstwa* (Bibl. Filomaty, nr. 16, Lwów 1935.), przedstawia jasno i przystępnie sylwetkę czołowego badacza z dziedziny filologii i językoznawstwa. Jakkolwiek nie było S.-owi danym doprowadzić dzieło swe do końca, prace jego mają do dziś wartość, a nazwisko jego wymienia się z szacunkiem. Sylwetka ta stanowić może ciekawy przyczynek do powyżej wymienionego podręcznika dla filologów, a zainteresuje zapewne i niespecjalistów. F. K.

Knot Antoni, Jan Michał Brutus, nadworny historiograf St. Batorego. (Odbitka ze Sprawozdań Twa Nauk., Lwów 1926, r. 16, z. 2, s. 7).

Rozprawa zajmuje się życiem i działalnością Brutusa (Bruti, 1517—1592) na polu historycznym, podczas pobytu jego w Polsce na dworze St. Batorego. Był on wędrownym humanistą pochodzącym z Wenecji. Dla poznania starożytności italskich przewędrował pieszo całą Italię, a następnie odbywał podróż po całej Europie. W r. 1574, przybył na dwór Batorego w Siedmiogrodzie i z nim razem, jako oficjalny historiograf, później osiedlił się w Polsce. Główną pracą Br. była *Historia Węgier* w 20 ks., niedokończona z powodu śmierci, a pisana na życzenie Batorego. W Siedmiogrodzie wydał Br. *Explicationes* i *Animadversiones* do Horacego i Cicerona; specjalny interes żywił on, jak i Batory, do Caesara, do którego opracowywał scholia. Jemu zawdzięczamy metodologię historii pt. *De historiae laudibus* (Crac. 1582), wydanie Callimacha rzeczy o panowaniu Warneńczyka (Crac. 1582), *Selectarum epistolarum l. V* (Crac. 1582), i *Praeceptorum coniugalium l. I* (Petric. 1582) itd.

Knot A., La cour, la vie privée et la mort d'E. Batory. (Odb. z E. Batory, roi de Pologne, prince de Transylvanie, Kraków 1935).

Rozprawa składa się z trzech części: I. Dwór St. Bat., podczas swego zarządu państwem, kontynuuje tradycję Jagiellonów. W czasie pokoju bawi w Krakowie, Wilnie, Grodnie itd. Na podstawie ksiąg rachunkowych dochodzi K. do wniosku, że król był doskonałym administratorem. Pusty skarb państwa za jego panowiania znowu się napełnił. Dwór jego, choć nie był ośrodkiem życia kulturalnego Polski, to

jednak łączył często jednostki, które odegrały poważną rolę w dziejach kultury polskiej. — II. Życie prywatne. Brak dokładniejszej monografii o królu Batorym daje się tu bardzo odczuć. Według K. charakter Batorego jakby z jednej bryły wykuty, jakby monolit; ten sam charakter okazuje się w jego życiu prywatnym i społecznym. Małżeństwo jego ze starszą o 10 lat Anną Jag. nie było zadowalające. Król zajmował się chętnie w życiu prywatnym medycyną, alchemią, magią: a poza tym był wielkim znawcą i miłośnikiem koni. — III. Śmierć. Mając 50 lat zmarł St. Batory niespodziewanie w Grodnie, 12 grudnia 1586 r. i jest pochowany w Krakowie na Wawelu. Przyczyna śmierci jeszcze dotychczas niewyjaśniona. Według powiedzenia jednego lekarza 'turba medicorum perdidit caesarem'. J. D.

Gordziejew Wł., Filologia Erazma z Roterdamu. (Odb. z Eos 1936, s. 199—224).

Artykuł pojawił się w związku z 400-letnią rocznicą śmierci tego sławnego humanisty i filologa holandzkiego. Żył on w czasie zajadłych sporów między zwolennikami Lutra i katolicyzmem, któremu pozostał wierny na zawsze. Poza 11 wielkimi tomami folio (10 partes) jego prac naukowych z zakresu NT znamy jeszcze jego prace z zakresu filologii, a przede wszystkim jego dzieło *Adagiorum collectanea* i *Adagiorum chiliades:* ostatnie zawiera do 4200 przysłów, a w dziele *De recta Latini Graecique sermonis pronuntiatione* zajmuje się zagadnieniem prawidłowego wymawiania języków klas. Do kanonu szkolnego z greki zalecał E. w dziele: *De ratione studii:* Lukiana, Domosthenesa i Herodota, z poetów Aristophanesa (z braku Menandra), Homera i Euripidesa, z łaciny Terentiusa, Plauta, Vergiliusa, Horacego, Cicerona, Caesara i Sallustiusa. Szczególnie zasłużył się E. wydaniem niektórych autorów klas. Nowego Test. z r. 1516 i Ojców Kościoła. Lecz główna zasługa Erazma, według G., polega na tym, że właśnie on przede wszystkim przyczynił się do zwycięstwa humanizmu w Europie. J. D.

Chodaczek Alina, De Prisciani Lydi 'Solutionum' cap. VI. (Acta Sem. phil. II. Universit. I. C. cur G. Kowalski, fasc. 1, Lwów 1936, s. 42).

Ch. rekonstruuje opuszczony przez Senekę pogląd o początku morza i jego naturze przez porównanie *Solutiones* Prisciana z odpowiednimi częściami Seneki *Nat. Quaest.* l. III, Plin. *Nat. hist.* l. II, Strabona *Geographii* i Aristotelesa *Meteorologica*. Przychodzi do wniosku, że hydrologiczne wiadomości Seneki i reszty autorów piszących o tym pochodzą wprost lub pośrednio od Poseidoniosa, a ten zaś czerpie swe wiadomości z *Meteorologica* Aristotelesa. Lecz Poseidonios pozostawał w stosunku krytycznym do swego źródła, nie wszystko on z Aristotelesa przejmował, wiele poglądów on całkowicie zwalczał, a wiele też przejmował do swego dzieła, opatrując je swym aparatem krytycznym. Występujący u Prisciana i Pliniusa np. ustęp o niezwykłych zjawiskach wody z ogniem jest przejęty z Poseidoniosa, gdyż brakuje go zarówno u Aristotelesa, jak u Seneki. To co Seneka, Plinius i Priscianus zapożyczyli od Poseidoniosa jest niewątpliwie wynikiem wnikliwego badania już samego Aristotelesa. Następnie przypuszcza autorka, że podania P. o dwóch je-

ziorach palestyńskich: słonym i gęstym, i drugim rodzącym 'asfalt, pochodzą też od Aristotelesa. Wszyscy pisarze poprzednicy Pr., piszący o hydrologii, opierali się na *Meteorologica* Poseidoniosa, — lecz kto najwierniej pozostaje przy swym źródle? Wszyscy mniej więcej w tym samym stopniu korzystają z wyników Poseidoniosa. Wywody te świadczą o bystrej obserwacji i wnikliwym badaniu Ch. i pozwalają rokować nadzieje na dalsze studia w tak mało znanej dziedzinie hydrologii. J. D.

Bibliografia literacka czasopism polskich za rok 1876, opracowała Sekcja Bibliograficzna Zakładu Polskiej Literatury Porównawczej U. J. K. pod kierunkiem prof. dr. Eugeniusza Kucharskiego, redagował i do druku przysposobił dr. Władysław Floryan. Lwów 193. S. XII6 + 104.

Niedostępną w praktyce i dotąd bibliograficznie nieudostępnioną literaturę mamy teraz w wzorowym i wyczerpującym opracowaniu w tym tomiku dzięki ofiarnej pracy prof. Kucharskiego i dr. Floryana: trud ten oceni tylko ten, kto sam przedsięwziął prace bibliograficzne. Chociaz obliczona dla dziejów literatury polskiej, zawiera praca ta cenne materiały także dla nas filologów klasycznych, i jak na plon jednego roku (1876) wcale obfite. Wynotuję następujące pozycje: nr. 117 Feliks Ko..., Gladiator Romy (Tyg. Illustrow. II nr. 42), — 497 Włodzimierz Zenowicz, Gladiator w cyrku (Diabeł nr. 18), — 218 Karol Kloss, Gaius Grakchus (dramat wierszem, Ruch Literacki, Lwów I nr. 11—16), — 144. Wiktor Gomulicki, Dafnis i Chloe, sielanka (opowieść, Kolce nr. 44), — 284. Ign. Maciejowski, o Swinburne'a Erechtheusie, — 368. Klem. Podwysocki, Lacrymae rerum (wiersz, Kłosy XXII nr. 572), — 444. Aleks. Świętochowski, Antea (obrazek dramatyczny, Przegląd Tygodn. nr. 9—10. — Helvia (dramat, Przegl. Tyg. nr. 40—42), — 447. Wład. Tarnowski, Praxytel i Fryne (wiersz, Ruch Liter. II nr. 30), — 237. W. Korzyc, Praca Syzyfa (Gazeta Narodowa, Lwów, nr. 155—207), — 241. K. P., Galla Placydya (dramat w 4 aktach, Tyg. Mód i Powieści nr. 35—42), — 1102. Józ. Rovani, Młodość Juliusza Cezara, powieść Kraków 1873, Gaz.. Lwowska nr. 43, — 12. Westalka (opowieść, przekład z włosk., Przegl. Lwowski XII nr. 13—23), — 624. Homer, Iliada pieśń XXII przekład Feliksa Jezierskiego (Bibl. Warsz. IV nr. 12); — pieśń VI, Popiel (Przegl. Polski X t. IV nr. 10. — Odysseia przeł. L. Siemieński (Bibl. Najcel. Utworów s. 1—360), — 625. Sofokles, Edyp w Kolonie przeł. Jan Czubek (Spraw. Gimn. Tarnów s. 3—69), — 666. Fel. Faleński, Przekład Horacego (List I 2. 4. 10, w Ateneum warsz. I nr. 1). — Hekab. (Aten. t. IV nr. 10). Ze zbioru świstków Sylena (Kurier Warsz. nr. 129). — Al. Krajewski, Przekład Horacego I 24 (Kalendarz Ilustrowany J. Jaworskiego, Warszawa 1876, s. 128. Maurycy Dzieduszycki, Przekład Horacego c. IV 4 (Kronika Rodzinna, Warszawa nr. 23. — 1087. Emil Paszkiewicz, De Horatii et Augusti necessitudine quae ex carminibus lyricis intellegitur. Spraw. Gimn. Sambor, s. 3—19. — P. Niementowski, Zasób mitologiczny w pismach Horacego, Spraw. Gimn. Stanisławów, s. 1—22. — 1088. Z. Węclewski, Literaci i wykłady publiczne w starożytnym Rzymie (Przewodnik Nauk. i Lit. IV s. 577.

673673. — Do humanizmu odnoszą się prócz Chłędowskiego (nr. 784): 706 Ign. Znamirowski, O ile zaprawiał swoją łacinę na pismach Sallustego kronikarz bezimienny, Gallem pospolicie zwany. Spraw. Gimn. św. Jacka, Kraków 1876, s. 1—42. — 705. Karol Mecherzyński, O pobycie Konrada Celtisa w Polsce i jego wpływie na rozbudzenie humanizmu (Rozpr. i Spraw. Akad. Um., Wydz. filol. IV s. 263—313). — O poezjach polskich i łać. A. Trzycieskiego (Ateneum III nr. 8). — 718. Vita Simonis Simonidae z r. 1860 wyd. A. Bielowski (Pamiętn. Akad. Um. II 1875; Przegl. Lwowski XI nr. 5). — 727. Stan. Wegner, Nieznani polscy poeci XVII w. (Anna Memorata i M. Głoskowski) (Ruch Lit. II nr. 40). — 732. M. C. Sarbievii carmina posthuma... ed. J. Krystyniacki, Lwów 1876 rec. Stan. Kunasiewicz Ruch Lit. II nr. 45. A. Bielowski, Nowoodkryte poezje Sarbiewskiego (Bibl. Warsz. IV nr. 10). — Leon Kulczycki, Kilka słów o M. K. Sarbiewskim, szczególnie o stosunku jego do Horacjusza, Kraków 1875, odb. z Spraw. Gimn. Nowodworskiego, — rec. Z. Węclewski (Przegląd Krytyczny nr. 4). Wł. Kaszewski (Niwa IX nr. 25). Czas nr. 15 (polemika) = Gaz. Toruńska nr. 50—51. Przegl. Lwowski XI nr. 5. — 808. Z. Węclewski, Wiadomość o życiu i pismach G. E. Grodka (Rozpr. Akad. Um., Filol. IV 1—157), — Joach. Lelewel, Listy do G. E. Grodka (Przewodnik Nauk. i Lit. IV s. 236. 238. 571. — Tad. Czacki, Listy do G. E. Grodka z lat 1805—1811, wyd. Z. Węclewski (Przewodnik Nauk. i Lit. IV s. 1116).

Z materiałów tych tylko drobna część (osobne rozprawy) była dostępna dzięki innym bibliografiom. Jak najgoręcej życzymy, by znalazły się środki i przede wszystkim ofiarni pracownicy, by tę Bibliografię Literacką, tworzącą właściwe podwaliny pod naukowe traktowanie literatury, kontynuować w ten sam wzorowy sposób. R. G.

W. H. Boulton, *„Wieczność piramid i tragedia Pompei“*. Przełożył i wstępem opatrzył Dr. Kazimierz Michałowski, *„Biblioteka wiedzy“ T. 10.* Warszawa, Trzaska, Ewert i Michalski, str. 253 + XII.

Książka W. H. Boultona nie bez celu nosiła w angielskiej edycji tytuł *The romance of archaeology*. Autor bowiem w krótkich rozdziałach (jest ich aż dwadzieścia dziewięć!) opowiedział w formie bardzo przystępnej, zakrojonej nawet trochę felietonowo, wszystkie z ważniejszych poszukiwań jakie przedsięwzięła nauka. Bo książka ta ma charakter przede wszystkim popularny. Anglik opowiedział Anglikom o wszystkich odkryciach poczynionych przez rodaków w ciągu dwu ostatnich wieków. Laik przyjmie tę książkę bardzo przychylnie, gdyż jest napisana bardzo ciekawie, co już określa sam tytuł oryginału. „Przygody archeologii“ bo tak trzeba przetłumaczyć tytuł książki Boultona, opowiadają te wszystkie fakty, które zna przeciętny filolog, a więc: historię odczytania hieroglyfów egipskich za pomocą Kamienia z Rozetty, doniosłość odkryć Belzoniego, życie i dzieła Schliemanna itd. Jest jednak pewna wada tej książki; oto że nie jest w zupełności przystosowana do gruntu naszego. Opowiada mianowicie tylko o odkryciach Anglików pomijając inne narody. W ten sposób tylko pobocznie prawie dowiadujemy się o Schliemannie, którego omówienie

nie mógł autor ze względu na doniosłość odkryć pominąć. Z tego powodu książka ta nie daje nam całokształtu poszukiwań w ciągu tych dwu wieków poczynionych.

Michałowski, który przetłumaczył i wstępem opatrzył tą książkę, zwraca się w tymże wstępie do czytelnika wskazując, że u nas nikt się archeologią właściwie nie zajmuje; że jednostka przeciętna u nas nie zajmuje wobec tej nauki żadnego stanowiska.

Podczas gdy przeciętny Anglik zna dzieje każdego ważniejszego odkrycia, jeśli już nie za pomocą takiej właśnie książki, to przez przeglądanie np. takich tygodników jak: „The graphic" czy „Illustrated London News", to u nas archeologia jest rzeczywiście tylko tą 'nauką tajemną', którą zajmują się ludzie zgrupowani koło katedr uniwersyteckich. Pozatem Michałowski stwierdza, że archeologia oprócz walorów czysto naukowych ma i wielki walor polityczny, gdyż wyniki wykopalisk cudzoziemskich ekspedycji rozbudzają na tamtych terenach podobne uczucia, co wizyta obcego pancernika. Nie wchodzą tu w grę czysto zewnętrzne objawy prestiżu państwowego. Archeologia związana nierozłącznie z aktywnością na obcych terenach, jest, jeśli się tak można wyrazić, nauką ofensywną, jak ofensywną bronią jest w istocie swej flota wojenna, choć przeznaczeniem jej może być tylko obrona wybrzeża. U podstaw jednej i drugiej tkwi pierwiastek imperializmu tu kulturalnego, tam politycznego, co zresztą prowadzi do jednego celu".

Książka ta nadaje się dla młodzieży bez żadnych skrupułów. Powinna się znaleźć w każdej bibliotece filologicznej obok „Keramiki" Bulasa czy „Kultury aigajskiej" Majewskiego. Niech bowiem młodzież czyta i poznaje historię odkryć archeologicznych, z tym nastawieniem, że archeologia ma nie tylko walory czysto naukowe, lecz i pośrednio polityczne. I gdy już choć w ten sposób młodzież zacznie rozumieć wartość tej nauki, może w przyszłości polski archeolog będzie mógł wyjechać na wykopaliska w teren, śledzony pilnie oczyma ogółu społeczeństwa.

JERZY ANTONIEWICZ

Józef Skoczek, Stosunki kulturalne Śląska ze Lwowem w wiekach średnich, Katowice 1937.

S. przyjmuje, że pierwszymi kolonizatorami ze Śląska na wschodnich rubieżach Polski w XIII i XIV w. byli Niemcy, pochodzący z takich miast śląskich, jak Wrocław i inne, a dopiero w XV w. zaczyna się imigracja Polaków, których Niemcom nie udaje się tutaj germanizować, z powodu szczupłej ich ilości. Kolonizuje przede wszystkim element miejski, kupiecki. Z osobą księcia Lwa, założyciela Lwowa, należy łączyć znanego ślązaka B. Stechera protoplasty znanego rodu nie tylko we Lwowie, ale i w całej zach. Małopolsce. Z innych rodów śląskich znany jest ród Sommersteinów, od których pochodzi nazwa Zamarstynów, handlujących na szeroką skalę towarami wschodnimi, jak sukno i in., ród Steynkelerów, skupiających w swym ręku posiadłości ziemskie, oraz znany ród Schellerów wzgl. Hanelów, Goldbergerhofów (od nich nazwa Kulparkowa, i Klopperów (od nich nazwa Kleparowa). Są to rody osiadłe tu już w XIII i XIV., rychło tu zpolonizowane, stali się krzewicielami tej polskiej kultury. Pierwsze budowle lwowskie, jak katedra

łać. i szkoły, zawdzięczały swe powstanie szeroko rozgałęzionej rodzinie Stecherów, którzy sprawowali tutaj wysokie godności w zarządzie miasta. J. D.

Manteuffel Jerzy, Książka w starożytności z 26 ilustr. Państw. Wyd. Książek Szkol. we Lwowie, 1907, s. 120.

Książeczka podzielona jest na 5 rodz. W 1 rozdz. zaznajamia M. w sposób najbardziej przystępny z wynikiem poszukiwań papyrusowych w Egipcie, następnie zastanawia się nad kwestią znajomości pisma u Greków, na terenie których znajdujemy pierwszy napis kamienny z VIII w. prz. Chr., na terenie rzymskim spotykamy się z zabytkami piśmiennictwa dopiero w III w. przed Chr., W 2 rozdziele mowa o trzech okręgach kulturalnych z trzema systemami pisania, okręgiem wschodnio-azjatyckim, Azji zachodniej i Europy oraz amerykańskim, i trzy okresy rozwoju każdego systemu: ideograficzny, akrofoniczny i alfabetyczny. Powstanie pierwszego alfabetu odnosi M. na ll. 1400—100; jest to alfabet semicki, z którego rozwinęły się wszystkie inne systemy alfabetyczne. Rozdz. 3 traktuje o materiałach piśmienniczych, o papyrusie, którym posługiwano się najczęściej w Egipcie, o pergaminie, jako materiale pisarskim w Azji Mniejszej i o późniejszym papierze, choć wyrób jego był znany w Chinach już w odległej starożytności. Stilos i tusz przechodziły też różne fazy wydoskonalania się. — Rozdz. 4. Najstarszą formą książki jest zwój papyrusowy, jakiego najstarsze okazy egipskie zachowane do naszych czasów pochodzą z drugiego tysiąclecia przed Chr., papyrusy greckie pochodzą z IV w. przed Chr. Drugą formą książki starożytnej jest kodex pergaminowy; najstarsze kodeksy z IV i V w. po Chr. zawierają pierwsze ewangelie chrześcijańskie. — Rozdz. 5 zajmuje się dziejami wydawnictwa i popularyzacji książek wśród szerokich warstw ludności. Książka ta jest po książce R. Ganszyńca, *Dzieje naszego abecadła,* druga w literaturze polskiej, uboższa treścią od W. Schubarta *Das Buch* itd., źródła i wzoru dla autora. W ogóle nie przedstawia książka ta żadnego wzbogacenia naszego dorobku, gdyż nawet główny trzon rysunków znajduje się już w wydawnictwach Filomaty (Papyrologia, Abecadło), z których M. korzystał nie cytując ich na s. 117. J. D.

Pilch St., Źródła i czynniki inspiracyjne *Quo vadis* Sienkiewicza. Odb. z Eos 1935, s. 305—318, 423—432, Eos 1936, s. 51—57, 157—165.

Źródłem i czynnikiem inspiracyjnym wielkiej powieści Sienkiewicza *Quo vadis* to lektura Tacita i oglądanie ruin Rzymu starożytnego. Na wyobraźnię S. wywarli też wielkie wrażenie swymi arcydziełami sztuki tacy artyści jak Matejko, J. Kossak, J. Brandt i inni. Niektóre motywy do swej powieści przejął S. też z powieści rzymskich Kraszewskiego. Do innych polskich powieściopisarzy tego typu przed S. należą Szcz. Morawski i T. J. Choiński, ten ostatni zwłaszcza był bardzo cenionym przez S. Przyjaźń z wieloma uczonymi i literatami w Warszawie i Krakowie wpłynęła też w znacznym stopniu na utwierdzenie się idei klasycznych w umyśle S. Głównym doradcą fachowym S. przy pisaniu jego *Quo vadis* był Kaz. Morawski. Na końcu art. notuję P. głosy krytyki o *Quo vadis,* oraz omawia za Bronarskim źródła i analogie *Quo vadis* z wynikiem przeważnie negatywnym. J. D.

N a t a n s o n W ł., Widnokrąg nauki, Lwów - Warszawa 1934, s. 269.

Książka podzielona jest na 8 rozdziałów. Rozdz. 1. *W Aleksandrii* (s. 5—37). N. przyjmuje, że kolebką nauk specjalnych, jak gramatyka, matematyka, geometria, medycyna, astronomia itd. była hellenistyczna Alexandreia. Nauki, które tam kwitły dzięki poparciu panujących, stały się podstawą do rozważań dla uczonych wieków późniejszych. Epokę hellenistyczną poprzedzała epoka klasyczna, która zdaniem N. zajmowała się kwestiami nie dającymi się podporządkować ludzkiemu rozumowi ni zmysłom. — Platon, i jego poprzednicy, unosi się w świat idej, pełny fantazji i bajeczności. Dopiero czasy alexandryjskie wyłaniają z siebie uczonych, którzy dzięki swej pilności i racjonalistycznej metodzie kładą podwaliny pod ogromną budowlę nauk specjalnych. — Rozdz. 2. *De rerum natura* (s. 38—75). Lucretius pisząc swój poemat o naturze chciał uprzystępnić swym rodakom pogląd filozoficzny Epikura wzgl. atomistyczną budowę świata według objaśnień Demokrita. Atomy Demokrita są wieczne, choć ciała podpadają ustawicznej przemianie. U Lucretiusa atomy to *semina* lub *primordia rerum*. Cechą ciał, w wielu zjawiskach niezmienną, jest ich dynamiczna masa, tak pisał L. Z nauki L. odrzucamy dziś to, co jest w niej błędne, lecz musimy szanować to, co jest nieśmiertelne, a jest nim umiłowanie piękna w naturze. Filozofia epikurejska dopatrywała się we wszystkich zjawiskach przyrody niepowściągniętą, namiętną walkę, w przeciwieństwie do Stoików, którzy we wszystkim dopatrywali się 'pięknego spokoju, ładu i składu'. Według N. wizja świata i światów, które dał nam L., jest śmiałym atakiem, próbą szczerą, gorącą; ale kończy się klęską. Dalsze rozdziały poświęcone są nowszym dziejom nauki: Michał Faraday, James Clerk Maxwell, Henry Cavendish. Szkice z przeszłości Cambridge, Fragmenty: Wiliam Shakespeare, O poznawaniu i pojmowaniu natury, Na widnokręgu cywilizacji, Przemówienie wygł. w Uniw. Jag. 15 maja 1930 r. Lektura tych studiów o antyku, widzianym przez przyrodnika-humanistę, posiada dziwny urok właśnie dzięki szerokim horyzontom, od których myśmy już odwykli. J. D.

G o r d z i e j e w V l a d., De prologo *Thesmophoriazusarum*. Odb. z Eos 1937, s. 1—31.

G. stwierdza, że prolog *Thesmophoriazus* pod względem charakteryzacji osób, treści, akcji i dowcipów niczym nie różni się od prologów innych komedyj A., kontaminowany nie jest; akcja i treść prologu dramatycznie i psychologicznie sobie odpowiadają. Wszystkie węzły dramatyczne, które w ciągu komedii znajdują swe rozwiązanie, mają swój początek w prologu. Epeisodiów zawartych w prologu nie da się odłączyć od reszty fabuły. Wiemy jednak skądinąd, że prolog *Thesmophoriazus* był zupełnie inny od obecnie nam zachowanego. Wypadałoby z konieczności przyjąć według G., że i cała komedia nie była tą, którą dziś posiadamy. Kwestję tę pozostawia G. otwartą. J. D.

M a ł u n o w i c z L e o c a d i a, De ara Victoriae in curia Romana quomodo certatum sit (Rozprawy i Materiały Wydziału I Twa Przyjaciół Nauk w Wilnie, tom IX, zeszyt 2), Wino 1937, s. 122.

Po krótkim wstępie orientującym treściwie o źródłach tekstowych,

dotychczasowych monografiach i literaturze pomocniczej do zagadnienia, autorka traktuje zagadnienie w 3 rozdziałach: I. Edykt Gratiana z r. 382, znoszący ołtarz Victorii w Senacie, II. Starania pogan o zniesienie tego edyktu, III. Właściwe znaczenie tego sporu. Studium to jest, o ile mi wiadomo, jeśli nie najgruntowniejsze, to w każdym razie najobszerniejszą pracą nad tym zagadnieniem. Z góry nie należało oczekiwać wiele rewelacyj — na to źródła są z jednej strony zbyt apodyktyczne, z drugiej zaś strony — o ile chodzi o egzekutywę dekretu, o wprowadzenie w czyn zarządzeń Gratiana — zbyt ogólnikowe. W takim stanie rzeczy zadanie uczonego jest dość niewdzięczne: jeżeli chce przynieść coś nowego, to już nie może się opierać na tym, co teksty mówią, lecz na tym, co przemilczają lub pomijają. Tej pokusie nie oparła się M. i wszystkie nowości, które wnosi w stosunku do poprzedników, opierają się na argumentach *ex silentio,* tym razem bardzo wątpliwej wartości. Do spraw tych należy data pierwszego usunięcia ołtarza Victorii i data jego restytucji. Usunięcie ołtarza M. łączy z pobytem Constantiusa w Rzymie (r. 357). — Jest to wysoce nieprawdopodobne, gdyż właśnie ten pobyt, podczas którego Constantius po raz pierwszy zetknął się z rzymską szlachtą i magistraturą, wywarł na nim głębokie wrażenie i wpłynął na złagodzienie bezwzględnego wobec pogan ustawodawstwa i przywrócenie dotacyj dla kapłanów złączonych z magistraturą. Usunięcie ołtarza Victorii nie stanowiło dla Constantiusa specjalnego etapu w walce z pogaństwem, lecz mieściło się w ogólnych zakazach kultu rzymskiego. Tak samo nie jest prawdopodobne, by Constantius pozwolił na restytucję ołtarza. Jeżeli M. idzie za bardzo kompromisowym de Broglie, który ze słów Ambrosiusa (Ep. XVIII 32): „Constantius... iussit auferri (aram), non iussit reponi", wyczytał fakt, że Constantius nie zarządził, ale milcząco zezwolił na restytucję ołtarza, to dziwimy się rzeczywiście, jak tu filolog może sekundować historykowi, jakim był de Broglie, który wbrew brzmieniu słów chce w usunięciu ołtarza Victorii widzieć tylko tymczasowe, obliczone na ów pobyt r. 357, zarządzenie władz rzymskich. Wręcz przeciwnie ja wyczytuję ze słów tych to: mimo że Constantius w r. 357 restytuował dotacje kolegiów kapłańskich, nie uległ prośbom senatorów, gdy chodziło o restytucję ołtarza Victorii. Interpretacja autorki jest niemożliwa, a opinio communis, która łączy restytucję ołtarza z buntem Iuliana, ma rację. Ponieważ restytucja ta mieściła się w ramach ogólnej restytucji religii rzymskiej, nie ma o niej specjalnej wzmianki. — Podobnie nieudana jest druga nowość, mian. szeroko traktowana kwestia, czy usunięcie ołtarza pociągnęło za sobą usunięcie statui Victorii. Ponieważ mowa jest wszędzie tylko o ołtarzu, uważa M., że statua została na miejscu, a usunięto tylko ołtarz, by zapobiec scenom ofiary. Jest to może bystra obserwacja, ale bystrość ta nie była tu na miejscu. Niewątpliwie zna M. słynną *Ara Pacis Augustae.* Nie wiadomo mi jednak, czy 'bogini' Pax miała tam statuę, a raczej wiadomo, że jej nie miała, mimo że istniał jej prototyp w Eirene Kephisodota; bo była to *ara pacis Augustae.* Podobnie i ta Victoria w senacie była *ara victoriae Augustae* nad Antoniusem i Kleopatrą, jak z daty (V kal. 29 r.) wynika: ołtarz był mniej momumentalny, ale właśnie on był owym przybytkiem kultowym, dla którego Augustus przeznaczył Nikę tarentyńską: konsekracja i dedykacja mogły

się odnosić tylko do ołtarza. Statua była więc akcesorium do ołtarza, a nie odwrotnie ołtarz do statui; śmiało można tu wciągnąć analogię z kościołów katolickich, gdzie wstawienie lub usunięcie ołtarzy łączy się zupełnie naturalnie z odpowiednim obrazem lub figurą ołtarzową, z którą ołtarz stwarza przecież architektoniczną całość.

Tak niejeden szczegół jeszcze wywołuje nasze zastrzeżenia. Największe naturalnie rozdział końcowy, gdzie M. wyjaśnia, że walka o ołtarz Victorii dla Symmachusa i jego stronników była tylko pretekstem dla obrony przywilejów materialnych religii rzymskiej, więc walka ekonomiczna pod płaszczykiem religijnym. Ta ciasnota horyzontu, to ignorowanie tragizmu ginącego świata i ostatnich jego Mohikanów, to przeoczenie ówczesnego odrodzenia pogańskiego (równoległego do rozkwitu chrześcijaństwa) i redukowanie całości zagadnienia do typowo antykwarskiej ciekawostki jest niemiłym akordem końcowym, i prześciga w płytkości jeszcze adwokacką argumentację Ambrosiusa. My historycy religii widzieliśmy dotąd w sporze o ołtarz Victorii symptomatyczną walkę o ostatni publiczny symbol kultu rzymskiego, ostatnią redutę. Że wchodziły tu, jak w każdej organizacji religijnej i w każdym konkordacie, w grę także interesy ekonomiczne, było naturalne, zwłaszcza, że i tu chodziło tylko o obronę t r a d y c y j n y c h dotacyj.

Co do składu senatu trzeba było uwzględnić studia Jana Sundwalla (Åbo) o senacie późnorzymskim. W bibliografii nie uwzględniono polskich pozycyj: St. Więckowskiego (*Z dziejów ostatniej reakcji pogańskiej w Rzymie starożytnym,* w Przegl. Klas. III 1937, 27—78) i rzeczy mojej pt. *Koniec religii starożytnej* (Teksty Filomaty nr. 44 a), podającej przedruk relacji Symmachusa i odpowiedzi Ambrosiusa. W streszczeniu polskim powtarza się dziwny wyraz *poganizm* zam. *paganizm* wzgl. *pogaństwo.* R. G.

A u e r b a c h M a r i a n, Opieka społeczna w starożytnej Grecji (Odbitka z Przeglądu Społecznego, nr. X i XI, 1937 r.), s. 21.

Opieki społeczne — nawet dziś, po tylu teoriach socjalnych jeszcze nie zupełnie skrystalizowane — pojmuje A. słusznie bardzo szeroko, w sensie wsparcia lub jakiejkolwiek subwencji ze strony jednostek, społeczeństwa lub rządu. Bardzo pouczające jest zestawienie bogatego materiału od Solona i jego seisachthei aż po czasy późnorzymskie. Całość zyskałaby na plastyczności, gdyby autor przeprowadził paralele historyczne, zwłaszcza z czasami nowożytnymi lub z współczesnością. — Ponieważ zaś tylko tu i ówdzie o analogiach napomyka — dla laika będzie praca ta miała tylko posmak egzotyczności, chociaż i on niewątpliwie uzna, że starożytność pod tym względem nie pozostała w tyle za nami, a raczej w daleko szerszych niż my ramach uprawiała społecznictwo. Nie znalazłem w rozprawie ani słowa o szpitalnictwie u Greków, a niewątpliwie każdy czytelnik zapyta, czy ono w Grecji nie istniało. Warto więc było wspomnieć choć jednym słowem o Asklepieiach i opiece zdrowotnej w Helladzie, która jako istotna część opieki społecznej dotrzymywała kroku innym dziedzinom. Na uznanie zasługuje też, że A. mimo popularnego charakteru swego studium wszędzie daje solidną dokumentację naukową z ścisłymi cytatami. Oczekujemy dalszego ciągu w postaci studium o rzymskiej opiece społecznej. R. G.

Ziembicki Witold, Aforyzm „Vita brevis, ars longa" i jego autor. Wykład wygłoszony w czasie uroczystego otwarcia Domu Lekarskiego we Lwowie, dnia 9 maja 1937 r. (Odbitka z Polskiej Gazety Lekarskiej nr. 36, r. 1937), Lwów 1937, s. 11.

Na 5 płaszczyznach prostokątnych, biegnących w poziomym szeregu pod oknami I piętra Domu Lekarskiego we Lwowie, umieszczono część pierwszego zdania Aforyzmów Hippokratesa: *Vita brevis — ars longa — occasio praeceps — experientia fallax — iudicium difficile.* Interpretacją tego tekstu zajmuje się pierwsza część odczytu. Pomyślany dla szerokiego ogółu, przybyłego na tę uroczystość, z natury rzeczy nie mógł się wdawać w roztrząsania zbyt fachowe, zwłaszcza że aforyzm ten nie należy do łatwych. Nie podkreślono, że wedle autora βίος *(vita)* składa się z niezliczonych καιροί (momentum, occasio) szybkomknących, tak jak τέχνη (ars) z niezliczonych πεῖραι (experimenta) i κρίσεις (iudicia), prób i sądów. Taka paralelizacja wydobywa to zdanie z półmystycznego mroku, którym go się więcej otula i najwyraźniej wskazuje, iż autor przy jej wypowiadaniu bynajmniej nie miał na myśli specjalnie sztuki lekarskiej lub w ogóle lekarza, lecz człowieka i jego zawód (τέχνη), jakimkolwiek by nie był. Jest to wyznanie raczej pesymizmu greckiego, o którym H. Diels napisał tak piękne studium, a zdanie ὁ βίος βραχύς, ὁ δὲ καιρὸς ὀξύς jest doskonale komentowane przez Horacego c. I 11, 6 nn.:

...et spatio brevi
spem longam reseces! Dum loquimur, fugerit invida
aetas: carpe diem, quam minimum credula postero.

Horatius co prawda z tych założeń wyciągnął epikurejski wniosek: *sapias: vina liques,* Autor aforyzmu, który nie jest poetą ani też epikurejczykiem, lecz lekarzem, myśli o swej sztuce, wielkiej i wiecznej, z której dzięki ograniczoności życia może opanować tylko drobny odcinek wątpliwej wartości, złożony z πεῖρα i κρίσεις, jak każde rzemiosło.

Dalszy ciąg odczytu daje krótki zarys życia i nauki Hippokratesa i kończy porównaniem lekarza starożytnego z dzisiejszym. Z. dodał jeszcze bibliografię (w niej też W. Ziembicki, Lekarz w pojęciu Hippokratesa [Nowiny Lekarskie 1934]). Całość jest pięknym, głęboko przemyślanym hołdem dla medycyny starożytnej. R. G.

O program pracy naukowej i oświatowo-kulturalnej Lwowa i województw południowo-wschodnich Rzeczypospolitej. Przemówienia pana Ministra WR i OP prof. Wojciecha Świętosławskiego, prof. Łempickiego i prezesa prof. Franciszka Bujaka, wygłoszone na uroczystem posiedzeniu Twa Naukowego we Lwowie dn. 10 marca 1936, Lwów 1936, s. 40.

Mowy te o różnym charakterze — p. Minister dał wskazania, Łempicki przedłożył postulaty kulturalne naszej dzielnicy — zmierzają zgodnie do jednego celu: do podniesienia poziomu kulturalnego i zwłaszcza też naukowego w tutejszym życiu. Piękna mowa Łempickiego starała się przede wszystkim wykazać, czem Lwów jest dla Rzeczypospolitej — mian. ważnym ogniskiem i żywym ośrodkiem ruchu naukowego i oświatowego (brzydkie: *prima charitas ab ego* s. 19 można było sobie darować: o ile pamiętam, brzmi ta zasada etyki scholastycznej tak: *caritas bene ordinata incipit a se ipso).* Wspominając o tym, że lwowska

filologia klasyczna „stworzyła w naszym mieście bujne, propagandowe, głębokim entuzjazmem owiane ognisko renesansu ruchu filologicznego w Polsce“ (w żywym wykładzie Łempicki wymienił tu wprost ruch Filomatów — w druku opuścił to), trzeba było dodać, że odrodzenie to odbywa się bez subwencji, nawet bez szczególnej życzliwości Ministerstwa WR i OP, jako też organizacja odpowiedniej pracowni filologicznej dla tego odrodzenia wbrew wszelkim trudnościom i gęstym niechęciom najbliższych kolegów. Dlaczego zataić pewne rzeczy przed p. Ministrem, który po to przyszedł, by dowiedzieć się faktów i prawdy?

Franz von Bossowski, Die Abgrenzung des mandatum und der negotiorum gestio im klassischen und justinianischen Recht. Ein Beitrag zur Lehre von der Konkurrenz der Klagen (Archiwum Twa Nauk. we, Dział II, t. XX, zeszyt 2), Lwów 1937, s. 156.

Studium to, ważne też dla zrozumienia stosunków prawnych w epoce klasycznej, i zwłaszcza Cicerona, przedstawia rozwój tzw. mandatum: ‘kontrakt zlecenia’ był pierwotnie „umową zawartą pomiędzy ludźmi o równej pozycji socjalnej o nieodpłatne załatwienie przez jednego jakiejś sprawy, leżącej w interesie drugiego: tego rodzaju załatwienie sprawy było przysługą przyjacielską i leżało poza sferą prawa“, więc np. kupno domu, cesja na rzecz trzeciego, podjęcie się zarządu cudzym majątkiem. itd. W przeciwieństwie do tego stoi *procuratio* (pełnomocnictwo), *negotiorum gestio,* która jest odpłatna, i w prawie justiniańskim stanowi szczególny wypadek pojęcia ‘kontraktu zlecenia’. R. G.

Collectanea Theologica ann. XVIII 1937, s. 563.

Z okazji 80-lecia urodzin papieża Piusa XI zestawiono pokaźny ten tom rozpraw teologicznych i kilku innych. Nas filologów — prócz łaciny czasem dziwnej, a nawet dziwacznej — interesują w tomie tym rozprawy historyczne. Br. Gładysz (Konstantyn Wielki w współczesnej mu poezji s. 63—100) przedrukowuje i omawia poezje Publiusa Optatiana Porphyriusa, powstałe na vicenalia Constantina w r. 325, dalej anonyma Laudes Domini (z r. 316—323), Iuvencusa, Evangeliorum libri IV, Prudentiusa oraz satyryczny epigram Ablabiusa. E. Bulanda (Il problema della statua Vaticana di Dioniso - Sardanapalo, s. 347—362) omawia znalezioną w r. 1761 statuę Dionysosa z zagadkowym napisem: ‘Sardanapallos’, pochodzącym może dopiero z połowy I w. po Chr. od Rzymianina, który w statui tej widział portret przysłowiowego króla wschodniego. Statua ta była przedmiotem gruntownych studiów w nowszych czasach — specjalnie zajmowali się nią L. Curtius (Jahrb. d. D. Inst. XLIII, s. 281 n.), B. Ashmole (Brit. School of Athens XXIV, s. 83 nn.), A. MacDonald (Journ. of Hell. Stud. XXIV, s. 255 nn.). W drobiazgowej analizie, obfitującej w uwagi metodologiczne i objaśnienia utworów pokrewnych i kierunków, stara się B. ustalić twórcę prototypu tej statui. W przeciwieństwie do innych, którzy myśleli o Pheidiasie, Alkamenesie, Praxitelesie lub rzeźbiarzu hellenistycznym, B. udowadnia, iż wszystkie stylistyczne cechy naprowadzają na Kephisodota, twórcę Eireny, którego zresztą już przedtem wciągnięto do dyskusji. R. G.

Skwarczyńska Stefania, Teoria listu (Archiwum Twa NNaukowego we Lwowie, Dział I, t. IX, zeszyt 1), Lwów 1937, s. 373.

Autorka, znana jako badacz literatury (np. *Ze studiów o istotności i o istocie rodzajów literackich*, w Pam. Lit. 1936, z. 3; *O pojęcie literatury stosowanej* i *Próba teorii rozmowy*, w Szkicach z zakresu teorii literatury, *O metodzie badania literatury stosowanej*, w Ruchu Lit. 1933, 133 nn. itd.) podjęła na najszerszą skalę ilustrowania swych zasad wybierając sobie list, który w nowszych czasach nie był przedmiotem monografij teoretycznych, mimo, że interesowano się historią listu. Rzecz jasna, że wszystkie studia takie w najżywszy sposób interesują nas filologów, chociaż pomyślane są w pierwszym rzędzie dla polonistów: bo teoria literatury nie może pominąć piśmiennictwa starożytnego. S. bardzo szeroko i dość gruntownie uwzględnia starożytność, średniowiecze i humanizm (s. 13, przyp. 2 mylnie mowa „o listach żony Cycerona" — dobrze to samo na s. 72 z przyp. 2). Według S. nie użyteczność, lecz mniej lub więcej ścisły związek z życiem decyduje o tem, czy jakiś rodzaj literacki należy do literatury czystej lub do stosowanej — w tej ostatniej formie mamy rodzaj literacko-życiowy. Do tego należy list ze względu na jakość tworzywa. Potrzeba go rodziła i rodzi codzień, choć z niektórych dziedzin życia wyparła go prasa, radio, telefon. W imponujących rozmiarami i wszechstronnością rozważaniach omawia S. w 12 rozdziałach życiowe, kulturalne, estetyczne, stylistyczne, kompozycyjne itd. elementy listu i jego stosunek do innych gatunków literackich. Ten sposób rozważania, a zwłaszcza zespajania literatury z życiem i kulturą, jest czemś nowym w zakresie studiów literackich. Nas filologów razi może owa płynność granic i pojęć, bośmy przywykli do wyraźnych cech i stałych rubryk. Ale tu, gdzie chodzi o nowe koncepcje literackie, o nową metodę po raz pierwszy wypróbowaną na materiale tak nieobliczalnym jakim jest list (przecież obejmuje wszystkie rodzaje listów, od kupieckich do lirycznych pień listów miłosnych i felietonowych korespondencyj prasowych), wdzięczni będziemy także za te wskazówki i uwagi, które hojną dłonią S. sypie. Nie podzielam stanowiska autorki ani co do jej teorii literatury ani co do dziejów listu: polemizując z nią, musiałbym przedłożyć własny pogląd, co już ze względu na wymagane rozmiary jest na razie niemożliwe. Są to różnicy stanowiska, tak jak może różne są nasze światopoglądy: jednak różnica ta nie wyklucza uczucia szczerego podziwu dla ogromu pracy, planowości konstrukcji, olbrzymiej wiedzy i mistrzowskiego panowania nad materiałem, o czym świadczy każda stronica. Tylko jedno mi mąciło przyjemność przy czytaniu: niedbałość korekty, dochodząca zwłaszcza w tak częstych cytatach obcych i nazwiskach do niezwykłych rozmiarów (np. s. 12, przyp. w. 1 *Werke, der* zam. *Werke der*, 2 *bewegten* zam. *bewegter*, 3 *Memoaren* zam. *Memoiren*, *aufzutrietten* zam. *anzutreffen*, 4. *Schlus* zam. *Schluss*, 5. *dokumentarischen* zam. *dokumentarischer* itd.); podane na s. 364/5 „omyłki druku" obejmują tylko drobny ułamek całości. R. G.

M i c h a ł o w s k i K a z i m i e r z, Delfy. Z 83 ilustracjami. Lwów 1937, s. 157. Państw. Wydawn. Ks. Szkolnych.

Monografia M. o Delfach jest najobszerniejszym opisem polskim w y k o p a l i s k i r u i n, i o tyle tytuł jest zwodniczy i w błąd wprowadzający. M. naturalnie, jako współpracownik oficjalnego opisu wy-

kopalisk, zna literaturę przedmiotu (w Bibliografii s. 153, są opuszczenia: najwięcej zaważyło może brak Bourguet, Delphes, 1925, mogącego służyć M. za wzór) i zabytki; ale przerażająca jest właśnie owa jednostronność archeologiczna, będąca tu specjalnie nie na miejscu, gdyż przecież Delfy są przede wszystkim wyrocznią i miejscem kultowym — a cała reszta jest tylko ornamentem i arabeską, występującą niestety w opisie tym jako właściwa treść. Całość dzielił M. na 3 części: Życie (s. 13—52), Ruiny (s. 55—110), Sztuka (s. 113—150). Ponieważ w cz. I rozdział 1 podaje odkrycie Delf (s. 13—25), więc także archeologię, to na właściwe Delfy (2. Bogowie, s. 26—34, Wyrocznia, s. 35—40, Historia s. 41—52) ze 150 stronic przypada wszystkiego 1/8 część tekstu, uszczuplona jeszcze rycinami. Ten stosunek wyraża się też w opanowaniu zagadnień i w sposobie przedstawienia: jedne z największą akribią, jak np. dzieje odkrycia inne z największą pobieżnością. Chociaż także 'fachowe' rozdziały mają cechy roboty pośpiesznej. Np. w dziejach odkryć: K. O. Müller 'bawił' nie tylko w Delfach, ale przeprowadził też wykopaliska, bodaj jako pierwszy, i on to dotarł do suterenów świątyni i odsłonił mur polygonalny (Pelasgiko) przy pomocy Schölla i E. Curtiusa; Müller nie 'nabawił się porażenia słonecznego' w Delfach i nie umarł 'kilka tygodni później' — o tem archeolog powinien jednak wiedzieć, chociażby z listu towarzysza Müllera, E. Curtiusa (*Alterthum und Gegenwart* II, s. 247—255 *K. O. Müllers letzte Lebenstage;* Müller, już chory, był w Delfach 17 do 24 lipca 1840, i umarł w sobotę 1 sierpnia 1840; przyczyną śmierci była choroba żółciowa w połączeniu z malarią, której nabawił się w bagnistej Kopaidzie koło Orchomenos). Apollon też — wbrew M. — niczego ze swych tajemnic nie strzegł: jak z Curtiusa widać (s. 249), wiedzieli wszyscy, iż ten mur był „Unterbau der Tempelterasse", a Müller przecież dotarł do suterenów samej świątyni, tylko ucznia Böckha daleko więcej interesowały napisy, aniżeli zagadnienia topograficzne lub architektoniczne, nie mogące być rozwiązane podczas pobytu obliczonego z góry na 8 dni. Takie drobne, czasem większe niedokładności przewijają się także przez dalsze ustępy: s. 17 współpracownik Foucart'a nazywał się *Wescher,* a nie *Wercher,* kierownik prac *Haussoullier* (a nie *Haussoulier),* s. 19 nie energiczna postawa Francuzów, lecz ochrona specjalnej policji umożliwiła wykopaliska. Następne rozdziały należą do najsłabszych w tej książce: dziwić się wypada, dlaczego M. napisanie tych rzeczy, jemu widocznie zupełnie obcych, nie odstąpił innemu, np. ks. Sokołowskiemu. Rozdział 2 'Bogowie' daje przede wszystkim — topografię Delf, upstrzoną także niedokładnościami; tak np. skazańców strącano nie z Flembukos (s. 27), lecz z *kakē petra,* która się znajduje na Rhodini; nie rozumiem też, dlaczego źródło Zaleska w opisie oddzielono od kotliny Pappadia, i łączono raczej z Pleistosem (s. 27). Zupełnie niewystarczające jest przedstawienie początków wyroczni, gdzie M. nam daje tylko mitologię szkolną; gdyby czytał moją rozprawę *Apollon als Heilgott* (1923), zrozumiałby, dlaczego przyjęto Apollona w Delfach, a z popularnych moich wywodów zrozumiałby rolę pythona. Że obecnie jeszcze M. śmie powtórzyć euhemeryczną interpretację Rohdego walki Apollona z pythonem jako wspomnienie najazdu Dorów (s. 29) i walki starej z nową religią, jest naprawdę symptomatycznym

dziwolągiem. Dziwnie też, że dopiero na s. 31 w związku z kreteńskim Apollonem Delphiniosem, M. uważa za wskazane wspomnieć o etymologii Delf, niestety ignorując rozprawę Rozwadowskiego *De Delphorum vocabuli origine* (Eos 1929, s. 741 n. *Delphoi = żleb, żłób*), z której mógł się dowiedzieć nie tylko prawdziwego słoworodu, ale też zbijania poglądu P. Kretschmera (r. 1893), który właśnie wyprowadził nazwę Delphoi od Apollona Delphinios; filolog zresztą nigdyby nie łączył tych dwóch wyrazów gdyż Apollon delficki nazywa się konsekwentnie A. Pythios, a nie Delphinios. Trudno też inaczej, jak tylko naiwnością nazwać to, co M. (s. 32 n.) przytacza na dowód związku między Delfami a Kretą: kozy, kalendarz, kamienny rhyton. Cały r o z d z i a ł 3 'Wyrocznia' jest aglomeratem dziwaczności religioznawczych: niczego nie wyjaśnia, a w plutarchowski sposób przytacza rozmaite dziwy 'religii' delfickiej, zupełnie w stylu starożytnych paradoxografów, i tak jak oni wie M. naturalnie więcej niż wszyscy uczeni razem, np. że laur w podziemnym adyton 'rósł obok trójnogu Pytii, która przed każdym proroctwem potrząsała jego gałęzie' (s. 35), że 'pierwotnie wyrocznia Apollona czynna była tylko raz w roku'; przez całą książkę ciągnie się bałamuctwo, że Pythia jest 'kapłanką' Apollona, i na nic przydał się mój dowód, że kapłanki (lub kapłani - rzezańcy) występują tylko w kulcie bogiń, kapłani tylko u bogów, dalej, że pierwszą funkcją kapłaństwa jest o f i a r a, M. wie też (s. 36), że pierwotnie 'na Pythię wybierano młodą dziewczynę', później 50-latkę z ludu, 'którą dla tradycji przystrajano w szaty dziewczęce'; zna on też cały rytuał we wszystkich szczegółach, ale bieda z tym, że z jednej strony wie dużo, a z drugiej rozumie stanowczo za mało; jakżeby mógł oddzielić prophetes Nikandrosa, który odpowiedzi Pythii 'spisywał w rymach heksametrów' (co to znaczy?) od exegetów wspomnianych jako 'personel pomocniczy' po kapłanach — dlatego chyba tylko, że M. nie wiedział, gdzie ich umieścić: dla nas są oni właśnie głównymi obok Pythii osobami w Delfach. Nie warto tu wchodzić w szczegóły: to wszystko jest nie tylko niedostateczne, ale pozatem bałamutne. Tu M. nie sprostał najskromniejszym wymogom monografii o Delphach, a chodziło przecież o zagadnienia najistotniejsze. Że podobne rzeczy, podają także inni archeologowie, mogłoby usprawiedliwić M., ale nie może nas pocieszyć.

Jest rzeczą niedogodną, że dokładną topografię Delf M. wplótł w opis ruin: przecież ruiny pochodzą z najrozmaitszych czasów i już na początku św. Drogi mamy walkę Argiwów z Spartiatami i podobne rywalizacje, tak że obraz dziejów św. okręgu, obraz dziejów Delf gubi się. Fakty są, fakty są nawet dobrze podane, dobrze opisane i ilustrowane planami i rycinami, ale gdybym nie był sam w Delfach i nie znał odnośnych studiów, rzeczywiście z wielkim trudem przyszłoby mi wyczytać z tej książki, jakimi były Delfy kolejno, jaki rozwój kultu i odpowiedni rozwój św. okręgu. Wszystko bowiem M. podporządkował idei archeologicznej, 'zabytkowej'; dobre to może dla przewodnika po ruinach delfickich i Muzeum, ale nam przecież tytuł obiecuje 'Delfy', rekonstrukcję Delf starożytnych, a nie przewodnik po ruinach. Właśnie ujęcie to stawia pod znak zapytania zrozumiałość i użyteczność tej książki dla niezwiedzających Delfy; mimo planów i rycin zabraknie im tego pla-

stycznego obrazu całości, a natomiast zapoznają się z szczegółami i zagadnieniami sztuki, niewątpliwie ciekawymi, ale zaciemniającymi właściwe zagadnienie: przecież kościół nie jest po to, aby przechować dobre malowidło odwiedzane przez turystów.

W miarę jak M. dochodzi do spraw archeologicznych, w których rzeczywiście się wyznaje, staje się nie tylko wymowniejszym, ale i cieplejszym. Nie na wszystkie jego poglądy bym się pisał, zwłaszcza o ile chodzi o sztukę prehistoryczną i archaiczną: za dużo tam jeszcze euhemerizmu, jak u wszystkich archeologów. W końcowych rozdziałach (cz. III Sztuka) wyczuwa się znawcę w swym elemencie, w kwestiach stylistycznych, który nareszcie pozbył się żmudnej roli kompilatora i cicerone'a, na którą skazany był przedtem: tu rywalizacja z *Delphi* (1920) Poulsena zapędziła M. może za daleko, do przełamania proporcjonalności. Gdyby inne działy i zagadnienia tej książki, gdyby 'Delfy' były opracowane w ten sam sposób, jak 'Muzeum delfickie', mielibyśmy dzieło, z którego moglibyśmy być dumni. Tak jednak 'Delfy' czekają jeszcze na swego wskrzesiciela.

Na techniczną stronę książki zwrócono dużą uwagę, krój czcionek jest może za drobny, stanowczo za drobne są obrazki - diapozytywki, które niczego nie uczą; cieszę się, że Państw. Wydawn. Książek Szk. zrywa z pruderią (ryc. 34, 55, 74, 80), z którą od lat staczam bezskuteczne walki. Za nieszczęśliwy pomysł uważam umieszczenie na czele książki Pythii Malczewskiego, nie mającej nic hellenistycznego w sobie: to raczej już dać Themidę z Aigeusem. Pisownia imion niekonsekwentna. Dlaczego *kariatyda* zam. *karyatyda?* R. G.

Z dziejów filologii klasycznej w Wilnie. Studium zbiorowe wydane staraniem Koła Filologicznego Studentów U. S. B. w Wilnie pod redakcją prof. dr. Jana Oki. Z zasiłku J. Magnifencji Rektora U. S. B., Wilno 1937, s. IX i 497.

Wielką niespodziankę i przemiłą sprawili nam Wilnianie. Że tam coś się gotowało, o tem wiedzieliśmy oddawna, gdyż piękne studia Oki o Grodku i jego seminarium z natury rzeczy były przygrywką do wielkiej, źródłowej biografii Grodka, której spodziewaliśmy się od samego Oki. Tymczasem przyszła ta książka, która daje nam więcej, bo dzieje filologii wileńskiej w epoce grodkowskiej, i zarazem dowód, że Oko potrafił wlać w grono uczniów swego ducha i rozbudzić żywy i płodny ruch filologiczny. Nigdy też fundusz rektorski wydany nie był bardziej celowo, jak na druk tego rzeczowego, ale potężnego panegiryku ku czci świetlanej przeszłości U. S. B.

'Słowo wstępne' napisał sam Oko. Nie jest to banalna przedmowa, lecz krótka i rzeczowa historia filologii w Wilnie od r. 1570, daty założenia pierwszego seminarium jezuickiego, obok którego powstała w r. 1578 Akademia, do wystąpienia Grodka. Historia ta jest na razie ogólnikowa, prawie że uboga, i tylko specjalne chyba badania będą mogły ją ożywić nazwiskami i faktami. Tak jedynym indywidualnie uchwytnym przedstawicielem filologii w Wilnie jest Maciej K. Sarbiewski, który na Akademii wykładał poetykę, potem teologię; XVII wiek reprezentuje Walenty Białowicz, autor pobożnych hymnów łacińskich, wiek

XVIII Adam Naruszewicz, któremu się należy i obszerna biografia i generalna rehabilitacja: zasługi Naruszewicza dla rozbudzenia ruchu filologicznego i kulturalnego w Polsce są ogromne, i także jego osobiste próby i dzieła na polu poezji nie tąk bezwartościowe, jak to jeden za drugim rozgłasza, nie zajrzawszy nawet do jego poezji. Jest on naszym Gottschedem: klasycyzm bez Naruszewicza jest wprost nie do pomyślenia, on dał kierunek, program, a często i wzory. Po nim mamy Dawida Pilchowskiego i Filipa Golańskiego, którzy już doczekali się monografij. Więcej chętniebyśmy wiedzieli o ks. Kaz. Rogowskim, który 'za czasów Szkoły Głównej język grecki wykładał'. Dalej wylicza Oko 'miłośników antyku': astronoma Marcina Poczobuta i Jana Śniadeckiego. Potem idzie już Groddeck i jego szkoła — ale nim oddaje Oko głos swym uczniom, daje jeszcze maleńki przyczynek pt. *Studia G. E. Grodka nad filologią w Polsce* (s. 1—32). Jest to nieznana karta dziejów filologii. Z Grodka *Initia* wiedzieliśmy, że wynotował do poszczególnych autorów wydania polskie. Oko znalazł nowe materiały archiwalne, wskazujące dowodnie, że Grodka interesowały dzieje humanizmu w Polsce tak żywo, iż nawet w pewnym okresie myślał o wydaniu naszych humanistów, i w tym celu ułożył krótki zarys biograficzny naszych humanistów - profesorów w formie informacji dla ks. Czartoryskiego z zapowiedzią ewentualnego wydania (s. 8, czyt. *Prince* zam. *Principe)*. Notatka ta opiera się całkowicie na pracach Janockiego, i poprzestaje na nich; Oko daje do niej ciekawy i gruntowny komentarz.

Po tym intermezzo zabiera głos Antoni Szantyr w studium pt. *Działalność naukowa Gotfryda Ernesta Grodka* (s. 33—356), uzupełnionym *Bibliografią* (s. 429—448), podającą nie tylko ogłoszone prace Grodka (74 pozycyj), prace pozostałe w rkp. (14 pozycyj) i korespondencję, lecz też *Literaturę o Grodku* Michała Ambrosa (188 pozycyj). Groddeck urodził się 17 listopada 1762 r. w Gdańsku jako syn orientalisty Benjamina G. (1749—1776). Nauki pobierał w Athenaeum, gdzie duch getyński już przeniknął przez Trendelenburga. W r. 1782 G. udaje się do Getyngi i zapisuje się na teologię, nie dla studium samej teologii, lecz dla zawodu nauczyciela. W r. 1784 przyjął go Heyne do seminarium. Dysertacją o Hymnach Homerowych zdobył 19 kwietnia 1786 r. doktorat i może veniam legendi, oraz został członkiem przybr. Twa Nauk. w Getyndze. Na polecenie Heynego poszedł G. w r. 1786 jako nauczyciel greckiej i łac. literatury do Puław, gdyż dotychczasowy filolog M. N. Schow objął katedrę w Kopenhadze. W Puławach pełnił do r. 1793 obowiązki domowego nauczyciela u ks. A. K. Czartoryskiego, od r. 1793—1796 u ks. Lubomirskich w Łańcucie, od r. 1796—1804 jest bibliotekarzem w Puławach, aż do powołania na katedrę literatury greckiej w Wilnie (13 czerwca 1804) i rozszerzając zakres wykładów po odejściu Tarenghiego (r. 1807) na literaturę rzymską, wykłada całą filologię klas. do śmierci (kwiecień 1825).

Groddeck znalazł pustkę i musiał wszystko tworzyć od podstaw: uniwersytet wileński miał tylko wykłady z historii i teorii literatury Pilchowskiego, Golańskiego, Euz. Słowackiego — coś w rodzaju dobrej nauki o stylu i stylistyki polskiej, w każdym razie przeżytek po średnio-

wieczu i humaniźmie szesnastowiekowym, który dla studium filologii był raczej przeszkodą niż pomocą (stosunki Grodka z Euz. Słowackim były też notorycznie złe). Przejrzał to naprawdę wielki ojciec ks. Adama Czartoryskiego, ks. generał Adam Kazimierz Cz., któremu jako kuratorowi uniwersytetu wileńskiego przyświecała taka reforma studiów jaką w r. 1737 przeprowadził w angielsko-hanowerskiej Getyndze prorektor (bo rektorem był sam król angielski Jerzy II) baron Münchhausen z tak świetnym sukcesem: tam twórcą nowego stanu nauczycielskiego był profesor filologii (katedra nazywała się po dawnemu: *eloquentiae et poeseos)* Jan Maciej Gesner, twórca seminariów (pedagogicznych i filologicznych). Dla tej w dużym stylu pomyślanej reformy upatrzył Czartoryski wychowanka tego uniwersytetu getyńskiego Grodka: obecnie z perspektywy czasów możemy ocenić, o ile zamierzenia kuratora były celowe, czy Groddeck wypełnił swoją misję i jak on ją wypełnił. Sąd historii jest niedwuznaczny: w ks. Adamie Czartoryskim czcimy nie tylko wyjątkowo świetlany charakter, trzeźwy rozum, szerokie horyzonty i ofiarny patriotyzm, ale poprostu reformatora nauczania uniwersyteckiego, godnego stanąć obok Colberta Francuzów i Münchhausena. Że nie wszystkie jego przedsięwzięcia wydały owoce, na to wpłynęły nieszczęsne stosunki polityczne, wojny i wrzenia. Zgodny też jest sąd historii, że naprawdę trudno było znaleźć bardziej odpowiedniego profesora filologii od Grodka, i że Groddeck — o ile to od niego zależało — wypełnił swoją misję bez reszty. Jednakże nie ma sensu zataić, iż działalność Grodka wydała owoce efemeryczne, i nie sięgała ani daleko ani głęboko. Nie na wszystkie pytania znajdujemy odpowiedź w tej książce, a zwłaszcza nie na ostatnią: chociaż z toku przedstawienia wynika, że Groddeck był meteorem, z którym stoi i upada filologia, nadaremnie usiłuje jego biograf za innymi operować pojęciem ‘szkoły Grodka’, której w sensie ogólnie przyjętym wogóle nie było. Tu są zagadnienia przez prace Oki i Szantyra nie rozwiązane, a jednak ważne dla dziejów oświaty i filologii w Polsce. Materiały do nich znajdujemy w tej książce. Groddeck miał przeciwko sobie ‘ducha czasu’, psychozę przyrodniczą, której rzecznikiem byli, prócz innych (jak np. prof. Jundziłła) bracia Śniadeccy wierzący w jedynie zbawczą moc matematyki, „Die Ohren gellen einem hier von lauter Physik und Mathematik in allen ihren Zweigen — pisze w r. 1809 (s. 153). — Und doch wünschte ich die grossen Physiker und Mathematiker zu kennen, die aus der hiesigen hohen Schule herausgegangen wären. Und was das lächerlichste ist; diese Überschätzung sonst sehr nützlicher und nothwendiger Wissenschaften macht, dass man die eigentlichen Schulwissenschaften, die der wahre Grund alles übrigen sind, beinahe gänzlich vernachlässigt“. Innym razem (s. 159) pisze: „Man glaubt hier, und der Rector (Śniadecki) ist gänzlich dieser Meinung, dass die Mathematik den Mangel aller übrigen Kenntnisse vollkommen ersetzt“. I naturalnie szanowni koledzy sabotażowali usiłowania niebezpiecznego nowatora („gefährlicher Neologe, der das erbärmliche Literaturgerüste zu stürzen droht“), a gdy ten w r. 1807 referował zreformowanie nauki gimnazjalnej, stworzono wprawdzie proponowany przez Grodka „Komitet Szkolny“, ale Śniadecki powołał do

Komitetu, na którego czele stanął, samych teologów: „das heisst, das Comité ist er (Śniadecki) selbst, und zum grössten Scandal wählte er mitunter solche, die er selbst als Imbeciles und unthätige Mitglieder der Universität anerkennt“: wyłączono z niego nie tylko Grodka, projektodawcę, ale w ogóle Wydział Literatury. Czasem, czytając to studium, przecieramy oczy — bo wszystko to jest przecież tak podobne, tak identyczne z tem, cośmy niedawno mieli i jeszcze mamy, łącznie z całą ‘życzliwością’ kolegów.

Tak jak Gesner, Heyne, Welcker i i. łączył także Groddeck katedrę z dyrekcją Biblioteki Uniwersyteckiej, którą z gruntu zmodernizował. Dalsza troska była o drukarnię nowoczesną — on najgoręcej popierał usiłowania Zawadzkiego, który otworzył w Wilnie drukarnię z firmą nakładową. Poco taki nacisk położył na drukarnię, miało się pokazać niebawem. Mianowicie Groddeck chciał też, wzorem potentatów filologicznych w Niemczech (np. Heyne w Götting, Gelehrte Anzeigen, Klotz w Haller Allgemeine Literaturzeitung itd.) mieć swój organ prasowy, któryby rugował dotychczasową krajową lichotę periodyczną, jak Krasickiego *Co tydzień* lub Włodka *Kurier Litewski.* W tej nadziei brał udział w uniwersyteckim miesięczniku *Dziennik Wileński,* ale gdy Śniadecki przeobraził pismo to na fachowe i praktyczne, podczas gdy Groddeck żądał literackiego, Groddeck porzucił Komitet redakcyjny, i zabrał się jeszcze w r. 1805 do wydania tygodnika *Gazety Literackiej* (= Humanistycznej) Wileńskiej, wzorowanej na *Jenaer Allgemeine Literaturzeitung.* Wydał ją Zawadzki w nakładzie 500 egz., ale kosztem autora, tzn. Grodka; abonentów miała 87 (okręg wileński miał wtedy 70 gimnazjów), co naturalnie nie wystarczyło do pokrycia kosztów. To już po roku przestała wychodzić zarówno Gazeta L. W. jak i Dziennik Wileński, i po całym tym epizodzie pozostały Grodkowi tylko przykre wspomnienia i jeszcze przykrzejsze — długi, które go gnębiły przez wiele, wiele lat. Nie dziwimy się przeto, że Groddeck do tego eksperymentu już nie powrócił. Przecież zrobił swoje: pokazał jak należałoby to zrobić. *Tygodnik Wileński* Lelewela i nowy *Dziennik Wileński* szeroko korzystają później z tych doświadczeń. Wdzięczni jesteśmy Szantyrowi za gruntowne przedstawienie właśnie tego epizodu działalności Grodka, i szczere gratulacje składamy mu za tak przekonywujące rozwiązanie rebusowych podpisów pod recenzjami, które dopiero wyobrazowują, jakie duże i szerokie okno Groddeck otwierał z widokiem na Europę zachodnią, której duch i powietrze tędy raźnym strumieniem wtargnęło do Polski. Mając za sobą podobne przygody wydawnicze i kłopoty (podobne, a może i większe), nie dziwię się, że Gr. im uległ i w ruinie dążył do ocalenia szczęścia osobistego. Jako Niemiec i tak na więcej dla Polski się zdobył niż reklamujący się patriota...

Ale urywam. Materiały te są bardzo suggestywne i kuszą poprostu do snucia refleksyj na ich marginesach. Teraz dopiero biografia Grodka będzie możliwa. W ocenie uczonego może za wysoko Szantyr stawia Grodka: on był raczej — o ile widzę — pedagogiem i popularyzatorem, aniżelli twórcą nowych pomysłów i teoryj: nie wynalazczość, lecz dostosowanie jest jego wielkim talentem. Jego metoda, jego drogi są

nowe, ale tylko w bezdrożach Polski: metoda i drogi są niemieckie, a tłumacze na usługach Grodka wskazują je Polakom. Nawet wśród rozpraw jego ściśle naukowych — znam tylko niektóre — nie ma uderzających nowości, lecz tylko rozsądny eklektycyzm. Jeszcze więcej — Groddeck nie silił się nawet na oryginalność. I właśnie w tym braku oryginalności, twórczego geniuszu widzę jedną z najważniejszych przyczyn ograniczoności wpływu Grodka. Bo z chwilą, gdy uczniowie jego czerpali bezpośrednio z dzieł niemieckich, prysnął też czar mistrza, i zostały tylko pedagogiczne chwyty. Inaczej o tym sądzi Szantyr w końcowych uwagach: jest pełen podziwu dla swego bohatera, wzoru wszelkich doskonałości. Uległ bowiem czarowi Grodka, jak niegdyś jego uczniowie...

A obok Grodka uczył jakiś czas *ks. Paweł Tarenghi* (1767—1830), któremu Zofia Abramowiczówna poświęca osobne studium (s. 357—394): sama nieraz daje do zrozumienia, jaki niezasłużony to honor dla tego Włocha, który powołany w r. 1804, uczył przez niespełna 3 lata (1805/7), i z chwilą, kiedy jego protektor, rektor Stroynowski, ustąpił i przyszedł Jan Śniadecki, musiał zrzec się katedry wskutek pijaństwa. Nie był on uczonym, lecz wierszokletą łacińskim. Katedry po nim nie obsadzono, lecz wykłady łacińskie powierzono Grodkowi i adiunktom.

Pełen smętku jest życiorys *Jana Stan. Kostki Hryniewicza* (1791—1866), który mu poświęcił z całym pietyzmem Aleksander Zujewski (s. 395—428). Hryniewicz był następcą Krakowianina Münnicha (1825—1829) i zarazem ostatni profesor filologii (1829—1832), gdyż w r. 1832 ukazem cesarskim uniwersytet zamknięto, a w r. 1832—1840 wykładał łacinę w Akademii Lekarskiej i w rz.-kat. Seminarium Duchownym, wydając wzorem Grodka, ale daleko mniej inteligentnie, przedruki tekstów dla celów swoich kursów. Ugrzązł on zupełnie w elementach łaciny i zainteresowań naukowych ani śladu. Zmierzch humanizmu — belferka, która może być zawodem (lubianym lub nienawidzonym — to zależy od temperamentu), ale nie wiarą i światopoglądem. Hryn. zrywa z filologią z chwilą przejścia na emeryturę; wtedy tłumaczy francuskie powieści i dzieła historyczne, zajmuje się filozofią i farmakologią. Taki to niechlubny koniec ‘szkoły Grodka’, której facit ilustruje *Wileńska bibliografia filologii klasycznej za l. 1800—1830* (444 pozycyj) Michała Ambrosa (s. 449—483).

Pietyzm, z którym oświetlono i te słabe, ginące refleksy geniuszu Grodka, jest wzruszający, ale nie chroni nas od zwątpienia i pesymizmu. Jeden człowiek stworzył całą świetność, jeden człowiek przez 20 lat był rzecznikiem zachodniego humanizmu, ale nie potrafił porwać rzesz młodzieży — tylko Niemca Lelewela i przelotnie kilku wybrańców: wystarczyło to jednak, by dać epoce tej nowe oblicze i pokazać ją nam w świetlanej aureoli. Mierząc jej dzieła z naszymi, moglibyśmy być dumni z siebie — a jednak czujemy, że nie dosięgliśmy Grodka: o tyle wyżej stoi jego intencjonalność od martwych dzieł naszych: nie w dziełach, nie w uczoności, leży wielkość, lecz w celach i w programie, w wierze w kulturalne i zbawcze posłannicto humanizmu, i w irracjonalnej, bezinteresownej intencjonalności...

R. G.

KRONIKA

PRZEGLĄD WYKOPALISK

Prace wykopaliskowe, prowadzone w Iraku na północ od Bagdadu przez Orientalny Instytut Uniwersytetu w Chicago, obejmowały do 1935 r. miejscowości Tell Asmar i Khafaje. Według relacyj kierownika ekspedycji prof. H. Frankforta, odkopano w Tell Asmar stopniowo 27 warstw budowli, które narastały przez okres lat ok. 1000, tj. począwszy od warstwy najstarszej, datującej się z przed 3500 r. prz. Chr. Na podstawie znalezionych po raz pierwszy w dziejach wykopalisk babylońskich kultowych statuetek ustalono, że była to świątynia, poświęcona bogu i bogini urodzaju. Osobliwością wykopalisk było odkrycie np. w jednej z warstw 663 stłuczonych kubków, używanych prawdopodobnie w czasie dorocznego święta godów boga i bogini urodzaju, podczas którego każdy uczestnik rozbijał swoje naczynie.

W miejscowości Khafaje odkopano świątynię boga księżyca Sin z ogromną ilością różnorodnych cennych zabytków (o czym por. sprawozdanie w Przegl. Klas. 1935, p. 730). W międzyczasie wykopaliska rozszerzyły się na sąsiednią miejscowość Ishchali, położoną o trzy mile bliżej Bagdadu, niż Khafaje, gdzie po raz pierwszy przeprowadzone wykopaliska pozwoliły odsłonić sanktuarium bogini Isztar Kititum. Zachowało się ono w nadzwyczaj dobrym stanie i wraz z zabytkami należy do tzw. epoki Abrahama, przypadającej na okres ll. 2100—1900 prz. Chr.

W 1936 r. natrafiono na teren nietknięty dotychczas przez archeologów, mianowicie na kompleks wzgórz, zwany Tell Agrab. W oparciu o doświadczenie poprzednich wykopalisk, ekspedycja, już na podstawie samej formacji powierzchni terenu, ustaliła położenie świątyni, otoczonej z trzech stron wyższymi wzgórzami, pokrywającymi ruiny domów, z czwartej zaś strony odkryto mur starożytnego miasta, wzmocniony półokrągłymi wieżami w odstępach wynoszących 19 m. Widoczna różnica poziomu świątyni i otaczających ją budynków prywatnych pochodzi stąd, że świątynia, starannie przez wiernych konserwowana, rzadziej wymagała całkowitej przebudowy, natomiast budynki mieszkalne często ulegały całkowitemu zniszczeniu, a gruzy starych domów stawały się fundamentem nowych. W ten sposób poziom domów wzrastał niewspółmiernie w stosunku do poziomu świątyni. Podczas kampanii wykopaliskowej zbadano najwyższą warstwę świątyni, w której odkryto trzy przybytki. W jednym z nich znajduje się niezwykle wysoki ołtarz, a przed nim dwa rzędy czworobocznych stołów ofiarnych. Wąskie drzwi prowadzą do ubikacji,

jakby do naszej zakrystii, złożonej z dwóch izb, w których znaleziono ogromną ilość zabytków. Spośród kamiennych statuetek, zachowanych zarówno w całości, jak i we fragmentach, zwracają uwagę dwie główki męskie dziś bez zarostu. Niezwykłe to w sztuce sumeryjskiej zjawisko objaśnił prof. Frankfort, stwierdzając na podstawie śladów, że główki te pierwotnie miały włosy i brody, ale wykonane ze smoły ziemnej *(bitumen)*, która z czasem uległa zniszczeniu. Ilościowo największą zdobycz wykopalisk stanowi kolekcja przeszło 400 kamiennych głowic maczug, które prawdopodobnie służyły jako broń gwardzistów świątyni. Jednakże wartość archeologiczna tych znalezisk jest niewielka, ponieważ podobne znajdowano w rozmaitych krajach i to w zbyt długich okresach, aby stanowiły probierz chronologiczny. Najbardziej natomiast godnymi uwagi są dwa ułamki walcowatej wazy z zielonego steatytu, nie ze względu na wazę jako taką, ponieważ należy ona do klasy naczyń, której wiele przykładów jest znanych, ale ze względu na sceny dekoracyjne, zachowane na fragmentach. Jedna z nich przedstawia człowieka siedzącego przed fasadą świątyni, z której zachowały się jedynie drobne resztki, ale one właśnie pozwalają łączyć oba fragmenty w całość. Na drugim bowiem fragmencie jest przedstawione wnętrze tej samej świątyni, w której wielki garbaty byk stoi przed jedzeniem. Wydatny, charakterystycznie zakrzywiony nos owego człowieka nie pozwala wątpić, iż pochodzi on z Mesopotamii. Jednakże łączność tego człowieka z garbatym bykiem jest wielką niespodzianką, ponieważ z jednej strony wiadomo, że w Mesopotamii nie hodowano garbatych byków, z drugiej zaś nieznane są sceny, które wskazywałyby, że w Mesopotamii oddawano cześć zwierzętom. Kult zwierząt jest natomiast najbardziej pospolitym motywem na pieczęciach znalezionych w dolinie Indusu, przy czym w większości wypadków występuje garbaty byk ustawiony przed jedzeniem. Fragmenty wazy z Tell Agrab, zdaniem prof. Frankforta, stawiają problem indosumeryjski na nowej płaszczyźnie. Dotychczas bowiem znaleziono tylko przypadkowe oznaki istniejących stosunków handlowych między krajem Sumeryjczyków a krajem Indów, ale te łatwo objaśnić jako rezultaty okre-





Byk przed jedzeniem w świątyni; człowiek siedzący przed fasadą świątyni.

sowego zetknięcia się lub handlu. Skoro jednak w siedzibie sumeryjskiej znaleziono dowód żywotności indyjskiego kultu, fakt ten wskazuje, że prawdopodobnie ok. 3000 r. prz. Chr. okolice, oddzielające Indie od Mesopotamii, mniej były pustynne, niż obecnie, a zatem prócz drogi morskiej istniała także lądowa, stanowiąca podstawę ciągłości kultury od Indyj do Mesopotamii. Być może, że wykopaliska, świeżo prowadzone przez A. Steina w Beludżystanie i w południowej Persji, rzucą jaśniejsze światło na to zagadnienie.

Świadectwo powyższych fragmentów kamiennej wazy zostało potwierdzone przez wazę malowaną, wydobytą już w czasie tegorocznej kampanii wykopaliskowej. Należy ona do malowanej keramiki datowanej na ok. 3000 r. prz. Chr. Dekoracja brzuśćca tego naczynia jest obramowana i podzielona na części listwami, obejmującymi dwie sceny główne, z których jedna przedstawia byka uwiązanego wewnątrz jakiegoś budynku, druga zaś trzy postacie kobiece. Kobiety, zdaje się, uderzają w cymbały lub bębny i niewątpliwie pozostają w związku z bykiem, będącym przedmiotem ich czci. Jest to zatem drugi dowód, że w Mesopotamii utrzymywano i przypuszczalnie czczono byki w świątyni. Tegoroczne wykopaliska prócz odsłonięcia ścian, należących do wcześniejszego okresu świątyni, oraz odkrycia małego pokoju, przytykającego z prawej strony do sali ołtarzowej, pomnożyły znacznie liczbę dotychczas uzyskanych zabytków w postaci figurek z miedzi, rzeźbionych naczyń kamiennych, amuletów i pieczęci. Spośród znalezisk wyróżnia się miedziany wózek zaprzęgnięty w cztery osły, ważny przede wszystkiem jako nowy argument świadczący przeciw temu, żeby starożytni Sumeryjczycy używali koni. Zaprząg mimo małych rozmiarów (ok. 9 cm.) oraz zniszczenia, jakiemu uległ materiał, wykazuje niezwykłe bogactwo szczegółów, co pozwoliło



Zaprząg czterech osłów.

na dokładną jego rekonstrukcję. Woźnica, osłonięty jedynie wysoko podkasaną spódnicą, stoi na wozie w stosunkowo trudnej pozycji, jeżeli zważy się brak sprężystości takiego wozu, poruszającego się po nierównym gruncie. Stopy jego spoczywają na wąskiej listwie, przytwierdzonej do osi wozu, a kolanami obejmuje przednią część wozu sięgającą mu do piersi. Do przedniej części wozu jest przymocowany dyszel zakończony jarzmem, przytwierdzonym jedynie do chomąt środkowej pary osłów, podczas gdy para zewnętrzna jest dołączona do jarzma sąsiadów za pomocą krótkich szlei. Lejce woźnicy są umocowane jednym końcem do pierścieni, przeprowadzonych przez górne wargi zwierząt, drugi zaś ich koniec owinięty jest dokoła przedniej części wozu. Koła wozu, sporządzone z trzech spojonych ze sobą części drzewa, zwracają specjalną uwagę tym, że ich krawędzie są zaopatrzone w grube gwoździe, umożliwiające prawdopodobnie lepsze zaczepianie wozu o powierzchnię ziemi. Takie wozy, jak przypuszcza prof. Frankfort, były używane podczas walki. Wartość powyższego zaprzęgu jest tym większa, że jest to jedyna grupa znaleziona w warstwie świątyni, której czas powstania sięga ok. 3000 r. prz. Chr.

Równocześnie z wykopaliskami w Tell Agrab kontynuowano prace archeologiczne w Khafaje. Ostatnie komunikaty ekspedycji donoszą, że w świątyni boga Sin przeprowadzono całkowity przekop w obrębie sanktuarium aż do najgłębszej warstwy, pod którą ukazała się już tylko woda zaskórna. Przekop wykazuje szereg warstw ruin świątyni z dwóch epok, z których pierwsza sięga 2700 r. prz. Chr., druga zaś ok. 3000 r. prz. Chr. W przekroju terenu, należącego do starszej epoki, odcina się wyraźnie pięć warstw, odpowiadających pięciu przebudowom świątyni. Przy każdej bowiem rekonstrukcji niwelowano stary budynek, a część jego ścian zużywano jako fundamenty dla budynku nowego. Ściany z wykutymi niszami zachowały gdzieniegdzie ślady dekoracji w formie inkrustowanych trójkątów z masy perłowej, wapienia lub jaspisu. W najniższej warstwie odkryto sanktuarium, długą salę z ołtarzem zbudowanym z cegieł. Wzdłuż świętego przybytku mieszczą się cztery małe ubikacje, z których najmniejsza pozwala przejść na dziedziniec przed świątynią. Tuż przy wejściu znajduje się okrągły ołtarz wzniesiony z surowej cegły. Po drugiej stronie dziedzińca odsłonięto magazyny, dwa piece piekarskie i kuchnię. Tegoroczne wykopaliska przyniosły nadto nowe znaleziska, z których najciekawsze pokrótce opiszę. W warstwach epoki wcześniejszej, tj. sięgającej 2700 r. prz. Chr., znaleziono poszczególne, ale nie wszystkie, fragmenty kamiennej płyty wotywnej, zaopatrzonej w imiona ofiarodawców, prawdopodobnie przedstawionych w reliefie płyty. Są to dwaj mężczyźni, z których starszy, zapewne ojciec drugiego, zdaje się celem zabezpieczenia się przed chłodem zimy mezopotamskiej, okryty jest płaszczem z karbowanej wełny, a na głowie ma coś w rodzaju wełnianej lub futrzanej czapki. Natomiast młodszy mężczyzna do połowy ciała obnażony, odziany jest jedynie w długą z karbowanej wełny spódnicę, pospolicie używaną w tej epoce. Najbardziej interesującymi znaleziskami z warstw epoki starszej (ok. 3000 prz. Chr.) są pieczęcie, zadziwiające różnorodnością formy i treści przed-

stawienia. Spośród pieczęci, znalezionych w roku bieżącym, jedna np. ma formę walca z zielonego kamienia, inkrustowana od góry i od dołu pierścieniami z masy perłowej, a zakończona srebrnym imadłem z otworem, przez który niegdyś był przeprowadzony sznurek celem zawieszenia pieczęci. Odcisk daje piękny w rysunku relief, przedstawiający dwa rzędy byków wokół zagrody. Jest to przypuszczalnie urzędowa pieczęć kapłana zawiadującego trzodą świątyni. Druga pieczęć odznacza się tym, że jej wierzchołek ma inkrustację z trójkącików, wyciętych z czerwonego jaspisu i masy perłowej, a osadzonych na przemian przy pomocy smoły ziemnej barwionej na czerwono. Odcisk o mniej starannym rysunku, niż otrzymany z poprzedniej pieczęci, przedstawia kozły obgryzające liście z drzewa przed świątynią. Najbardziej osobliwa ze względu na treść odcisku jest pieczęć z tej samej epoki, ilustrująca jakiś nieznany mit. Scena przedstawia zamek położony nad brzegiem rzeki. Opodal zamku dwa kozły, nieświadome niebezpieczeństwa zbliżają się do drzewa, za którym zaczaił się demon o głowie lwa. Znaleziono nadto dwie pieczęcie znacznie starsze, niż najstarsza warstwa świątyni boga Sin. Widocznie pozostawione w spadku jeszcze przez dawniejszych mieszkańców zachowały wartość aktualną także w czasach późniejszych. A. CH.

ROMAN PALMSTEIN

Liczne grono przyjaciół, z b. prezydentem Rady Szkolnej Krajowej, dr. I Dembowskim na czele, koledzy-członkowie TNSW, zaproszeni przez zarząd tej organizacji nauczycielskiej do oddania ostatniej przysługi, członkowi honorowemu Twa i pierwszemu redaktorowi jego organu „Muzeum", oraz wielka rzesza uczniów, spełniając akt pietyzmu, odprowadziła dnia 15 marca na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu Łyczakowskim em. profesora gimnazjalnego, śp. Romana Palmsteina.

Urodzony 22 września 1851 w Tarnowie, jako syn pryw. nauczyciela języka francuskiego, ukończył w latach 1863—1870 gimnazjum III (dawne Franciszka Józefa) we Lwowie egzaminem dojrzałości, wybijając się już na ławie szkolnej zdolnościami, pilnością w nauce i wzorowym zachowaniem się. Po ukończeniu Wydziału Filozoficznego na Uniwersytecie lwowskim, rozpoczął 3 III 1875 pracę jako nauczyciel języków klasycznych w państwowym gimnazjum w Wadowicach, skąd po kilku miesiącach 16 X tegoż roku, wrócił do Lwowa do gimnazjum III. Po egzaminie nauczycielskim otrzymał stałą posadę w gimnazjum IV we Lwowie od 31 VII 1883, gdzie w trzy lata później zyskał tytuł profesora a 29 V 1911 tytuł radcy szkolnego. Wreszcie z końcem lutego 1912 przeszedł w stały stan spoczynku, z pensją zabezpieczającą wówczas wygodne i spokojne życie, bo wynoszącą około 660 K, (odpowiadających wartości około 1000 zł. obecnie). Ale przyszły wypadki wojenne i dewaluacja, która tysiące emerytów wtrąciła w nader ciężkie położenie. Dzięki jednak staraniom b. przełożonego jego, radcy dr. W. Śmiałka i Zarządu TNSW oraz życzliwości władz szkolnych, szczególnie śp. kuratora Sobińskiego, uzyskał zabezpieczenie spokojnego życia, choć w bardzo skromnych warunkach.

A był to człowiek szlachetny, postać świetlana, uosobienie pogodnego, zgodnie z wiarą katolicką, poglądu na świat i życie, wzorowy w wypełnianiu obowiązków, które wziął na swoje barki, zyskujący zawsze uznanie władz szkolnych, sympatię kolegów i miłość uczniów swoich. Zajmował się gorliwie młodzieżą w szkole i poza szkołą, prowadząc często na wycieczki w okolice Lwowa, nadto do zamków w Podhorcach i Żółkwi. Zachęcał uczniów do zajmowania się nie tylko przedmiotami obowiązkowymi, ale także śpiewem i muzyką. Młodzież biedną i chorą popierał materialnie, goszcząc niektórych długo u siebie. Organizował w gimnazjum składki na cele patriotyczne, popierał ruch niepodległościowy i pracę organizacyjną w „Sokole".

Brał gorliwy udział w sprawach szkolnictwa, był czynnym członkiem TNSW, w r. 1885 redaktorem świeżo wówczas założonego czasopisma „Muzeum", w którym zamieszczał artykuły różnej treści i sprawozdania z dzieł filologicznych, nadto wydał starannie przygotowaną preparację do *Wojny gallickiej* Caesara, której II wyd. w dwu częściach pojawiło się w r. 1909 i 1910. Nie szczędząc trudu ni grosza, służył każdej sprawie dobrej, o ile tylko mógł, w szkole i na arenie społecznej, należał do wszystkich prawie polskich towarzystw humanitarnych, oświatowych i patriotycznych. Wśród szerokich rzesz zaskarbił sobie szczerą sympatię, której piękny wyraz dał prof. M. Stećków, żegnając go w nastrojowym przemówieniu nad mogiłą imieniem TNSW.

ARTUR RAPAPORT

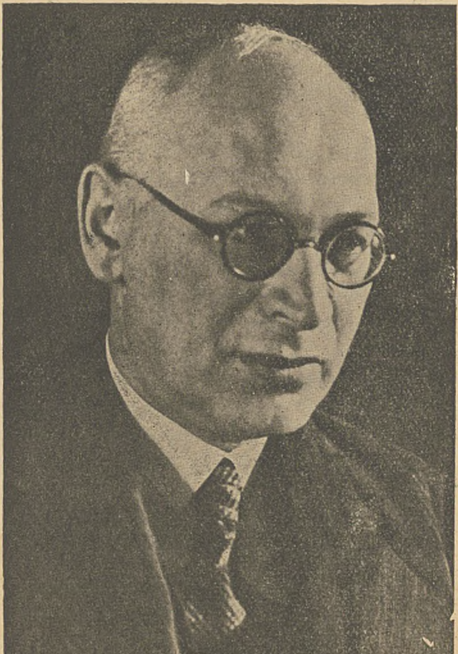
Kiedy lwowscy filologowie klasyczni wrócili z końcem sierpnia do pracy po wywczasach wakacyjnych, zostali zaskoczeni wieścią hiobową o nagłej śmierci kolegi Artura Rapaporta. Przygnębienie i smutek zapanowały wśród braci filologicznej. Niejednemu wyrwało się słowo bluźniercze, że to zawcześnie, że to zbyt nagle ,że powinien był żyć o wiele dłużej dla dobra szkoły i nauki.... I biadania te były wśród nas powszechne, bośmy wszyscy kochali Artura Rapaporta dla jego anielsko dobrego serca: komu mógł, śpieszył z pomocą, a już odmówić swej pomocy, gdy go ktoś z kolegów prosił, napewno nie potrafił. Więcej akcentowano w rozmowach jego dobroć i uczynność, choć i o jego wiedzy w dniach smutku nie zapomniano. Bieg też jego życia tak wcześnie przez Parki przeciętego składa dowodne świadectwo tego, że koledzy i przyjaciele mieli moralne prawo szanować go i kochać.

Artur Rapaport urodził się we Lwowie dnia 12 marca 1889 r. Jest lwowskim dzieckiem w najdosłowniejszym tego wyrazu znaczeniu. Tu się urodził, tu wychował, tu studiował, tu uczył i tu szczątki jego śmiertelne leżą pochowane. Jedynie rok 1914/15 przepędził poza Lwowem, uszedłszy przed Moskalami, do których czuł niepokonany wstręt, najpierw do Zakopanego, a następnie do Wiednia.

Kształcił się w gimnazjum III, dziś Stefana Batorego, w latach 1899—1907. Tu wywarli na niego wpływ profesorowie Kłak, Jędrzejowski i Kubala. Wcześnie zbudziły się w młodym chłopcu zamiłowania humanistyczne. Już w gimnazjum czytał bardzo wiele. Zamiłowanie do czytania pozostało mu na całe życie. Często też zadziwiał znajo-

mością dzieł kierunków literackich, objawów kulturalnych z różnych epok i krajów. Pomocna mu przy tym była i duże usługi oddawała pamięć trwała i wierna, dla filologa dar nieoceniony. W gimnazjum też zarysował się już przyszły kierunek jego studiów. Egzamin dojrzałości złożył w dniu 3 czerwca 1907 roku, z wynikiem — jak wówczas pisano — celującym. W jesieni tegoż roku zapisał się w poczet słuchaczy Uniwersytetu lwowskiego, wybrawszy filologię klasyczną jako pole swych studiów. Podczas kiedy jego koledzy zapisując się na uniwersytet mieli często wątpliwości, który fakultet wybrać, a jeśli byli zdecydowani poświęcić się karierze nauczycielskiej, nieraz wahali się, jaką grupę przedmiotów wybrać, to u Rapaporta pod tym względem, wahania ani namyślania się nie było: Rapaport był stworzony do studiów filologicznych. Był humanistą, nim sobie to uświadomił, i humanistą został do końca życia. Bolał też nieraz potem, gdy zaczęto w szkole dawać prym naukom przyrodniczym i usuwać w ten sposób 'człowieka' na plan drugi.

Na studiach filologii klasycznej przepędził cztery lata w uniwersytecie lwowskim pod okiem profesorów Kruczkiewicza, Witkowskiego i Sinki. Profesorowie ci, zwłaszcza Witkowski i Sinko, wywarli niezatarty wpływ na kierunek jego zainteresowań i metodę jego pracy. Mało który nauczyciel uniwersytecki umiał i chciał z takim mistrzowstwem wdrażać swych słuchaczy w metody filologii klasycznej jak Witkowski. Od Witkowskiego też nauczył się Rapaport metody filologicznej i bezwzględ-



Artur Rapaport (1889—1937).

nej uczciwości w pracy. Witkowski nauczył go objektywności w pracy filologicznej i przestrzegania tego, co Niemcy określają wyrazem 'Unvoreingenommenheit'. Od Sinki nauczył się zrozumienia związków kulturalnych między światem antycznym a nowożytnym. Przez cały czas studiów uczęszczał na wykłady Twardowskiego, czując w sobie nieprzeparty pociąg do różnych działów filozofii, szczególnie do psychologii. Później dopiero zrozumiał, że praca filologiczna bez przygotowania filozoficznego często kuleje.

W roku 1911 został przyjęty jako aplikant na kurs przygotowawczy do zawodu nauczycielskiego w gimnazjum VI we Lwowie. Kierownik tego seminarium pedagogicznego, Konstanty Wojciechowski, oddał go w opiekę profesorowi Janowi Oce, obecnemu profesorowi USB, w Wilnie. Wartość Rapaporta jako pedagoga i naukowca określił Oko w świadectwie, które otrzymał młody aplikant, by dołączyć je do podania o posadę nauczycielską. Oko pisze między innymi: „Pan kandydat posiada rozległą i gruntowną wiedzę w dziedzinie filologii klasycznej, wstępuje do zawodu z pewnym zapałem. Szkołę traktuje poważnie i jest szczerym przyjacielem młodzieży". W czasie, kiedy to świadectwo zostało wystawione (8 VI 1912), miał już Rapaport za sobą egzamin nauczycielski z filologii klasycznej jako przedmiotu głównego i z języka polskiego jako przedmiotu pobocznego: zdał egzamin dnia 13 maja 1912 roku. W jesieni tegoż roku otrzymał posadę zastępcy nauczyciela w VIII gimnazjum we Lwowie. Dnia 15 lipca 1913 r. otrzymał tytuł doktora filozofii. I od tego czasu ucząc i wychowując młodzież naszą szkół średnich, kolejno w gimnazjum VIII, VI i najdłużej w II, nie sprzeniewierzył się nauce.

Dydaktykę uważał za sztukę, nie za naukę. Dlatego mniej pisał o dydaktyce a więcej czynił dla dydaktyki: wydał cały szereg podręczników dla potrzeb szkoły średniej. Zaczął od preparacji do wyboru Owidego (1923, s. 216) dokonanego przez Sinkę. Pomijał te ustępy, do których przed tym przeparacje ułożył Sołtysik. Tym podręcznikiem wszedł w skład wydawców Książnicy-Atlasu. I odtąd wszystkie szkolne wydania wydawać będzie w tym nakładzie. Wnet przyszła kolej na Liviusza. Rapaport opracował na nowo wydanie Jędrzejowskiego (1925 s. 288). Była to przeróbka raczej de nomine. W istocie było to całkiem nowe wydanie, do wydania poprzedniego nie bardzo podobne. Prócz wyboru często odmiennego, prócz wyjątków z Długosza, których wydanie Jędrzejowskiego nie miało, odznaczało się to wydanie nowym wstępem, różnym od wstępu, jakim wydanie swoje poprzedził Jędrzejowski. Świeżo rzucone wtedy hasło, że należy w szkole akcentować wpływ kultury antycznej na kulturę polską. Hasło to pociągnęło wtedy swoją nowością i świeżością. Opracował więc Rapaport osobny ustęp dla wstępu pt. *Liwiusz w Polsce*. Ile pracy włożył w ten ustęp, liczący 7 stron, można wnosić stąd, że z materiałów dla tego ustępu zebranych napisał dużą rozprawę pt. *De Polonorum studiis Livianis* (*Humanitas* I, 1929, s. 49—102). Wydania szkolne Sallustiusa (*Bellum Iugurthinum* (1925, s. 87) i *De coniuratione Catilinae* (1925, s. 56), nie ustępują najlepszym wydaniom tego typu w Europie zachodniej.

Wnet przerzucił się Rapaport z wydań autorów łacińskich na autorów greckich. Najpierw przygotował w Książnicy nowe wydanie Platona, opracowane przed wojną światową dla szkoły przez Jędrzejowskiego. W krótkim przeciągu czasu (r. 1927) ujrzały światło dzienne trzy tomiki, obejmujące: 1. Apologię i Lachesa (s. XLVIII i 80), 2. Menona i Euthyphrona (s. 84), 3. Kritona i I. ks. Rzeczypospolitej (s. 72). Wkrótce potem ukazała się na półkach księgarskich, wydana nakładem Książnicy-Atlasu Iliada i Odysseja, opracowane dla naszych gimnazjów. Iliadę opracował Rapaport (r. 1927, s. XXXIX i 74) Odysseję Witkowski. Wstęp do Iliady obejmujący 39 stron, jest piękną pod względem formy i odpowiadającą wymogom nauki rozprawą o zasadniczych problemach dotyczących Homera. Zawiera następujące zagadnienia: Forma i treść Iliady, Technika i artyzm Iliady, Autor Iliady, Iliada a rzeczywistość historyczna, Znaczenie Homera dla potomnych wieków. Poruszył tu autor wszystkie zagadnienia, które w pierwszych dwu dziesiątkach lat XX wieku zaprzątały umysły uczonych, dowodząc, że opanował całą problematykę. Ukoronowaniem pracy dla szkoły był *Słownik grecko-polski dla wyboru z pieśni Homera* (wyszedł w r. 1932, nakładem Książnicy-Atlasu, s. 324). Wstęp obejmujący 44 s. zawiera gramatykę dialektu homerowego oraz bardzo ciekawie i oryginalnie ujęte *Uwagi etymologiczne*. Zamyka go Dodatek: *O budowie okrętu*. Tu po raz pierwszy spotykamy rodzime nazwy rozlicznych części okrętu. O słowniku tym należy stwierdzić, że stoi na wyjątkowo wysokim poziomie naukowym. Autor zużytkował cały najnowszy dorobek naukowy filologów na polu etymologii, leksykografii i gramatyki. Popełnił jeden błąd — a może to wina nakładu? — że przystosował słownik do wyboru, który wydała Książnica. Gdyby był uwzględnił całego Homera, bylibyśmy otrzymali dzieło, które by przez długi czas zaspokajało potrzeby naszych filologów.

Już na ławie uniwersyteckiej zaczął, zachęcony przez swoich nauczycieli, pisać recenzje z dzieł filologicznych, najpierw rozpraw w rocznych sprawozdaniach gimnazjalnych, następnie tłumaczeń, książek szkolnych, wreszcie dzieł naukowych. Ocen takich napisał około 200: w czasopiśmie Eos, w Muzeum, Kwartalniku Klasycznym, Przeglądzie wydawnictw Książnicy. Recenzent w każdej ocenie trafnie ujmował istotę rzeczy, nie gubiąc się w drobiazgach, tak że czytanie oceny Rapaporta sprawiało zawsze przyjemność.

Zapisał się też nieśmiertelnymi głoskami w cechu ścisłych badaczy-filologów. Ogłosił w czasopiśmie *Eos* kilka drobnych przyczynków naukowych do Xenophona, Platona i Wergilego: *Xenophontea* (XXIV, 1924, 19—25); *In Livium* IX 16 sq. (tamże, s. 26 n.), *Ad actionum genera observationes aliquot* (tamże s. 134), *Ad Platonis Apologiam 32 b* (XXVIII 1925, s. 12), *Ad Xenophontis Convivium* VIII 32 sq. (tamże s. 49 n.), *Ad Xenoph. Conv.* I (tamże s. 134); *Ad Verg. Aen. II 309, VI 615 sq.* (XXIX 1926, s. 7—7), *Ad Verg. Aen. VI 615* (tamże s. 80), *De insomniis Vergilianis* XXXIII 1930, s. 163—170). W wydawanych przez Stanisława Witkowskiego *Studia Leopolitana* 1924, jako

vol. II. jego rozprawa pt. *Novi Testamenti Graeci verba recipiantne praepositione praefixa vim perfectivae actionis necne*. Jest to ważna pozycja dla rozstrzygnięcia zagadnienia określonego w tytule rozprawy.

Kiedy Ryszard Ganszyniec postanowił swoimi wydawnictwami użyźnić glebę polską pod siew humanizmu, stanął Artur Rapaport na pierwszy zew. Napisał dla Filomaty rozprawki *Jak czytać Wergilego* (nr. 15), *Goście u Xenophona* (nr. 37 — nowe wydanie w dziełku: *Xenophon* w Bibl. Filomaty), dla Kwartalnika Klasycznego rzecz pt. *Liryki Horacego w szkole* (II 1928, s. 117—129), dla Biblioteki Filomaty życie i twórczość Horacego pt. *Q. Horatius Flaccus* (s. 53—173) — obok wstępu do Iliady najdojrzalsze jego studium.

Ulubionym marzeniem zmarłego było widzieć jak najwięcej utworów literatury greckiej i rzymskiej przyswojonych kulturze polskiej. Sam się przyczynił do zrealizowania tego postulatu dwoma tomikami Biblioteki Narodowej: numerem 31 i 39, Serii II. Pierwszy obejmuje przekład *Anabazy* Xenophona (wyszedł w r. 1924), drugi *Symposion* oraz wybór pozostałych pism (wyszedł w r. 1929). Oba są zaopatrzone w bogate wstępy, pierwszy pióra Stanisława Witkowskiego, drugi samego tłumacza. Nie skąpił też tłumacz objaśnień w miejscach, które nie byłyby całkiem jasne czytelnikowi, nieobznajomionemu z kulturą i językiem dawnych Greków. Byłby z pewnością Artur Rapaport jeszcze niejedno arcydzieło klasycznej starożytności przyswoił literaturze polskiej, gdyby tylko znalazł nakładcę. Marzył o przekładzie Thukydidesa, Polybiosa, pewnych dzieł Aristotelesa. Niestety, przeznaczenie przedwcześnie przecięło nić Jego żywota. MARIAN AUERBACH

JUBILEUSZ AUGUSTA

Dla uczczenia 2000-nej rocznicy urodzin Caesara Augusta Koło Warszawskie Polskiego Towarzystwa Filologicznego zorganizowało cykl odczytów, które wygłoszono dn. 14, 19, 21, 24 i 28 maja 1937 w sali Theologicum U. J. P.

Pierwszy prelegent, prof. dr Tadeusz Zieliński („Religijne posłannictwo Augusta“) rozwinął przed słuchaczami swą teorię mesjanizmu augustejskiego. Rozpoczynając od zobrazowania klęsk, które spadły na Rzym w latach następujących po śmierci Caesara — powódź, głód, zaraza, wojna — Zieliński zwrócił uwagę na nurtującą umysły Rzymian koncepcję, według której klęski owe miały być karą za grzech pierworodny. To zaprowadziło prelegenta do interpretacji epodu 7 i 16 Horacego oraz 4 eklogi Wergilego. W dalszym ciągu Zieliński naszkicował, jak dzięki zwycięstwom nad Sextusem Pompeiusem, pacyfikacji Italii oraz wojnie Actyjskiej wzrastała w duszach Rzymian wiara w posłannictwo Octaviana-Zbawcy. Reszta odczytu poświęcona była omówieniu prób Augusta przekazania swego błogosławieństwa bożego następcy oraz problemowi ‘igrzysk wiekowych’.

Odczyt doc. dr Zdzisława Zmigrydera-Konopki („Ustrój a polityka w Rzymie Augusta“) poświęcony był zobrazowaniu sprzeczności między teorią ustrojową a praktyką polityczną principesa. Prelegent rozpoczął od przedstawienia dziejów niepisanej konstytucji republikańskiego Rzymu, na tle której nakreślił Augustus swą koncepcję. Żmigry-

der-Konopka położył nacisk na zawarte w niej czynniki militarne, w szczególności na zaczerpnięte z głębin starorzymskiego ustroju pojęcia imperatoratu i *coniuratio* oraz na ewentualne związki z federalizmem hellenistycznym, i oświetlił różnicę między fikcyjną republikańską władzą cesarza w samym Rzymie a nieograniczonym imperium prowincjonalnym. W końcowej krytyce rozwiązania problemu ustrojowego przez Augusta zwrócił prelegent uwagę na jego połowiczność oraz zawartą w nim groźbę dla wolności myśli.

Prof. dr Kazimierz F. Kumaniecki („Życie prywatne Augusta") postawił sobie za zadanie zobrazować Augusta jako człowieka. Nie pominął jednak i jego działalności politycznej, o ile to było konieczne dla oświetlenia pewnych cech jego charakteru. Odrzucając koncepcję o gruntownej różnicy między okrutnym Augustem z przed Actium a łagodnym cesarzem z czasów jedynowładztwa usiłował prelegent podważyć opinię o młodzieńczych okrucieństwach i przewrotności Octaviana, zatrzymując się na rzekomym zamachu na Antoniusza, zdradzie senatu i udziale w proskrypcjach. Opierając się na licznych anekdotach i notatkach, zachowanych u pisarzy starożytnych, przedstawił Kumaniecki łagodność Octaviana, która tylko w wypadkach konieczności politycznej ustępowała miejsca surowości, jego skromność i prostotę w życiu osobistym i dobroduszny humor człowieka lubiącego żart i pozwalającego żartować nawet z siebie; nie pominął też prelegent sylwetki zewnętrznej cesarza. Dłużej zatrzymał się Kumaniecki nad nieszczęśliwym życiem rodzinnym Augusta i związanymi z tym stosunkami dynastycznymi.

Doc. dr Stanisław Seliga po ogólnym omówieniu maecenatu augustejskiego scharakteryzował związki, jakie łączyły poezję Vergilego Horacego, Propertiusa a nawet Ovidiusa z osobą i dążnościami kulturalnymi, politycznymi i religijnymi cesarza. Szczególny nacisk położył Seliga na powolną, ale szczerą zmianę w przekonaniach dwóch pierwszych poetów w stosunku do poczynań Augusta. Odczyt ilustrowały recytacje ważniejszych ustępów dotyczących Augusta z dzieł tych autorów w oryginale i w tłumaczeniu.

Radca M. S. Z. Witold Kozłowski („Wielkość Augusta") podkreślił, że Augustus przeciwnie niż Caesar nie został w pełni swej wielkości przez potomność oceniony. Tymczasem ogrom problemu państwowego, rozwiązanego przez Augusta, jego niezwykły stosunek do społeczeństwa rzymskiego, takt rządów tworzą z niego nie tylko ideał władcy konstytucyjnego, ale co więcej, nośnika wszystkiego co rzymskie, co zachodnie w walce z agresją Orientu. Mimo ogromu władzy i ubóstwienia ze strony społeczeństwa Augustus pozostaje wierny ideałom wyznawanej przez siebie prawdy filozofii pythagorejskiej, której jaskrawym wyrazem jest jego przepojony duchowością związek małżeński z Livią *(E w Delfach)*. Kozłowski stwierdził w zakończeniu, że Augustus jest drogowskazem naszej kultury. Odczyt Kozłowskiego, wygłoszony uprzednio w Italskim Instytucie Kultury w Warszawie, został w całości opublikowany w miesięczniku *Polonia-Italia* nr. 5 z maja 1937.

Zapowiedziany na dz. 26 V 1937 odczyt prof. dr Kazimierza Michałowskiego („Cesarz Augustus w sztuce") PTF zostało zmuszone odwołać z powodu choroby prelegenta.

Frekwencja na odczytach wahała się od 250—150 osób, w tym duża ilość młodzieży szkolnej — dzięki poparciu cyklu odczytów przez Władze Szkolne Warszawskie.

WŁ. GORDZIEJEW

PLAGIAT PROF. UNIW. DR FRANCISZKA SMOLKI

W organie Polsk. Twa Filolog. Eos 1936, s. 513—521 wydrukowano odczyt prof. Smolki, wygłoszony dn. 5 listopada 1936 r. na posiedzeniu Lwowsk. Koła Twa Filologicznego, pt. *Jeszcze jedno ognisko kultury hellenistycznej: Dura-Europos*. Odczyt umieścił redaktor w dziale „rozpraw naukowych i dydaktycznych": ponieważ dydaktyczną nie jest, prezentuje się więc jako naukowa, zwłaszcza, że Eos posiada przecież jeszcze działy „oceny i sprawozdania" oraz „kronikę". Naturalnie, gdy chodzi o prof. Smolkę, mimo że jest prof. uniwersytetu obok takich jak Witkowski i Ganszyniec, przywykliśmy stawiać skromne wymagania naukowości: zbyt dobrze pamiętamy słowa prof. Ganszyńca w Przegl. Klas. 1937, s. 243, że całą rację bytu naukowego prof. Smolki po habilitacji stanowi popularyzacja Rostowcewa.

Ale ostatnio zdaje się prof. uniw. Smolkę już nie stać nawet na inteligentne sprawozdanie, jak o tem świadczy powyższy odczyt naukowy. Coprawda podaje autor w przypisku, że znane mu są dwa wydawnictwa, z których dla odczytu korzysta — naturalnie, jak to w nauce przyjęto, obok innych i pozatem w sposób samodzielny: „Rostowcew, *Caravan Cities*, Oxford 1932, oraz *Excavations at Dura-Europos* (dotąd 5 tomów)". Ale już ten przypisek zawiera bluff: stwierdzam, że profesor uniwersytetu dr. Smolka z *Excavations* prawie że nie skorzystał. Tem większe, aczkolwiek anonymowe usługi oddało mu drugie dzieło Rostowcewa *Caravan Cities*. Jakież było moje zdziwienie, gdy w trakcie czytania tego dzieła przekonałem się, że cały artykuł jest dosłownym tłumaczeniem z Rostowcewa!!! Przecież w ten sposób nie postępuje uczeń gimnazjalny, któremu daje się do ręki jakieś dzieło do streszczenia. A cóż dopiero profesor uniwersytetu, który taki odczyt wygłasza na posiedzeniu Koła fachowych filologów i podaje go potem jako rozprawę naukową w piśmie fachowym, czytanym ewent. zagranicą. Coby pomyślał sobie prof. Rostowcew, gdyby przypadkiem przeczytał taki artykuł? Jako Rosjanin mógłby od biedy zrozumieć polski tekst. Przecież to niebywała kompromitacja!! K. M.

Otrzymawszy powyższy przyczynek, przecierałem oczy: przecież sam byłem redaktorem Eosu i jak najwstrzemięźliwiej korzystałem z prawa zamieszczania własnych prac i badań w organach Twa Filologicznego, więc nie uważałem za prawdopodobne, by prof. Smolka, aż tak dalece nadużywał swego stanowiska naczelnego redaktora Twa Filologicznego, by w naukowym organie Twa zamieścić aż plagiat własny. Więc nie chcąc paść ofiarą mystyfikacji, pożyczyłem z Bibl. Uniwersyteckiej odnośne dzieło pt. *Caravan Cities, by M. Rostovtzeff. Translated by D. and T. Talbot Race, Oxford, At the Clarendon Press, 1932*. Dwa szkice tej

książki traktują o Dura: IV. *Palmyra and Dura* (s. 91—119, specjalnie o Dura s. 104 nn.) oraz VI. *The ruins of Dura* (s. 153—219). Prof. Smolka przyswoił sobie bezceremonialnie przede wszystkim drugi szkic, od pierwszego wiersza począwszy. Pozwalam sobie dać próbki, które można dowolnie mnożyć in infinitum:

Rostowcew (s. 153):

It was in 1920, at the very end of the War, that Captain Murphy, the commander of an English detachment of Sepoys, discovered, purely by change, in the north-western corner of the ancient city, near the fortifications, ruins of a temple decorated with interesting frescoes, while he was engaged in digging trenches and building blockhouses all over the ruins of Dura. Soon it was established that these frescoes adorned the walls of a sanctuary which, during its last period of use, was dedicated to the worship of the three Palmyrene military deities: Bel, Aglibol, and Yarhibol. Captain Murphy reported his discovery to the late Miss Gertrude Bell, director of antiquities in Iraq, at the very moment when the famous American Egyptologist, James Breasted, happened to be in that country, and Miss Bell requested him to go to Dura and examine the frescoes. When Breasted reached Dura he found the British detachment about to leave the town and he only had one day in which to carry out his examination. In that day he was able to sketch and photograph the frescoes, to make a plan of the sanctuary in so far as this was possible without digging, and to jot down a rough outline of the town and its fortifications.

Smolka (Eos 1936, s. 513):

Było to w roku 1920, gdy kapitan Murphy, głównodowodzący angielskich oddziałów w Sepoys, odkrył całkiem przypadkowo w płn.-zach. zakątku starożytnego miasta w pobliżu fortyfikacji ,ruiny świątyni, ozdobione interesującymi freskami.

Rychło ustalono, że te freski ozdabiały mury jakiejś świątyni, która w ostatnim okresie dziejów starożytnych była poświęcona czci 3 palmireńskich bóstw wojskowych: Bel, Aglibol i Yarhibol.

O tym odkryciu zameldował kapitan Murphy pani Gertrudzie Bell, kierowniczce Instytutu Archeologicznego w Iraku, właśnie w chwili, gdy bawił tam sławny amerykański egiptolog, James Breasted. Miss Bell poprosiła go o udanie się do Dury i zbadanie fresków. Gdy Breasted przybył tu, natrafił na chwilę, gdy angielskie oddziały już opuszczały miasto, tak, że miał on zaledwie jeden dzień na badania. Mimo to zdołał przez ten dzień porobić szkice i sfotografować freski, zdjąć plan świątyni, o ile to było możliwe bez kopania, sporządzić zarys miasta i jego fortyfikacyj.

Rostowcew (s. 197):

Their neighbours in the city were members of the old Graeco-Macedonian colony who had retained

Smolka (Eos 1936, s. 519):

Ich sąsiedzi w mieście byli członkami starej grecko-macedońskiej kolonii, którzy zachowali swoje pier-

their original names, many of their old traditions, and their own tongue and legal code. These had originally been landowners, but now they became merchants as well. Caravan trade enriched them and they were soon able to adorn their wives with heavy jewellery and to clothe themselves in the richly coloured garments and turbans so popular in the East. They built and decorated for themselves and their wives temples of Eastern type, in which they made offerings of vessels of gold, silver, or copper and gave other rich gifts. Regardless of the language that they spoke, they ceased to be Greek, and became typical Levantines. Their wives were Semites; their children semi-Semites; their deities those of the great Parthian empire, some of them of Eastern origin, some Semitic gods of the north, some Arab gods of the south, and others Iranian. They gave them Greek names, but failed to make them Greek.

wotne nazwiska, wiele ze swoich starych tradycyj, swój własny język i prawny kodeks. Niegdyś byli oni właścicielami dóbr, a teraz stali się kupcami. Handel karawanowy wzbogacił ich.

Abstrahując od języka, którym mówili, przestawali być Grekami, a stawali się typowymi Lewantyńczykami. Ich żony były Semitkami, dzieci napół-Semitami, ich bóstwa jedne były pochodzenia partyjskiego, inne wschodniego, kilku było semickich bogów z północy, kilku arabskich bogów z południa, wreszcie inne — irańskie. Nadawali im wprawdzie imiona greckie, ale zaniedbali zrobić ich Grekami.

Każdy odrazu zauważy pewne odchylenia od Rostowcewa, czasem arcyzabawne. Np. jeżeli prof. Smolka awansuje kapitana Murphy na ‘głównodowodzącego’ z prostego komendanta oddziału, lub biednych sepoyów (pers. *sipāhi* ‘żołnierz’; kolonialne wojsko) przemienia w bajeczne miasto ‘Sepoys’, lub panią Bell, konserwatora starożytności, w kierowniczkę nieistniejącego Instytutu Archeologicznego w Iraku i podobne żarty. To profesor uniwersytetu? Dziękuję za takiego kolegę, który popełniając plagiat zdradza ponadto najgrubszą ignorancję...

Polskie Two Filologiczne nie ma szczęścia: po generalnym sekretarzu Smerece kompromituje się jego naczelny redaktor Smolka. Bo pikanterię sprawy podnosi właśnie fakt, że prof. Smolka sam jest redaktorem Eosu i osobiście referował w sensie negatywnym sprawę umieszczania tłumaczeń w Eosie, ale mimoto swym plagiatem ‘wzbogacił’ naukę polską i łamy powierzonego swej opiece pisma. Co powie na to prof. Witkowski, który prof. Smolkę habilitował i stale proteguje? Zarzuty podnoszone przeciw profesorowi uniwersytetu Smolce są tak formalne i tak godzące w jego cześć, że niewątpliwie już w interesie Uniwersytetu, do którego należy, zechce pociągnąć do odpowiedzialności tych, co zarzucają mu plagiat. R. G.

Przegląd Klasyczny wychodzi jako miesięcznik (rocznie 10 zeszytów) i obejmuje metodologię i dydaktykę filologii klasycznej, przegląd badań, bibliografie z przeglądem czasopism krajowych i zagranicznych, kronikę ważniejszych wydarzeń w świecie filologicznym.

Prenumerata roczna wynosi w księgarniach 20 zł. Cena pojedyńczego zeszytu w księgarniach 2·50 zł. Abonenci Filomaty korzystają z prenumeraty ulgowej. Prenumeratę uprasza się przesyłać czekiem PKO na konto „Filareta" 500.143. lub na konto rozrachunkowe Lwów nr. 39 „Przegląd Klasyczny"

Redaguje Komitet Redakcyjny: prof. Ryszard Ganszyniec, Lwów (filologia klasyczna), prof. Jan Safarewicz, Kraków (językoznawstwo), prof. Zdzisław Zmigryder-Konopka, Warszawa (historia starożytna).

Redaktor odpowiedzialny: Ryszard Ganszyniec, Lwów. Uniwersytet.

Administracja: Lwów, Uniwersytet.

Drukarnia Naukowa, Lwów, Ormiańska 8. — Tel. 253—10